

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E

Nr 4/2004 (44)

Rok XII



WSPÓŁCZESNA PROZA IZRAELSKA

oraz

Grynberg Hoffman Kędzierski Myszkowski
Rubinstein Sonnenberg Szewc Szymborska

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

Zespół:

JAN BŁOŃSKI, STEFAN CHWIN, ALEKSANDER FIUT,
MICHAŁ GŁOWIŃSKI, MAREK KĘDZIERSKI,
JULIAN KORNHAUSER, LESZEK SZARUGA

Redaktor naczelny:

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Redakcja:

KRZYSZTOF ĆWIKLIŃSKI, GRZEGORZ KALINOWSKI (sekretarz redakcji),
JANUSZ KRYSZAK

Wydawca:

Pomorska Fundacja Artystyczna ART, Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy
przy finansowej pomocy Ministerstwa Kultury

Adres redakcji:

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel. (0-52) 585 15 01, wew. 105; (0-52) 585 15 00, tel./fax (0-52) 585 15 06
e-mail: kwartalnik@wok.bydgoszcz.com; cik@wok.bydgoszcz.com,
www.wok.bydgoszcz.com

87-100 Toruń, ul. Podmurna 60
tel./fax (0-56) 622 20 65

Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser
Korekta: Barbara Laskowska

Projekt okładki: Ewa Bathelier i Anna Bathelier

Przedstawiciele za granicą:

Barbara F. Lefcowitz
4989 Battery Lane, Bethesda, MD 20814, USA
e-mail: BLefcowitz@aol.com

Joanna Wiórkiewicz
Saarburgerstr. 11D, 12247 Berlin, Niemcy
tel./fax: 0-049-30-7740217

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu, Urzędowi Miasta Bydgoszczy, Urzędowi Miasta Torunia, Fundacji Otwarty Kod Kultury (ze środków Fundacji im. Stefana Batorego) oraz Ambasadzie Izraela za pomoc finansową w wydaniu nr. 4/2004.

Nakład: 600 egz.

*Skład, łamanie, druk i oprawa: Zakład Poligraficzny FORM-DRUK,
85-654 Bydgoszcz, ul. Mierosławskiego 11-13, tel./fax (0 52) 341 32 38
e-mail: form-druk@vendor.pl*

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E
Nr 4/2004 (44) Rok XII

Spis rzeczy

Trzy wiersze

- WISŁAWA SZYMBORSKA Trzy wiersze / 3
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Rymowanka, łopian i sowa / 9

- KAZIMIERZ HOFFMAN Beckett. Tybinga / 26 Pisarstwo / 28
Szkiców do portretu część pierwsza / 29

Współczesna proza izraelska

- CHAIM BE'ER Sznury / 33
MIRA MAGEN Cukinia / 47
DAWID GROSSMAN Bądź mi nożem / 59
ORLI KASTEL-BLUM Dolly city / 80
- HENRYK GRYNBERG Słowa / 109 Pisarz / 110 Dom / 111
Miłość / 111 Ciężar / 112 Seans / 112
- PIOTR SZEWC Skubanie koguta / 113 Nad Bałtykiem / 114
Tylko o tym / 114 Leszek Rózga, *Sztatele* / 115
Leszek Rózga, *Exodus* / 116 Leszek Rózga, *Podwórko* / 117

Fotografie Ewy Rubinstein / 119

- DARIA KOŁACKA Eva Rubinstein: anatomia kątów, anatomia fałd / 135
MAREK KĘDZIERSKI Tropcy obecności: wnętrza Ewy Rubinstein / 137

- EWA SONNENBERG Elementarz powitania świata / 140

Cytaty z kwartalu / 148

ANNA BŁASIAK	Cykl niedzicki / 157
JACEK KAROLAK	Konstancja Mozart szuka grobu Wolfganga Amadeusza / 160
Joanna d'Arc	161
Retrospekcja	162

Varia

MICHAŁ GŁOWIŃSKI	Małe szkice / 163
ALEKSANDER JUREWICZ	Samotnia (2) / 166
LESZEK SZARUGA	Lekturnik (13) / 168
ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ	Ujrzane, w czasie zatrzymane (21) / 172

Recenzje

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	W środku przezroczystej kuli / 178
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	Kilka słów o poezji / 181
LESZEK SZARUGA	Palenie Króla Ducha / 186
LESZEK SZARUGA	Wstyd być poetą... / 188
PIOTR MICHAŁOWSKI	Dziennik myśli własnych i cudzych / 189
KRYSTYNA RODOWSKA	Hymny do rzeczywistości cudownej / 194
BOGUSŁAW KIERC	Rzecz na swoim miejscu / 198

Noty o książkach / 203

TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIĄ STAŁE OTRZYMYWANIE „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

Warunki prenumeraty:

Prenumerata roczna

– krajowa 35 zł

– zagraniczna 30 USD

Cena za egzemplarz archiwalny (wraz z wysyłką)

– krajowa 9 zł

– zagraniczna 8 USD

Prenumeratę prosimy wpłacać na konto:

Wojewódzki Ośrodek Kultury PKO SA II Oddział Bydgoszcz

68 1240 3493 1111 0000 4305 7874 „Kwartalnik Artystyczny”

TRZY WIERSZE

Trzy najważniejsze wiersze polskiej poezji XX wieku. Po Czesławie Miłoszu („Kwartalnik Artystyczny” nr 3/1997(15)), Stanisławie Lemie (nr 4/1997(16)), Janie Józefie Szczepańskim (nr 1/1998(17)), Ryszardzie Krynickim (nr 2/1998(18)), ks. Janie Twardowskim (nr 3/1998(19)), Jarosławie Marku Rymkiewicz (nr 4/1998(20)), Kazimierzu Hoffmannie (nr 1/1999(21)), Julianie Kornhauserze (nr 2/1999(22)), Leszku Szarudzie (nr 3/1999(23)), Piotrze Sommerze (nr 4/1999(24)), Gustawie Herlingu-Grudzińskim (nr 1/2000(25)), Marii Danilewicz Zielińskiej (nr 2/2000(26)), Ryszardzie Kapuścińskim (nr 3/2000(27)), Michale Głowińskim (nr 4/2000(28)), Zbigniewie Żakiewicz (nr 1/2001(29)), Bogusławie Kiercu (nr 3/2001(31)), Julii Hartwig (nr 2/2004(42)) prezentujemy w rozszerzonej formule wybór Wisławy Szymborskiej.

Wisława Szymborska

Trzy wiersze

*

Utwór ten zaliczany jest przez badaczy do wierszy ostatnich. Niewiadoma jest jednak data jego powstania. Nigdy też nie został przez Poetę ogłoszony drukiem. I chyba nigdy – ośmielę się dodać – Poeta go publicznie nie czytał, a nawet nikomu z bliskich do czytania nie dawał. Gdyby tak było, zostałby jakiś dotkliwy ślad w pamięci przyjaciół. Początek wiersza drastyczny, a nawet brutalny, mógłby być dla nich trudny do przełknięcia. A i rodzinie nieśladko byłoby czytać, jak Poeta jednym, kategorycznym zdaniem spycha ją w swoich myślach na plan drugi. Dopiero my, zanurzeni w odległym czasie czytelnicy, możemy przyjąć ten wiersz tak, jak na to zasługuje: z pokorą i zrozumieniem, drżeniem i zachwytem.

I jeszcze jedno: nie potrafię się do tego wiersza przyzwyczaić. Czytając go po raz któryś z rzędu, jestem poruszona tak samo jak wtedy, kiedy czytałam go po raz pierwszy.

*Adam Mickiewicz***Gdy tu mój trup...**

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
W oczy zagląda wam i głośno gada,
Dusza w ten czas daleka, ach, daleka,
Błąka się i narzeka, ach, narzeka.

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej,
I liczne mam serca mego rodzeństwo;
Piękniejszy kraj niż ten, co w oczach stoi,
Rodzina milsza niż całe pokrewieństwo.

Tam, wpośród prac i trosk, i wśród zabawy,
Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami,
Tam leżę śród bujnej i wonnej trawy,
Tam pędzę za wróblami, motylami.

Tam widzę ją, jak z ganku biała stąpa,
Jak ku nam w las śród łąk zielonych leci,
I wpośród zbóż jak w toni wód się kąpa,
I ku nam z gór jako jutrzeńka świeci.

*

Nie wiem, czy jest to dobrze napisany wiersz. Sam Autor miał co do tego wątpliwości, bo pozostawił dwie wersje. Może były jeszcze inne, zawczasu podarte. Ale w tych obu zachowanych, najcenniejsza myśl powtarza się niezmieniona.

Tak, to prawda. Z początku, za młodu, na pierwszy rzut oka „Ziemia – jest krągła – jest kulista!”... Nie wypada jednak zbyt długo obstawać przy tym pochopnym sądzie. Wkrótce trzeba będzie się pogodzić z tym, że „Ubiegunów – spłaszczona – nieco”... I tak powinno być z całą rzeczywistością po bliższym jej rozpoznaniu. Tę „kuloziemską” metaforę od lat noszę w pamięci. Stała się moją dewizą w życiu i pisaniu. Jeśli nie udaje mi się jej należycie stosować, albo bardzo rzadko, albo i wcale, to już wyłącznie mój problem. Mądry Norwid nie ponosi za to odpowiedzialności.

*Cyprian Kamil Norwid*Za wstęp (Ogólniki), z: *Vade-mecum*

1

Gdy, z wiosną życia, duch Artysta
Poi się jej tchem jak motyle,
Wolno mu mówić tylko tyle:
„Ziemia – jest krągła – jest kulista!”

2

Lecz gdy późniejszych chłódów dreszcze
Drzewem wzruszą, i kwiatki zlecą,
Wtedy dodawać trzeba jeszcze:
„U biegunów – splaszczona – nieco...”

3

Ponad wszystkie wasze uroki,
Ty! Poezjo, i ty, Wymowo,
Jeden – wiecznie będzie wysoki:

* * * * *

Odpowiednie dać rzeczy – słowo!

*

Zadziwiające, jak dużo Poeta potrafił pomieścić w tych zaledwie trzynastu szybko oddychających wersach. Mamy tu park (w domyśle nieborowski), jest jesienny wieczór, rozgwieżdżone niebo i wiatr, który porywa liście wraz ze strzępkami prześlicznej rozmowy. Jest Chopin, przyłapany znienacka na zaświatowych wagarach. Jest rulonik nut w jego ręce. Są rękawiczki, za którymi się rozgląda. Rozpoznajemy znany z wielu przekazów jego melancholijno-żartobliwy sposób mówienia. A jeśli wsłuchamy się w te niespokojne takty wiersza, zdołamy złowić uchem coś jeszcze. Coś w C-dur właśnie. Przelotne, a zarazem wieczne. Jak cała chopinowska muzyka.

*Konstanty Ildefons Gałczyński**Spotkanie z Chopinem*

Dobry wieczór, monsieur Chopin.
Jak pan tutaj dostał się?
Ja przelotem z gwiazdki tej.
Być na ziemi to mi lżej:

Stary szpinet, stary dwór,
ja mam tutaj coś w C-dur
(taką drobnostkę, proszę pana),
w starych nutach stary śpiew,
jesień, lecą liście z drzew.

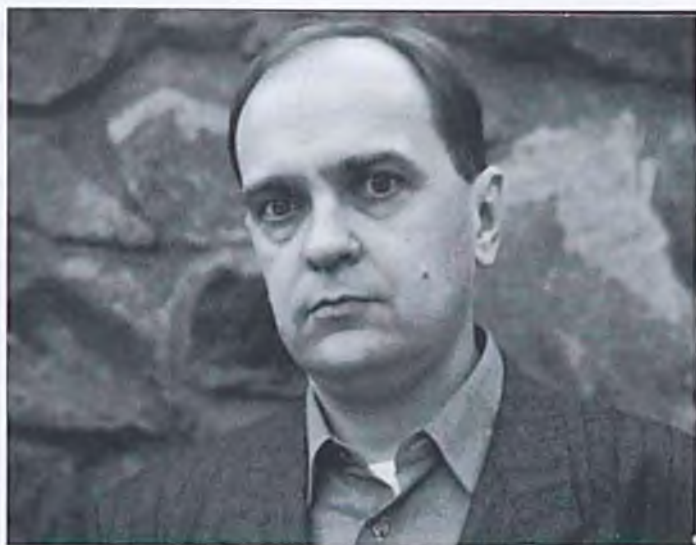
Pan odchodzi? Hm. To żal.
Matko Boska, w taką dal!
Rękawiczki. Merci bien.
Bonsoir, monsieur Chopin.



Wisława Szymborska, *wyklejanka*.



Fot. Joanna Helander



Fot. Elżbieta Lempp

Krzysztof Myszkowski

Rymowanka, łopian i sowa

Rymowanka (słowo, którego nie ma w najważniejszych słownikach języka polskiego) to utwór napisany do rymu. Rymopisem nazywano prześmiewczo kogoś, kto pisał wiersze-wierszyki i Mickiewicz przestrzegał Witwickiego, że jeżeli dalej będzie tak niedbale pisać, to „pójdzie w szuję rymopisów”.

Łopian (*arctium*) rośnie przy drogach, na brzegach lasów, w zaroślach i w rowach, ma duże sercowate liście i kuliste kwiaty zebrane w koszyki z haczykowatymi łuskami; używany jest do celów leczniczych.

Sowa (*noctua*) uchodziła w starożytności za zły omen, a w Egipcie i w Indiach uważano ją za ptaka umarłych. Kojarzy się z nocą i z mądrością. „Mówią, że sowa była córką piekarza.”

Rymowanka, łopian i sowa – i nic lepszego nie ma na mogile „Szymborskiej”, skromnej, staroświeckiej i osobnej „autorki paru wierszy” (*Nagrobek*). Oto znaki sławnej na cały świat poezji.

Miała szczęśliwe dzieciństwo. Mama była od spraw domowych, praktycznych, a ojciec – od rozmowy na różne tematy. Był zapalonym encyklopedystą, dużo czytał, znał na pamięć obszerne fragmenty *Pana Tadeusza*, cytował

po grecku *Iliadę*, studiował mapy. Cieszył się, gdy córki przychodziły do niego z pytaniami, więc dziewczynki wynajdywały najdziwniejsze słowa z encyklopedii i przychodziły z podstępными uśmieszkami, a on zawsze znał odpowiedź.

Wpływ ojca był krótki (miała trzynaście lat, gdy umarł), ale bardzo intensywny. Szymborska zapytana, co jest dla niej najważniejsze, odpowiedziała, że pytania, które się zadaje: „To jest dla mnie najważniejsza wartość: pytania i ludzie, czyli moje pytania do ludzi i pytania ludzi do mnie. Po co? Dlaczego? W jaki sposób? Te pytania, które dotyczą wyższej dziedziny. Powinniśmy stale się dziwić: skąd jesteśmy? Dlaczego jesteśmy? I dla kogo będzie ważne, że byliśmy?”.

Wojna 1939 roku wyrzuciła jej świat do góry nogami: był mały, łatwy, zwykły, a stał się wielki, trudny i dziwny – „Nasz lup wojenny to wiedza o świecie”. Jak go opisać? Jak się w nim odnaleźć?

Zacząła ten „nowy świat” odczytywać od początku – „w ludziach wobec ludzi” i z siebie samej, i oswajać się z nim za pomocą prostych pytań i paradoksów, podstawowych rozróżnień, kłębków uczuć i myśli. W „banalnych rymach” opisywała miłość, dziwiła się, czekała, uśmiechała się do innych i do siebie, smuciła się i na tęskne nuty śpiewała piosenki.

W *Wołaniu do Yeti* (1957) znajdują się piękne wiersze o miłości: *Nic dwa razy, jawność, czy Buffo*, który przypomina, jakby zawartą w załączku, *Pierwszą miłość* Becketta lub jakąś inną jego historię miłosną. Ostentacyjna stylizacja osłabia i wymazuje stylizację, zdrapuje ją jak śniedź z nagle zaskakująco prawdziwej historii, w porównaniu z którą inne „prawdziwe” historie miłosne przypominają farsę, jakieś konwencjonalne przypadki, przewidywalne i zgrane w setnych powtórkach.

W *Upamiętnieniu* historia miłosna opowiedziana poprzez to, czego w niej nie ma, stapia się z lirycznym refrenem, który w ostatnich wersach przemienia się w tragiczną kodę. W *Atlantydzie* istnienie Atlantydy podminowane jest jej nieistnieniem, a nawet zaprzeczone, tak jak istnienie tych, którzy na niej się znajdują lub nie znajdują, w swoim niepewnym istnieniu, nieistnieniu. Są i nie są, stwarzają się w seriach wahań, niemocy i wątpliwości, aż do zatracenia, które nie jest ostateczne:

Ktoś wołał coś.
Niczego nikt.

Na tej plus minus Atlantydzie.



Uwagę zwraca składnia wersów: „Ktoś wołał coś”, ale nie: „Nikt niczego”; najpierw jest Nic, dopiero potem – nikt. Ostatni wers nie przeczy istnieniu Atlantydy, bo przecież nie mówi się „plus minus” o czymś, czego w ogóle nie ma, chociaż wcale nie jest to takie pewne (plus minus nieskończoność). I tak to rozumowanie jest chwiejne i niepewne – to jest wiersz o miłości.

Dopełnieniem *Atlantydy* jest *Jeszcze* – wiersz o nieszczęściu, klęsce i śmierci. „Nie pytajcie, nie powiem, nie wiem”, mówi podmiot i akcent pada na „nie pytajcie”, nie na „nie wiem”; „nie powiem” jest tu jak klin, dysonans, „łomotanie ciszy w ciszę”.

Co człowieka umacnia przy życiu? Szymborska odpowiada: słowo powitania, pisanie, miłość, cierpienie, malenie, zanikanie, gaśnięcie, śmierć:

Świat tylko taki. Tylko tak
żyć. I umierać tylko tyle.
(Obmyślam świat)

W tomiku *Sól* (1962) pojawiają się wiersze o „niemiłości”: *Bez tytułu*, *Niespodziane spotkanie*, czy *Złote gody*, w których tak jak w *Muzeum* obserwujemy znaki, poprzez które objawia się to, czego już nie ma, chociaż nie zawsze to, co jest, odnosi się do tego, czego już nie ma, co zanikło albo zanika w rozkładającej się atmosferze nieobecności ciągle jeszcze podminowanej obecnością nieobecnego i oczekiwaniem mieszającym się z rezygnacją i z odmową. To, co jest na zewnątrz, kieruje uwagę na przeżycia wewnętrzne. Bo jeżeli coś jest, to tylko na chwilę („Wszystko moje, nic własnością”) i już niemożliwe do odzyskania. Tytułowego bohatera *Kłoszarda*, wyrzeczeńca, szare chimery podziwiają za to, że „jeżeli nawet miał coś – to utracił,/a utraciwszy, nie pragnie odzyskać”.

Koloratura (wł. *coloratura* – zabarwienie) to wiersz o śpiewie urozmaiconym przez różne ozdobniki, czy o głosie, który nadaje się do takiego śpiewu? Jaki to śpiew? I jaki głos? Brzmi „jak światłem zasiał”, zaplątany w różne ozdobniki („drobiąc grzanki do śmietanki/karmi baranki z filiżanki”), przez różnego rodzaju progi, filtry i prześwity dociera za „zimne kulisy świata”, do tego co ukryte, wieczne, wiekuiste. Czy na „wieczne rozsypanie” śpiewa? Brzmi jak pomiędzy dwoma biegunami: wybawieniem a zagładą, możliwością a niemożliwością. Natchniony światłem rozlega się po stroń ciemności?

Czyż nie podobnie jest w *Nagrobku*? Kto tak wesoło i przekornie mówi o śmierci, jakby mówił o przejściu do czegoś oczekiwanego i lepszego? „Najlepsze dopiero będzie”, mówi Głos kobiety w *Ej, Joe Becketta*. Jak to jest?

Przechodniu, podumaj przez chwilę nad losem tej wymyślonej „Szymborskiej”, prosi poetka nad grobem tejże. Cała jest w przenośniach, metaforach i porównaniach, w wyrzutniach i przerzutniach, w pełnych iskier związkach i grach słów i ich różnych odniesieniach. „Ja, Syzyf przypisany do piekła poezji” – tak mówi o sobie w *Rehabilitacji*.

W tej poezji ważny jest odbiorca, którego poetka obdarza zaufaniem i współodpowiedzialnością, jak na przykład w *Wieczorze autorskim*, tym podwójnym spotkaniu z czytelnikami wypełnionym powagą i niepowagą, humorem i czarnym humorem, ironią i autoironią.

To niedobrze być za blisko (***(*Jestem za blisko...*)). Lepiej nie być za blisko i w żadnym razie nie być ograniczoną do jednej, własnej postaci. Trzeba ciągle się zmieniać, poddawać się przemianom, „mienić się kolorami skór”, zdumiewać i znikać sprzed zdumionych oczu. Tak, przede wszystkim mieć łaskę znikania. A potem pojawiać się na nowo, w nowej skórze i w nowych na niej łuskach. I nie mówić zwyczajnie, wprost, ale mówić okrężnie, krążyć i zaskakiwać, żeby było nadzwyczajnie, żeby było jak na początku. A jeżeli trzeba, to od początku odkręcać wszystko, co jest nie tak, jak powinno być, co zachodzi za daleko i nie daj Boże, już schodzi na manowce. Tak istnieć. Jeżeli trzeba, to na opak i na przekór sobie, pozamykać się w aporiach i w zaprzeczeniach, schronić się w ulotność i w nieobecność, jeżeli to co jest, jest na opak miłości.

W *Na wieży Babel* kobieta i mężczyzna nijak nie mogą porozumieć się ze sobą. Ona mówi swoje, on swoje, chociaż oboje mówią „o tym samym”, o ich burzliwej historii miłosnej. Jak u Becketta: „Nie ma porozumienia, bo nie ma środków porozumienia”. Dlaczego więc nie zamilkną i nie milczą, jeżeli nie mogą, czy nie chcą powiedzieć sobie prawdy? „O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć”, mówi Wittgenstein. Zimne jak stal ostrza zdań dawnych mistrzów. „To stare dzieje, ostrze przeszło / nie naruszając kości.” Szymborska mówi, że nie ma prawdy i porozumienia tam, gdzie nie ma miłości i że miłość potrzebna jest do życia jak powietrze i jak woda, chociaż może przydarzyć się zła miłość, tak jak kataklizm, jak mór, powódź czy potop.

Zastanawiająca strofa:

Wędruje przez ciemności od nigdy zagasłe,
przez pustki utworzone ku sobie na zawsze,
przez siedem razy siedem razy siedem cisz.
(Sen)

U Szymborskiej są różnego rodzaju tony i tonacje.

Rozmowa z kamieniem to wiersz o braku i o głodzie wiary i prośba o choćby jej jedną iskrę, która mogłaby rozpaścić serce, prośba o łaskę udziału. Ale odpowiedź na ponawianą prośbę: „To ja, wpuść mnie”, jest twarda i niezmienna:

– Nie wejdiesz – mówi kamień. –
Brak ci zmysłu udziału.

Żaden zmysł nie zastąpi ci zmysłu udziału.
Nawet wzrok wyostrzony aż do wszechwiderzenia
nie przyda ci się na nic bez zmysłu udziału.
Nie wejdiesz, masz zaledwie zamysł tego zmysłu,
ledwie jego zawiązek, wyobraźnię.

W *Wierszu ku czci* poetka mówi, że mamy zmysły, wyobraźnię, marzenia, intuicję, sny, pamięć i słowa na opisanie swoich przeżyć, wyobrażeń i doświadczeń – żeby inni mogli dać im wiarę. A jak wiele mieści się w milczeniu, w ciszy i w nieobecności, które tak często są poza naszym zasięgiem – chociaż nie poza zasięgiem słów: „Wszystko będzie przeliczone/aż do ziarenka piasku”.

Sto pociech (1967) rozpoczyna się od *Radości pisania*. Dziwna to radość. W napisanych na papierze słowach i zdaniach powiązanych łańcuchami znaków, nie ma nawet odrobiny życia, o czym zapis świadczy czarno na białym. Zostały źle i bez natchnienia ułożone i tak utrwalone, wystawione na nic i na pośmiewisko, otoczone pustką czerzej gadaniny, absurdalne w swoim rozmnożeniu. Jeżeli słów i zdań nie zwiąże duch, to będą martwe, a w najlepszym razie tak jak w letargu: niedostępne, odległe, jakby niczyje. Niczego nie wyrażą i nie będzie z nich żadnej korzyści.

„To, co pragnę powiedzieć, jest w gotowych zdaniach”, mówi kobieta w wierszu *Pejzaż*. Patrzy na obraz starego mistrza i jednocześnie jest w środku, w realiach świata przedstawionego na tym obrazie. Swojemu ukochanemu każe patrzeć na siebie obecną w tamtym odległym świecie („Przyjrzyj się, jak daleko odeszłam od ciebie”), w którym czuje się bezpieczna i spokojna: bez niego, bez rozpacz – z nadzieją w sercu.

Dzieje się coś, co nigdy się nie wydarzyło, więc jest, nieodwołalnie staje się nieodwołalne. Wszystko precyzyjnie porusza się po wyznaczonych torach. Panuje atmosfera oczekiwania i klęski. Coś sprawia, że opisywane spotkanie wydarza się poza zasięgiem obecności tych, którzy spotkali się albo mieli się spotkać „w raju utraconym/prawdopodobieństwa”. Gwałtowna przerzutnia łamie frazę na pół: to nie prawdopodobieństwo zostało utracone, ale raj, w którym prawdopodobieństwo było czymś na porządku dziennym, bo była w nim miłość i zaufanie. A teraz miłość jest „gdzie indziej./Gdzie indziej”. Te słowa brzmią tak, jakby jechał pociąg, być może ten do miasta N., do którego miała przyjechać bohaterka tego wiersza (*Dworzec*).

Wisławę Szymborską pasjonują zaskakujące punkty widzenia. W wierszu *Śmiech* kobieta ożywia w sobie dziewczynkę, którą kiedyś była. I dla jednej i dla drugiej najważniejsza w życiu jest wielka miłość. Obserwujemy wyni-

kające powinowactwa i bliskość i obcość między nimi. W *Żywym* kobieta mówi o mężczyźnie, którego kocha, jakby mówiła o swoim dziecku – noworodku, który dzięki niej zobaczył światło. Dwa mocne węzły miłości albo jeden, podwójny węzeł miłości, bez której wszystko jest bez sensu. W *Urodzonym* kobieta widzi mężczyznę, którego kocha, w odbiciu jego matki, którą postanowił jej pokazać. Widzi go w świetle tajemnicy jego początku: to z tej kobiety, z głębin jej ciała wyostał się na świat. Ona jest jego alfą: w niej został stworzony, wyczekany, uformowany. A teraz jest w połowie drogi – wędrowiec do omegi.

W *Ścięciu* znajduje się przemieniony, zastanawiający wers: „W pewnych okolicznościach sowa jest córką piekarza” (*Hamlet*, akt czwarty, scena piąta). Jest to aluzja do średniowiecznej opowieści o Chrystusie i piekarce, która nie dała chleba Zbawicielowi i za karę została zamieniona w sowę.

Jesteśmy w dobrze obmyślonym świecie: małym i wielkim, łatwym i trudnym, zwykłym i dziwnym, na który składają się „te zleпки, te zrostki, / te składanki-cacanki, te dystychy / rymujące człowieka z czapłą tak kunsztownie”, różne żarty i nadmiary wiekuiste, nawroty i wzloty, cuda i kłody pod nogi, marzenia i dary wyobraźni, widzenia i spostrzeżenia, szukania i unikania, znikania i czekania, loty i odloty, łyż i łyż ze szczęścia, pogody i niepogody, miłości i niemiłości, i miłość za wszelką cenę, i wiele różnych rzeczy.

Na wirującej gałce ziemi. Dla Szymborskiej ważne są te wszystkie miejsca, gdzie żyją bliscy jej ludzie, gdziekolwiek by to było, na tej czy na drugiej półkuli, w bloku obok czy za siedmioma górami, w siódmym niebie czy w zaświatach, na jawie lub w najodleglejszym śnie. Leci do nich jak na skrzydłach, bo z trzech cnót Boskich najmocniej uczepiona jest miłości.

Do serca w niedzielę to wiersz o cudzie istnienia, dziękczynienie i czułe świadectwo wdzięczności za te wszystkie niezasłużone zasługi, którymi zostało się obdarowanym, a one tak wspaniale wkomponowały się w życie i teraz uświetniają je w niepojęty sposób.

A jak rozumieć *Akrobatę*? Czy jest to wiersz o cyrkowym ekwilibryście, czy wiersz o nawróceniu (o nawracaniu się), o przechodzeniu z jednego stanu ducha w drugi?

Mozolnie lekko
z cierpliwą zwinnością,
w wyrachowanym natchnieniu. Czy widzisz,
jak on się czai do lotu, czy wiesz,

jak on spiskuje od głowy do stóp
przeciw takiemu jakim jest; czy wiesz, czy widzisz

jak chytrze się przez dawny kształt przewleka i
żeby pochwycić w garść rozkolysany świat
nowo zrodzone z siebie wyciąga ramiona.

W napiętej ciszy, pod kopułą cyrku: „Sam. Albo jeszcze mniej niż sam”. Zdany na cud, który go uratuje albo na łut szczęścia – na swoje wielkie i słabe możliwości. Akrobata, wspinający się w górę.

Co to za zasłona, przez którą tak wiele widać? Co to za ukrycie, które nie jest ukryciem? A do tego co to za gra, która już zgrała się do końca? W jednej chwili: płacz i taniec. Tu – ty (ja), tam – oni, którzy bawią się i nawet nie chcą wiedzieć, co dzieje się tu. Gry masek, gry luster, gry pozorów. Długie korowody. Tu – płacz, tam – taniec. „Ty tu płaczesz, w to im grasz” (*Ruch*). Wiruje świat.

Sto pociech. Ile zachceń może mieć człowiek, Boże „Niebożę”, stworzenie rozpięte pomiędzy szczęściem a nieszczęściem, kłamstwem a prawdą, doczesnością a wiecznością, niebem a ziemią, miłością a niemiłością. Widzi, słyszy, rozumie, chociaż „rekordem jego mowy jest tryb warunkowy”. Jest – i jest zawzięty. To dobrze wróży – na przyszłość (*Sto pociech*).

Żyjemy w matni zadziwiających przypadków i zbiegów okoliczności (*Wszelki przypadek* (1972)). „Wskutek, ponieważ, a jednak, pomimo”, to tam, to tu, to tak, to tak, to to, to tamto, to jest i nie jest, przedtem i potem, inaczej i jeszcze inaczej, nie tak i nie tak, bo nie chciał, bo mógł, bo musiał... jak w *Walcie* Becketta. Dziesiątki wariantów, które mimo wszystko prowadzą dalej – i dalej. Jakimś cudem ocalałeś. Istniejesz. Żyjesz po coś. „Nie umiem się nadziwić, namilczeć temu.”

Dzwoni telefon, dzwoni bez sensu, dzwoni przez pomyłkę (*Pomyłka*). Ktoś się pomylił, ale i tak jest to pomyłka nieważna, bo nikogo nie ma w tym pokoju, w którym dzwoni telefon – mieszkańcy są „wyniośle nieobecni”. O czym jest ten wiersz? O śmierci? O nieuchronności? O przeznaczeniu albo o braku przeznaczenia? Nic tu po filozofii, teologii, czy eschatologii. Ale jaka praca wre w języku! Jak to wszystko brzmi i alarmuje.

Obrazy wycofywania się z wyrazistych, jednostkowych istnień, aż do nieobecności i do nieistnienia (*Fotografia tłumy*). A w *Przemówieniu w biurze znalezionych rzeczy* słyszymy: „Sama się sobie dziwię, jak mało ze mnie zostało”. W tym wycofywaniu się z samej siebie, znanym już z wcześniejszych wierszy, jest próba utożsamienia się z innymi, próba udziału. Podobnie w *Zdumieniu*,



w którym podmiot zastanawia się nad swoją tożsamością i nad pozbywaniem się jej: „Czemu w zanedbto jednej osobie? / Tej a nie innej? I co tu robię?”.

Czarny czy ciemny kąt. I światło. Feeria światła, bujny i nieogarniony gąszcz. Istnienie w czasie: urodziny za urodzinami, święta za świętami, a wszystko to „raz jeden w przestrzeni” – na całą wieczność:

Te chaszcze i paszcze i leszcze i deszcze,
 bodziszki, modliszki – gdzie ja to pomieszczę?
 Motyle, goryle, beryle i trele –
 dziękuję, to chyba o wiele za wiele.
 Do dzbanka jakiego ten łopian i łopot
 i łubin i popłoch i przepych i kłopot?

(Urodziny)

To, co za kulisami, ważniejsze jest od tego, co jest na pierwszym planie. Tak jak w *Klasyku*, w którym poetka każe słuchać, słuchać, słuchać.

Wzruszenie, zamyślenie, pobudzenie, pisanie – tak rodzi się lub może urodzić się wiersz. Z jakiego natchnienia zrodziła się *Miłość szczęśliwa?* – pochwała (przekorna, ale dana z sympatią i nawet utożsamiająca się z tymi, którzy byli, są lub będą szczęśliwie zakochani!) miłości szczęśliwej, która wydarza się jak cud i jest jakby nie z tego świata.

A jaka jest miłość opisana w wierszu *** (*Nicość przenicowała się także i dla mnie...*)? To także jest miłość jak nie z tego świata:

Nicość przenicowała się także i dla mnie.
 Naprawdę wywróciła się na drugą stronę.
 Gdzież ja się to znalazłam –
 od stóp do głowy wśród planet,
 nawet nie pamiętając, jak mi było nie być.

Po tamtej stronie jest pustka, cisza i ciemność, „gwiazdne na chybił trafił! Tutejsze na opak/Rozpięte na krzywiznach, ciężarach, szorstkościach i ruchach!”. Tam nie ma łąk, świerszczy, chmur i wiatru. Czy jest to strona śmierci, wieczności, czy może ziemską krainą bezmiłości? „Jestem przy tobie./I do prawdy nie widzę w tym nic/zwyczajnego.” Po której jesteś stronie?

Wielkiej wagi pytania i krótkie odpowiedzi: „Przepraszam wielkie pytania za małe odpowiedzi” albo brak odpowiedzi lub zawieszenie głosu, zamknięcie, uśmiech, refren, metafora: „Ścierp, tajemnico bytu, że wyskubuję nitki z twego trenu”. Zadziwiające wyznanie z wiersza pod tytułem *Pod jedną gwiazdką*: „Wiem, że póki żyję, nic mnie nie usprawiedliwia,/ponieważ sama sobie stoję na przeszkodzie”.

Idzie w ciemności w krążku światła. Jest uważna, dokładna i przezorna. Wie dobrze, jak wiele idzie w prześlepienie, w niepomyślenie i w nieodżałowanie. W tytułowym wierszu *Wielkiej liczby* (1976) mówi:

Wybieram odrzucając, bo nie ma innego sposobu,
 ale to, co odrzucam, liczniejsze jest,
 gęstsze jest, natarczywsze jest niż kiedykolwiek.
 Kosztem nieopisanych strat – wierszyk, westchnienie.

Na gromkie powołanie odzywam się szeptem.
Ile przemilczam, tego nie wypowiem.
Mysz u podnóża macierzystej góry.
Życie trwa kilka znaków pazurkiem na piasku.

Raz po raz pojawiają się zaskakujące i zastanawiające wersy lub strofy, jak ten dystych z *Psalmu*:

Tylko co ludzkie potrafi być prawdziwie obce.
Reszta to lasy mieszane, krecia robota i wiatr.

Lasy mieszane, krecia robota i wiatr.

W wielu wierszach Szymborskiej jest jakiś oświeć, doza tajemnicy w środku wiersza, coś wyróżniającego i charakterystycznego, co niekiedy zaznaczone jest zaledwie aluzją, napomknieniem czy przemilczeniem. Jak określić poezję Szymborskiej, jakim ją nazwać terminem? Jest barokowa? A może oświeceniowa? Klasycystyczna? Współczesna? A i tak w tej swojej różnorodności jest wyrazista i jednorodna. Jak w *Portrecie kobiecym* (autoportrecie?), w *Ostrzeżeniu*, w którym jest przeciw kpiarzom i jest kpiarzem, który woli czwartek od nieskończoności, fałszywą nutę od muzyki sfer, a najlepiej czuje się „w szczelinach między/praktyką a teorią, przyczyną a skutkiem”, czy jak w *Cebuli*, gdzie podziw i zachwyt przeobrażają się w dystans niemożliwy do zlikwidowania („Byt niesprzeczny cebula,/udany cebula twór./(...) Dośrodkowa fuga./Echo złożone w chór”).

Żyje się na poczekaniu, w nieznajomości rzeczy, w poczuciu przypadkowości i niestabilności wszystkiego, ale nie do cofnięcia są słowa i odruchy, dekoracje są solidne, rekwizyty precyzyjnie rozmieszczone („Aparatura obrotowa działa od długiej już chwili./Pozapalane zostały najdalsze nawet mgławice.”). I to „życie na poczekaniu” podminowuje pewność istnienia jakichś wyższych praw, o których poetka mówi z powagą, a nawet z pewnym patosem:

I cokolwiek uczynię,
zamieni się na zawsze w to, co uczyniłam.
(*Życie na poczekaniu*)

W *Ludziach na moście* (1986), w wierszu *Nadmiar* jesteśmy świadkami odkrycia nowej gwiazdy. I co? Nic wielkiego się nie wydarzyło. To człowiek ważniejszy jest od gwiazdy na niebie: ona istnieje dla niego, nie on dla niej – może ją obserwować, badać, mieć za znak orientacyjny albo używać do budowania metafor.

Człowiek ma świadomość i jest to wyjątkowe wyróżnienie w całym tym dziwnym stworzeniu. Daje poczucie czasu i spraw ostatecznych, pozwala

rozumieć to, co dzieje się „pod niebem z natury bezniebnym,/w którym zachodzi słońce nie zachodząc wcale” i daje do tego dystans (*Widok z ziarnkiem piasku*).

Człowiek to ciało i duch. Ciało jest jak odzież – do znoszenia. Odzież osłania i chroni ciało. Co osłania i chroni ciało? (*Odzież*). „Nie ma pytań pilniejszych od pytań naiwnych”, mówi Szymborska w *Schylku wieku*.

Czy pytania, które dotyczą śmierci i obcowania z umarłymi to pytania naiwne? Wiele jest u Szymborskiej wierszy o śmierci i o obcowaniu z umarłymi. W *O śmierci bez przesady* wadzi się ze śmiercią, w *Domu wielkiego człowieka* opisuje pusty dom po śmierci właściciela, w *Konszachtach z umarłymi* przygotowuje się do spotkań z tymi, którzy umarli, i teraz zjawiają się i na pewno będą zjawiać się w snach, a w *Pogrzebie* przedstawia iskrzące humorem i czarnym humorem strzępy rozmów żałobników nad grobem.

Na świecie dzieje się każdego dnia tyle cudów, cudów wielkich i pospolitych, zwykłych jak chleb powszedni i kilka w jednym, pierwszych lepszych i nie pierwszych lepszych, sztukmistrzowskich i nie sztukmistrzowskich: „Cud, tylko się rozejrzeć:/wszechobecny świat” (*Jarmark cudów*).

W otwierającym *Koniec i początek* (1993) *Niebie* czytamy:

Jestem pułapką w pułapce
zamieszkiwanym mieszkańcem,
obejmowanym objęciem,
pytaniem w odpowiedzi na pytanie.
(...)
Moje znaki szczególne
to zachwyty i rozpacz.

Jak interpretować i rozumieć te wersy? „Im mniej, tym więcej”, mówi Beckett i tym lepiej dla poezji. „Tylko co to takiego poezja./Niejedna chwiejna odpowiedź/na to pytanie już padła./A ja nie wiem i nie wiem i trzymam się tego/jak zbawiennej poręczy” (*Niektórzy lubią poezję*).

Czy aż tak ulotna jest poezja? Za to świat jest dobrze uzasadniony, mocno określony, zawily, własny, bogaty w szczegóły: nieważne jest w nim ważniejsze od ważnego, niewiedza ważniejsza od wiedzy, niepewność od pewności, ale tylko wtedy gdy już się wie, że się wie na pewno lub nie na pewno (*Może być bez tytułu*).

To niedobrze, kiedy jest za wiele Wszystkiego (błogosławiona potrzeba redukcji!): „Tak wiele jest Wszystkiego,/że Nic jest całkiem niezłe zasłonięte” (*Rzeczywistość wymaga*). Tak jest w snach, a tym bardziej na jawie (*Jawa*).



Nie ma śmierci bez życia, tak jak nie ma życia bez cienia śmierci. Na szczęście umarli istnieją poza tym światem, a kontakt z nimi przywraca stare, właściwe miary. Na różne sposoby wypełniają swoją nieobecność: wątpliwy jest przywilej obecności bez tych, których kochało się ziemską miłością (*Rachunek elegijny*). Nawet kot czeka na kroki swojego zmarłego (nieobecnego)

pana (*Kot w pustym mieszkaniu*). Kobieta po śmierci ukochanego nie chce oglądać widoku, który był ich szczęśliwym widokiem: „Na tyle Cię przeżyłam/i tylko na tyle,/żeby myśleć z daleka” (*Pożegnanie widoku*). Słyszymy głosy umarłych, ich śmiech i szczęśliwe z nimi milczenie, bo wszystko między nimi i nami prześwietlone jest miłością.

Coś się kończy i coś się zaczyna. Można żyć z kimś, kogo nie ma, kto umarł, a teraz tym bardziej jest – od początku:

Każdy przecież początek
to tylko ciąg dalszy,
a księga zdarzeń
zawsze otwarta w połowie.
(*Miłość od pierwszego wejrzenia*)

Kto lubi „lamentników,/rozdzieraczy szat/i zgrzytaczy zębami”? „Gonitwa w kółko/zamienia się w ucieczkę przed uciekającym.” Zajmuje nas także „rozhuśtana na grozie wesołość”, rymowanki, uciechy, „sto pociesznych koziołków/nad stoma przepaściami” (*Komedyjki*).

Szyborska zapytana o mistrzów i najważniejsze wpływy wymienia: Kochanowskiego („Jest bardzo ważny – dorosłam do niego po długim czasie”), barok z Morsztynami i Sępem Szarzyńskim, Mickiewicza, a z awangardy Przybosa („Stworzył nową jakość w opisach krajobrazu”) i Ważyka i „wiele różnych wierszy różnych poetów”. O Białoszewskim mówi: „Bliski mi rodzaj humoru, rodzaj dezynwoltury wobec rzeczywistości. Przypomniał, że poezja jest zabawą, bardzo cudowną, odbywaną czasem w pocie czoła, ale zabawą w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu”. O wierszach księdza Jana Twardowskiego: „Jego poetyka jest mi bardzo bliska – ma pietyzm do szczegółu zaskakujący, umie pokazać radość z byle czego i to byle co jest dla niego bardzo piękne. Nie przechodzi do porządku dziennego nad drobnymi sprawami”. O Świrszczyńskiej: „Jest dla mnie bardzo ważna. Znakomita poetka! Cudowne są jej wiersze pisane przed wojną. *Budowałam barykadę*, obok *Pamiętnika z powstania warszawskiego* Białoszewskiego, to jest prawda o wojnie”. O Międzyrzeckim: „Znakomity poeta! W jego poezji jest szlachetna zabawa, głębszy sens, zamyślenia, zaduma nad życiem”. Z poetów innych języków wymienia Rilkego: „To był cios obuchem w głowę! Czytałam go w oryginale: jakie to jest gęste, niesłychanie zwarte, bardzo mocna tkanka – każdy wiersz” i Kawafisa, chociaż zastrzega się, że za chwilę może wymienić kogoś innego i śmieje się. Mówi, że w wierszu ważny jest dla niej przede wszystkim opis, że zawsze stara się nakreślić opis sytuacji.

W odczycie noblowskim *Poeta i Świat* (1996) mówi, że tak naprawdę dla poety liczą się tylko te chwile „w ciszy, w oczekiwaniu na samego siebie, nad nie zapisaną jeszcze kartką papieru”. I mówi o natchnieniu, tym dziwnym stanie ducha, który rodzi się z bezustannego „nie wiem”. „Nie wiem” to są dla Wisławy Szymborskiej dwa bardzo ważne i cenne słowa, „rozszेरzające nam życie na obszary, które mieszczą się w nas samych i obszary, w których zawieszona jest nasza nikła Ziemia”. I każdym wierszem stara się pomniejszać i powiększać te przecież bezbrzeżne terytoria. Dlatego jako jednego z najważniejszych poetów wymienia Eklezjastę.

Noblowski odczyt Szymborskiej lśni i iskrzy humorem, wdziękiem, pokorą i skromnością, jest krótki i mądry: „Wszelka niedoskonałość lżejsza jest do zniesienia, jeśli podaje się ją w małych dawkach”. Sceptycyzm i podejrzliwość przede wszystkim wobec siebie to jej najlepsi doradcy. Ten odczyt sztokholmski jest tak jak cała poezja Szymborskiej pochwałą istnienia świata, poezji i wszelkiego na tym świecie istnienia.

Pierwszy ponoblowski tomik – *Chwila* (2002) skomponowany jest jak utwór muzyczny. Wiersz tytułowy to introdukcja („Wszystko na swoim miejscu i w układowej zgodzie”). Trzy następne wiersze są zapowiedzią głównych tematów: *W zatrzęsieniu* (ja i poezja), *Chmury* (natura, czas, przemijanie), *Negatyw* (życie i śmierć, poezja i cisza). Osiemnaście kolejnych wierszy rozwija i zacieśnia te tematy.

Słuchawka to wiersz o śmierci, o ciszy i o poezji. Sen, który staje się wierszem i wiersz, który jest przebudzeniem („Śni mi się mocowanie moje / nadaremne”).

Trzy słowa najdziwniejsze to Przyszłość (czas), Cisza (słowo) i Nic (byt – Byt Idealny, patrz: *Platon, czyli dlaczego*).

Po tych wierszach „teologicznych” i „filozoficznych” i po „przyrodniczym” (Natura) *Milczeniu roślin – Mała dziewczynka ścięga obrus!* Poetka dokonuje próby, sama sobie psując (rozbijając) szyki („Ta próba dokonana być musi. / I będzie”). Ten wiersz po mistrzowsku w kontekście religijnym i filozoficznym zinterpretował Czesław Miłosz (*Szymborska i Wielki inkwizytor*, w tomie: *O podróżach w czasie*, Kraków 2004), tak kończąc swój tekst: „Jak więc widać, pod niewinnym wierszem Wisławy Szymborskiej kryje się przepaść, w którą można zapuszczać się niemal bez końca, jakiś ciemny labirynt, który chcąc nie chcąc zwiedzamy w ciągu naszego życia”. W tych fragmentach staram się zarazić moją fascynacją światem Wisławy Szymborskiej, jej pasją, zmaganiem się i pogodą ducha ujętymi w nieprzewidywalne słowa, wersy i wier-

sze, które kto wie, jakie jeszcze kryją w sobie przepaście, ciemne korytarze i sowie zagadki.

Lęk przed złem obecny jest już w dzieciństwie, tak jak w wierszu pt. *Kaluża*: lęk przed zamknięciem, zatrzaśnięciem i zniknięciem na zawsze w czarnej czeluści:

Dopiero później przyszło zrozumienie:
nie wszystkie złe przygody
mieszczą się w regułach świata
i nawet gdyby chcieli,
nie mogą się zdarzyć.

A więc zło nie jest wszechwładne: to nasza wyobraźnia przekracza obecne w regułach świata zło, zwielokrotnia je i demonizuje, a w rzeczywistości zło tkwi w regułach świata jak w pułapce.

To pierwsza miłość oswaja jeszcze nieświadomego człowieka ze sobą, jest akuszerką pierwszego miłosnego wstrząsu a po latach oswaja znowu nieświadomego człowieka ze śmiercią – jest akuszerką tego ostatniego wstrząsu, ostatnich przeżyć i doświadczeń na ziemi (*Pierwsza miłość*).

Trochę o duszy to wiersz bardzo osobisty, liryczna medytacja, wyznanie metafizyczne. Podobnie *Wczesna godzina* – opis cudu ustanawiania dnia, świadectwo spóźnionego i wdzięcznego świadka. I inne tego rodzaju wiersze, które są jak fragmenty rachunku sumienia: *Ze wspomnień* (zazdrość i kłamstwo), *Przyczynek do statystyki* (lista grzechów i win w perspektywie nieuniknionej śmierci), *Jacyś ludzie* (stosunek do bliźnich), *Fotografia z 11 września* (współczucie dla bliźnich i miłosierdzie dla nich).

Bagaż powrotny raz jeszcze uświadamia cud i tajemnicę życia na ziemi. W *Balu* ludzie przeżywają życie w wielkiej skali od szczęścia do nieszczęścia: nie ma wieści, kto wyznaczył dla nas tę skalę, ale ona jest. Z *Notatki* dowiadujemy się, że życie to jedyny sposób, żeby szukać i „bez ustanku czegoś ważnego/nie wiedzieć”.

Ale kto pyta, nie błądzi. W *Spisie* poetka pyta:

Dlaczego rzeczy złe
brałam za dobre
i czego mi potrzeba
żeby się więcej nie mylić?

A jeszcze jest szyfr pytań zaszyfrowany w nieczytelnym piśmie własnym. Może to jest ten „szyfr właściwy”? Aż wreszcie opuści nas ostatnie pytanie. I innych pytań nie będzie.

To są już przed-ostatnie akordy. Całość wieńczy koda. Wszystko na tym świecie jest tylko „strzępkim zawieruchy”, tak jak chwila, która jest strzępkim czasu (*Wszystko*).

Większość wierszy *Chwili* jest o śmierci, o cudzie życia i o śmierci, która nie jest kamienną ścianą, nie jest końcem. Umarli śnią się, zjawiają na jawie, telefonują i próbują wywoływać żywych. Chwila, sen, chmury, cienie, cisza, milczenie to główne słowa tego tomiku. W tych wierszach wspomina się umarłych i wskrzesza się miłość, która jest życiodajną siłą, światłem, które toruje drogę.

Przecinające się świetliste linie: ja – on; ona – on; ona, on – sytuacja. Próby przełamania osobności, próby udziału. Istnienia w ułamkach sensu, który ocala od samotności, bezmiłości, beznadziei, zaplątania się bez ratunku.

Tu nie ma rozstrzygnięć, ale nam przy czytaniu tych wierszy rozstrzygnięcia nie są potrzebne. Wsluchujemy się w głos poetki i w głosy, które są dla niej natchnieniem.

Ona idzie w krążku światła tej swojej cudownej inności i daje nam wiersze – znaki. Jej poezja jest próbą porozumienia się z tymi, którzy nie dali za wygraną, którzy chcą iść w świetle. Jest dla nich nauką i doświadczeniem, łaską spotkania.

Krzysztof Myszkowski



Kazimierz Hoffman

Beckett. Tybinga

oblęd już samo to

no właśnie co –

na pozór
nic

O

zmienne
myślenia

stan
ruch

jakby
forma

w ruchu

raz w świetle,
raz w cieniach

po
prostu

i
tyle

o.

Co

no
właśnie – co –

nie do przekroczenia.

*

a starczy
zwrot i

przyzwolenie

Wieża.

Tybinga

*

*szczęśliwy ten, komu przypadł
skromny los*

wnętrze

ze światła
i z cienia

osiem kroków

odtąd
dotąd

nie, nic
więcej

spokój. Lotte
nachyla się

poprawia
kołdrę, skupiona

zasnął.

Za oknem
przedwieczarz

*I lilia nad wodą strumienia
Wydycha ku nam woń złotą.*

W ostatniej części utworu cytaty z Hölderlina w przekładzie Mieczysława Jastruna.

Pisarstwo

samotność

i
tryb

tak,

ta surowa
reguła u d z i e l o n e g o czasu

nie. Nie pytaj, nie wypada. Dar.

Szkiców do portretu część pierwsza

pamiętny dystych

*Wygaśnięcie Absolutu niszczy
sferę jego przejawiania się*

nie treść
bolała wtedy,

a pewność siebie
autora *Plaskorzeźby*

*

miesiąc czy dwa później
w jednym z czasopism

zdjęcie
poety. I tu już go miałem.

*

w delikatnych oprawkach szkieł
w z r o k, para oczu starca, z których
jedno oswaja, drugie odpycha

poraża niemal. Rzecz w zbliżeniu
tylko i ujęciu, skośnie (twarzy), przez
kamerę? czy

coś więcej, no

właśnie: cecha
tego wzroku, dokładniej: spojrzenie

– spłoszony
oryks, niebaczny
na dwoje, w odskoku!

ten
flesz, wzięty
z mgnień (ujęć) w *Animal Planet*, pod-

dany obróbce jeszcze,
niemniej
oddaje *spectrum* ujrzone wtedy

*

przemienność
czasu, ruch

rytmy
zmian

kto tak zaznaczał, miał rację.

*

i
nie wiem co mówić teraz;

na Stronie Siedemnastej, z października
bodaj, tego roku, „chudy” jak zwykle u niego
wiersz

*ten Człowiek
syn boży
jeśli umarł*

*zmartwychwstaje
o świcie każdego dnia*

tak. I choćby tego nie zamierzał albo
nie chciał nawet, tu, w tym
fragmencie, on

poeta, daje d o w ó d wiary w to
wszystko, co Jezus o sobie powiedział

*

zbawienne chwile zaskoczenia,

odmiany

w patrzeniu

na Drugiego, w osądzie jego (...)

a

wówczas

był błąd

jednak; myliłem

u w a g ę

z popłochem, ten

nerw

w spojrzeniu,

z krzykiem

*

Spojrzenie

jak każde

ma lęki musi je mieć jest żywe przecież Jest

uważne.

Cytat z wiersza Tadeusza Różewicza *** (*Dostojewski mówił...*) z „Tygodnika Powszechnego” z 10 października 2004.

Kazimierz Hoffman

Copyright Information and Acknowledgments

For the Polish translation © by Tomasz Korzeniowski

Havallim © Copyright in the original Hebrew Haim Be'er

Dolly City © Copyright in the original Hebrew Zmora Bitan and Orly Castel-Bloom

Kishuim © Copyright in the original Hebrew Keter and Mira Magen

Polish translation by arrangement with The Institute for the Translation of Hebrew Literature

Szetihii li hasakin © Copyright in the original Hebrew Hakibbutz Hameuchad and David Grossman

Polish translation by arrangement with the Harris/Elon Agency

Fotografie autorów publikujemy za uprzejmą zgodą The Institute for the Translation of Hebrew Literature oraz Harris/Elon Agency

Fotografie Arie Bar-Lewa publikujemy za uprzejmą zgodą Autora.

Serdecznie dziękujemy The Institute for the Translation of Hebrew Literature, Harris/Elon Agency oraz Panu Arie Bar-Lewowi za wszelką okazaną pomoc.

We are grateful to The Institute for the Translation of Hebrew Literature, Harris/Elon Agency and Mr Arie Bar-Lew for the support.

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego”



Fot. Marianne Veron

Chaim Be'er

Sznury

Pisanie o matce to siłą rzeczy pisanie o przeszłości i z niepojętej odległości, gdy w zawodnej pamięci próbuję zastawić pułapkę ze słów, najpierw wyciągają się ku mnie jej zaplamione krwią ręce, trzymające jednego z karpiei na świąteczną wieczerzę. Z jego rozwartych wnętrzości wyciągała pęcherz i pytała łobuzerskim głosem, czy wciąż pamiętam, że Naomi Kaplan, moja koleżanka z przedszkola, która lubiła bawić się nimi w czasach głodu, zwykła nazywać je imieniem ministra dystrybucji: „Balony, balony Dowa Josefa”.

Słowa matki wywołały uśmiech na twarzy pani Ruchamy Weber, która przyszła zapytać o szklankę mąki na macę, i powiedziała, że z jakiegoś powodu rybi pęcherz przypomina jej swoim wydłużonym i gładkim kształtem jego majestat grafa Zeppelina, który w mgnieniu oka przeciął niebo jej mło-

Chaim Be'er, ur. 1945 w Jerozolimie. Wyrastał w rodzinie ultraortodoksyjnych Żydów. W Armii służył jako rabin wojskowy. W 1966 rozpoczął pracę w Wydawnictwie Am Owed, początkowo jako korektor, potem redaktor. Przez dziesięć lat publikował felietony w weekendowym wydaniu dziennika „Dawar”. Píše wiersze i prozę. Otrzymał wiele literackich nagród, wśród nich nagrodę premiera rządu Izraela.

dości. „Kiedy, według ciebie, to było?“, nasza nużąca sąsiadka zmrużyła oczy i przeciągnęła czubkami palców po gładkiej powierzchni pęcherzy, które drżały i cofały się i nurzały się we własnym śluzie, i ignorując drżenie górnej wargi mamy, powiedziała, że według jej rachunku, było to w 31 roku, a dokładniej, w szabat¹ po Pesach². Całymi latami statek powietrzny nie przebiegał muru jej pamięci, i oto nagle, właśnie teraz, parę dni przed połową jubileuszu pięćdziesięciolecia, do tego wiosennego poranka szabat, kiedy rodzice zabrali ją i jej młodszych braci, by obejrzeć cud z nieba, który przyleciał z Niemiec, znowu Zeppelin zjawia się na niebie. Stała tam, obok młyna w starym Montefiore³ i wpatrywała się z rozwartymi ustami w okienka maleńkiej kabiny pasażerów, przyczepionej do podbrzusza ogromnego balonu, ogarnięta zazdrością do jego lokatorów, którzy mogli patrzeć na świat z wysoka, kiedy jej synowie tańczą pod zeppelinem z kołyszącymi się pejsami i żądają potwierdzenia ich przypuszczenia, że wielka powietrzna ryba to nic innego, tylko Lewiatan zamówiony na ucztę sprawiedliwych w raju⁴. Najstarszy brat jest teraz inżynierem lotnictwa w Michigan, a młodszy prymusem u Einsteina na Uniwersytecie Princeton, lamentowała cicho Ruchama, a ona, której marzenia już wtedy szybowwały wysoko wysoko, tkwi tu na końcu świata, ze swoim nieudacznikiem. W swej wielkiej głupocie ludziła się jego naiwnym pisanem i miękką podczas lektury jego listów miłosnych, a on, w końcu, z trudem zarabiał pisanem adresów z zawijasami na listach z prośbami „Domu Sierot Weingartena“. Takie jest życie, skonkludowała nasza sąsiadka smutnym tonem, Zeppelin jak przyleciał, tak odleciał – kilka chwil wielki cichy pęcherz krążył nad starym miastem i nagle wzniósł się wysoko i zniknął powoli na północy, lecąc ku łańcuchowi gór koło Nabi Samuel⁵ i zostawił po sobie na lazurowym niebie dziwną pustkę.

Mama, nie swoim zwyczajem, starała się nie reagować na słowa Ruchamy Weber, jakby jej w ogóle nie dotyczyły, i dalej dzieliła karpie i odcinała im

¹ szabat – (albo szabas – w wymowie Żydów Europy Środkowo-Wschodniej), sobota, rozpoczyna się wraz z zachodem słońca w piątek i trwa do zachodu słońca w sobotę, a jej świętowanie jest wypełnianiem biblijnego nakazu i stanowi jeden z najważniejszych obrzędów. Szabat jest świętem szczególnym wobec pozostałych świąt judaizmu. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza. (red.)]

² Pesach – święto Pesach, ustanowione w Biblii, na pamiątkę wyjścia Żydów z niewoli egipskiej, co miało miejsce w XIII w. p.n.e.

³ Montefiore – dzielnica Jerozolimy.

⁴ Lewiatan... raju – według judaizmu, po nadejściu Mesjasza, wszyscy sprawiedliwi, tj. żyjący według Boskich przykazań, zasiadą w raju do wspólnej z Mesjaszem uczyty, na której główną potrawą (obok byka Szor-ha-bor) będzie Lewiatan, biblijny morski potwór.

⁵ Nabi Samuel – arabska dzielnica pod Jerozolimą.

*Jerozolima. Nabi Samuel.**Fot. Arie Bar-Lev*

głowy. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu również nie wypłoszyła ojca, który wyciągał głowę w kierunku wąskiej furtki, która łączyła nasze mieszkanie z małą filią „Tnuwy”⁶ moich rodziców w tym samym domu i korzystał z nieobecności klientów do zabawiania gościa banalnymi żartami o dziecku, które zaprowadzone do ojca do łaźni zobaczyło tam, po raz pierwszy w życiu, przepuklinę w pachwinie przewodniczącego gminy, najznamienitszą spośród wszystkich braci wspólnoty. „Co to?” zagwizdał głośno ojciec, naśladując pytanie dziecka na widok płynącej po wodzie przepukliny. „To zeppelin, synu”, pouczył go. A dlaczego on nie frunie w powietrzu jak wszystkie zeppelin?” dziecko dodało pytanie. „Bo kapitan jest szmok?”⁷ ojciec wybuchnął dzikim śmiechem i pośpieszył, by znowu zniknąć w sklepie, po tym jak wycisnął jęk protestu z ust pani Weber, która pytała mamę, czy to rozzłoszczona czy to obrażona, od kiedy jej mąż, który studiował w Instytucie Nauk w Kijowie, przestał zachowywać się jak dżentelmen i zaczął opowiadać dowcipy pozbawione smaku, jak jeden z tych próżniaków, zbierających się

⁶ Tnuwa – tu: nazwa własna spółdzielni mleczarskiej, istniejącej w Izraelu od lat 20. XX w.

⁷ szmok – (jid.) kutas.

wokół gramofonu w sklepie z gazetami Wajsfisza i słuchających fragmentów synagogalnych śpiewów.

Mama dalej okopywała się w ciszy, a Ruchama Weber, która już tego nie mogła znieść, zaczynała przesłuchiwać ją nosowym głosem, który maskował zakłopotanie, gdzie ona była, kiedy niemiecki graf nawiedzał Jerozolimę i czy ona też poszła w góry powitać go, jak wszyscy.

„On stał tam, na stoku, obok Augusty Wiktorii, na środku pola maków czerwonych jak krew i uśmiechał się swym przeklętym martwym uśmiechem”, odpowiadała mama, która bez związku deklamowała swoje słowa, jakby czuwały wraz z nią od czasu, gdy powtarzała je niezliczoną ilość razy, i dodała, że gdyby nie uległa perswazjom Nechamy Wallensztajn i nie dołączyła do towarzyszek z lat młodości z „Miss Landau”, kiedy poszli na Górę Scopus⁸, nie zobaczyłaby go stojącego tam, z łodygą maku między palcami, jak dziwka paląca papierosa, i jej życie nie stałoby się kielichem gorczy, przepełniającym się bez końca.

Nienawiść mamy do kwiatów maku była dla mnie jedną z zagadek, o której rozwiązanie nie śmiałem jej prosić. Dwa lata wcześniej, kiedy wróciłem do domu z włóczęgi po zagajniku Sznelera, z wiązanką polnych kwiatów w ręku, które tam zebrałem, mama wyrwała je z mojej dłoni, a wśród nich jaskry, margerytki, ostatnie pierwiosnki, wyciągnęła z demonstracyjnym wstrętem, końcami palców, maki i wyrzuciła je na zewnątrz, na podwórze. „Mam na nie alergię, szkodzą mi na oczy”, wyjaśniła przemoc, której nie zdołała poskromić, ale jej twarz zdradzała nienawiść i ból; te powróciły i wybuchły kilka miesięcy później, podczas pewnej zimowej nocy, kiedy otworzyliśmy uroczyście paczkę z Ameryki, którą posłał nam jej brat na Chanukę⁹, a w niej była pościel, obrusy, a wśród nich jeden szczególnie wielobarwny, ozdobiony dokoła wiązkami maków. „Nie potrzebujemy u nas w domu takiej wstrętnej ścierki”, rzuciła i na naszych zdumionych oczach odniosła obrus do szafy na buty, która stała w zadaszonym wejściu do domu. „Jak dla mnie, to możesz go zabrać do swojej synagogi”, powiedzia-

⁸ Góra Scopus – hebr. *Har ha-cofim* (dosłownie góra obserwatorów). Góra w Jerozolimie, będąca granicą miasta. Nazwa nawiązuje do faktu obserwowania z niej ruin Świątyni przez przybywających do miasta pielgrzymów.

⁹ Chanukę – ośmiodniowe święto 8 dnia miesiąca kislew (około połowy grudnia), upamiętniające zwycięstwo Machabeuszy, żydowskich powstańców przeciw grecko-syryjskim wojskom Antiocha IV Epifanesa w 164 p.n.e. Według tradycji, Żydzi odzyskali zbeszczeszczoną Świątynię Jerozolimską i znaleźli tam porcję oliwy do lampy (menory) na jeden dzień, która w cudowny sposób płonęła osiem dni.

ła do ojca, „możecie na nim kroić śledzie, albo kugel¹⁰”. Miała zły nastrój, górna warga wydeła się, a ona twierdziła, że pomimo niedostatku jaki cierpimy tu, w Kraju, nie potrzebujemy jalmużny amerykańskich bogaczy, którzy posyłają nam wszystko, co wyszło z mody i sprzedawane jest tam po cenach posezonowych. „Masz alergię także na kwiaty malowane?”, zapytałam beczelnie. Ojciec zdusił uśmiech zakłopotania, a mama, która zastygła w bezruchu, ze wzrokiem wędrującym niespokojnie między okrytymi wstydem prezentami, nagle przemyślała i powiedziała mi głosem złagodzonego, że z pewnością nie każdą rzecz trzeba pamiętać i nie każdą rzecz trzeba przypominać. Potem, kiedy ojciec poszedł do synagogi „Braterstwo” na lekcję codziennej stronicy¹¹ dla gospodarzy domu, mama przycisnęła mnie do siebie, zaskoczonego, i powiedziała, że ten, kto jest obdarzony pamięcią, nie ma wyboru i musi rozwinąć umiejętność znoszenia bólu, ale przyczyny nienawiści do maków nie wyjawiała. Teraz, wiedziałem, w końcu tajemnica się wyjawia.

„Kto tam stał, Zeppelin?”, zgadywała ostrożnie Ruchama, dla której jeszcze nie było jasne, dlaczego mama jest taka wzburzona.

„Szwarcjor”¹², rzuciła, nie podnosząc wzroku, ani nie przerywając czyszczenia ryb. Nigdy nie słyszałem mamy z imieniem swojego pierwszego męża na ustach, poza tym jednym jedynym razem, kiedy opowiedziała mi, po wyłożeniu pliku pociętych zdjęć, o których jeszcze opowiem, o dziejach pierwszego małżeństwa, z wszystkimi szczegółami, i o dziejach krótkiego życia i śmierci jej dwóch małych córek. Wyrok ekskomuniki, jaki mama nałożyła na jego imię, był tak zdecydowany i bezkompromisowy, że dotyczył także jej nazwiska, kiedy towarzyszyło mu jego rodowe nazwisko. We wszystkich książkach, które uratowali z ruin tamtego domu i sprowadzili do domu rodziców, strony tytułowe były urwane na lewym marginesie u góry, gdzie było wpisane jej nazwisko. Ponadto, kiedy odkryliśmy po wojnie sześcioldniowej groby jej córek na Górze Oliwnej i oczyściliśmy małe nagrobki, wyjaśniło mi się, że także tam ukryte było nazwisko rodziny ich ojca, a zamiast niego wyryto nazwisko ich dziadka. Grabarz reb¹³ Ele Minc – „Jestem wa-

¹⁰ kugel – (jid.) świąteczna potrawa Żydów aszkenazyjskich (Europy Środkowo-Wschodniej). Rodzaj zapiekanki z ziemniaków, ryżu, albo makaronu.

¹¹ codziennej stronicy – (hebr. *daf iomi*) – wprowadzony w 1923 roku wśród Żydów na całym świecie program studiowania jednej stronicy Talmudu dziennie. Jeden cykl trwa około 7 lat.

¹² Szwarcjor – (jid.) dosłownie „czarny rok”, przenośnie „diabeł”. Tu: nazwisko.

¹³ reb – (jid. z hebr. rabbi, nauczyciel) – tu: tytuł grzecznościowy, pan.

szym starym przyjacielem od lat, pochowałem całą twoją rodzinę”, wyznał raz do mego ucha w chwili wielkiej bliskości duchowej, bez żadnej ironii – powiedział mi, kiedy przyszedłem zamówić dla niej nagrobek, że „pamięta jak dzisiaj”, jak „mama, niech żyje w pokoju”, walczyła jak ranione zwierzę z wszystkimi woźnymi synagogi Bractwa Pogrzebowego i groziła, że jeśli nie zgodzą się na jej prośbę, żeby nie wykuwać na grobie dziewczynek nazwiska tego przekłętogo nic niewartego człowieka, ona wejdzie na cmentarz i tam się zarżnie na grobach rzeźnickim nożem swego ojca.

Ruchama Weber, która wiedziała mgliście o niepowodzeniu pierwszego małżeństwa mamy, siedziała zwinęta na „fotelu elektrycznym” – tak ojciec nazywał głęboki fotel, w którym mama zwykła sadzać go, kiedy go sądziła – a jej palce wędrowały między liliami tkanymi na tapicerce, tworząc fikcyjny labirynt kółek szczepionych z sobą.

„Już tego samego wieczora zaprosił mnie na *rendez-vous*”, powiedziała mama i przykręciła ręczną maszynkę do mielenia mięsa do krawędzi blatu stołu z takim samym żarem, z jakim chłopcy Torquemady przygotowywali narzędzia tortur Inkwizycji; „Musisz wiedzieć co to jest *rendez-vous*”, zwróciła się do mnie po tym, jak przypomniała imię Naomi Kaplan, jakby nie zwracając na mnie uwagi. „Tak nazywano kiedyś, kiedy byłam dziewczyną, romantyczne spotkanie z chłopakiem. Pod wieczór, kiedy wracaliśmy z „Cinema Syjon”, nagle przed wejściem do szpitala włoskiego, Szwarcjor popchnął mnie do płotu i pocałował”.

Pewnego zimowego szabatu, kiedy wracaliśmy z wizyty u babci, przechodziliśmy tamtędy razem. Delikatne słońce, które zerknęło na chwilę spomiędzy strzępów chmur, wylało się na nasiąknięte wodą mury budynku szpitala włoskiego i na dywan w grona owoców czerwonej papryki, który burza wyrzuciła wczoraj na zalane chodniki. Mama gderała, dlaczego musimy wydłuzać drogę do domu, ale ojciec uparł się i powiedział, że nie zaszkodzi nam pospacerować trochę po świeżym powietrzu, po tym jak byliśmy uwięzieni całe przedpołudnie w małym pokoju babci, wdychając opary nafty jej szabatowego¹⁴ prymusa. Na skrzyżowaniu ulic Saint Paul i Proroków mama objęła mnie nagle i pocałowała w głowę i powiedziała, że przed wojną stała tu, w kamiennym wykuszu w rogu budynku, rzeźba Marii trzymającej swego syna w ramionach. „W jej pochyleniu głowy, pokrytej kapturem, ku swemu niemowlęciu, było tyle miłości i matczynego ciepła, że moje serce rozdzierała

¹⁴ szabatowego – używanego w szabat – zob. przyp. 1.



Jak długo Panie? Iz. 6,11. Jerozolima, Ściana Płaczu.

Fot. Arie Bar-Lew

litość". Ale ojciec uciszył ją i zapytał dlaczego żydowskie dziecko musi, i to jeszcze w szabat, wysłuchiwać chrześcijańskich legend o bękarce i jego matce, brnącej swoją drogą i tak, niesiony na fali żydowskiego zachwyty, powiedział, że musimy pochwalić i podziękować pociskom legionu arabskiego, za to, że wypełnił swoją misję tak dokładnie, że nie powstydziliby się tego nawet włoscy chirurdzy, którzy tu pracowali, zanim to miejsce zajął RAF.

„On pocałował mnie w usta”, powiedziała znów mama, a jej górna warga, na której był cień delikatnego puszkę, wydeła się jak przed płaczem, „a dziecię lat później, o trzeciej nad ranem, na dziecięcym oddziale w „Bikkur Cholim”¹⁵, kiedy wyszłam z pokoju córki, zobaczyłam go. Stał na końcu korytarza, w mroku, z siostrą stażystką w ramionach i całował ją. Tu leży wyćieniona Towele, zabrana w strasznych cierpieniach w ramiona Anioła Śmierci, a on całuje tę małą dziwkę. Niecałą godzinę później, kiedy wstał świt, córka odeszła, a mi nie zostało nic. Zupełnie nic. Jak pijana poszłam do

¹⁵ Bikkur Cholim – (hebr. odwiedzanie chorych), to jeden z 248 nakazów religijnych, stanowiących wraz z 365 zakazami 613 przykazań (obowiązków, tzw. micwot), zawartych w Torze (Pięcioksięgu). W religijnych gminach żydowskich istnieją stowarzyszenia Bikkur Cholim, celem realizacji nakazu odwiedzania chorych.

mamy, do Batei-ungarin, bo do tamtego domu nie miałam po co wracać. A Szwarzjora nie chciałam widzieć nigdy więcej”.

Kuzyn Jehuda, kiedy zobaczył ją tego ranka, nadchodzącą samą, z okrytymi włosami, ulicą Chancellor, popychającą przed sobą pusty wózek swojej zmarłej córki, powiedział mi po wielu latach, w dzień kiedy chowaliśmy umęczone ciało matki w ziemi, że tego okropnego widoku nie zapomni nigdy. Dopiero teraz, kiedy już nie mogę powstrzymać się do takiego stopnia jak przez te wszystkie lata, kiedy nie mogłem pisać o niej, po raz pierwszy w moim życiu próbuję opisać górną wargę mamy tak, jak ją widziałem wtedy, w półświąteczne dni Pesach¹⁶, wydymanej nadmiarem poniżenia, ukrytą goryczą, bólem, który nie ma umiaru, składałam moje usta na jej ustach, i pozwalałam, by ten płacz, który ona powstrzymuje za zaciśniętymi zębami, wybuchnął.

Ruchama Weber usiadła z głową opuszczoną, pociągając nosem i wycierając oczy chusteczką.

„Nie zrozumiesz tego nigdy, Ruchama”, powiedziała mama, wzięła kawałek karpia i zaczęła wciskać je w czelusć maszynki do mięsa. „Od wtedy nie pozwalałam mężczyznom całować mnie w usta. To zdoła tylko Anioł Śmierci w swej chwale”.

„Dosyć, nie wolno dziecku słuchać takich rozmów”, pani Weber pochyliła lekko głowę ku mnie i szepnęła parę słów w jidysz¹⁷, abym nie zrozumiał. „Kiedy kobiety w końcu zaczynają odczuwać związek duchowy między sobą i odkrywają jedna drugiej to, co im leży na sercu, dzieciak powinien być na zewnątrz, ze swoimi rówieśnikami”.

„A niech słyszy”, mama zignorowała słowa kazania sąsiadki, odwróciła się do mnie i powiedziała: „Specjalnie ci to opowiadam. Musisz wiedzieć o wszystkim. Może któregoś dnia coś z tym zrobisz”.

Rybie mięso przecisnęło się na zewnątrz przez otwory w metalowym kółku, jak różowawe dżdżownice, wyglądające z mokrej ziemi po deszczu, a mama, która już kończyła przygotowywanie mielonki, powiedziała, że po wielu latach lektur nie ma już prawie żadnych wątpliwości, że pisarze często opierają

¹⁶ półświąteczne dni Pesach – w okresie niektórych świąt, jak Pesach (zob. przyp. 1) część dni ma charakter powszedni, wówczas dozwolone jest wykonywanie niektórych czynności, zakazanych w czasie dni świątecznych.

¹⁷ jidysz – jeden z języków żydowskich, powstały ok. XII wieku na pograniczu germańsko-słowiańskim, którym posługują się Żydzi aszkenazyjscy (Europy Środkowo-Wschodniej), w odróżnieniu od np. języka ladino, Żydów sefardyjskich (Hiszpania, basen Morza Śródziemnego). Posługując się alfabetem hebrajskim, jidysz zawiera duży procent słów zapożyczonych z języka niemieckiego, hebrajskiego oraz języków słowiańskich.

swoje dzieła na prawdziwych życiowych tragediach, a szczególnie na tych, które wydarzyły się w ich rodzinach. „Jeżeli chcesz znać źródło, z którego Czechow i Balzak czerpali moc i siłę ducha”, oznajmiła teatralnie, zerknęła na mnie kątem oka, „Wynijdz do ziemi i ojczyzny i do domu ojców ich”.

Ruchama Weber rzeczywiście nie zauważyła tego zabawnego połączenia, jakie mama zrobiła z Pięcioksięgiem¹⁸ i Bialikiem, ale wykorzystała tę szybką dziwną zmianę w nastroju mamy, aby uciec z „elektrycznego fotela” i osiągnąć w końcu cel swej wizyty. „Daj mi trochę mąki na macę, w imię Boże”, dopasowała melodię swej prośby do jej głosu. I wyciągając pustą szklankę poinformowała, że jeśli nie przygotuje dla swojego głupiego pobożnisia, który cały Pesach powstrzymywał się i nie jadł szruia¹⁹, kneidelech²⁰ wielkości gęsich jaj, on zamieni święto w żałobę. Ale mama, której nie w głowie było przerywać wykład na temat literatury i życia w środku, zignorowała ją i kontynuowała mówiąc, że i Balzak i rabinowa tykocińska²¹, która siedzi czasem wieczorem na szerokim balkonie Batei-ungarin²² i obmawiają ją sąsiadki, zbierają w gruncie rzeczy te same materiały. I wtedy na chwilę mama zamilkła i obserwowała twarz naszej sąsiadki, by zobaczyć jakie wrażenie zrobiło na niej to porównanie, a Ruchama rzeczywiście wykrzywiła, jak można było przewidzieć, twarz i powiedziała, że wrzucać francuskiego goja i wdowę reb Motła Dajana do jednego worka to bardzo poważna sprawa, granicząca z profanacją Boga, że nie czas teraz, gdy jej kuchnia jak Sodoma i Gomora, mówić o tym.

Jedyna różnica między nimi, wyrokowała mama, że u Lajke Tiktin troski ludzi zamieniają się w obmowę, a w *Ojcu Goriot* stają się w cudowny sposób wiecznym dziełem sztuki.

„Jeszcze nie skończyłyście rozmawiać, kobiety?”, szydził ojciec, który przyszedł ze sklepu zjeść szybką kolację, i cieszył się, że może im powtórzyć słowa mędrców o dziewięciu miarach mowy, które kobiety wzięły z dziesięciu, jakie zesłano na świat. „Nie do mądrości kobieta, ale do wrze-

¹⁸ Pięcioksiąg – Tora, pięć pierwszych ksiąg Biblii. Tu: parafraza Rdz. 12,1 według ks. Wujka: „Wynijdz z ziemi twojej i od rodziny twojej, i z domu ojca twego”.

¹⁹ szruia – dozwolone. W judaizmie istnieje zakaz jedzenia pewnych potraw w ogóle, a niektórych w określonych okolicznościach, np. podczas świąt. Czasem spożywanie pewnych potraw jest z kolei nakazane.

²⁰ kneidelech – (jid.) rodzaj klusków.

²¹ rabinowa tykocińska – żona jednego z rabinów, wywodzących się od XVIII wieku z rabinicznej rodziny Tiktin, z Tykocina w Polsce. W XVI wieku w Tykocinie córka Majera Tiktinera, Rebeka, poświęciła swoje życie pracy literackiej.

²² Batei-ungarin – dzielnica w Jerozolimie.

ciona”²³, zarzucił mamie, gderając, dał Ruchamie, o co prosiła i powiedział, że profesorowie uczestniczący w kongresach naukowych też wychodzą na popołudniową przerwę.

Mama obróciła się do ojca plecami i zapytała, czy mógłby jej przynieść ze spiżarni czternaście główek cebuli. „Życie jest podobne do cebuli”, powiedziała, gdy obierała fioletowe cebule na desce do krojenia, „obieramy lupinę za lupiną, i w końcu nie zostaje zupełnie nic”. Ten przykład, opowiadała, czytała zarówno u Ibsena w *Peer Gyntie*, jak w jednej z opowieści rabiego²⁴ Nachmana z Braclawia, i to niebywale, że dwoje ludzi, oddalonych od siebie czasem i przestrzenią, patrzyło na życie w taki sam sposób. Ale, pomimo wszystko, jest między nimi jedna różnica: rabbi Nachman powiedział, że pomimo tego, że kiedy obieramy cebulę, a w ręku nie pozostaje nic, to w sumie pozostaje w kącie oka łza. Mama włożyła na oczy stare okulary przeciwsłoneczne, żeby nie łzawić podczas siekania cebuli i powiedziała, że w tej łzie pisarze topią swoje gęsie pióra i piszą. Uniosła nóż nad cebule i powiedziała, że kiedy zacznę pewnego dnia pisać o niej, będę miał atramentu dosyć i aż nadto.

Słowa „Moje życie to książka” stały się z latami uroczystym i zdecydowanym wielokropkiem, które zwykła stawiać nieraz, z bezdyskusyjną stanowczością, na koniec rozmów, w które wpadaliśmy bezwiednie, kiedy mieszkaliśmy w Jerozolimie, a także kiedy wyrwała się z Jerozolimy i przyjechała, by zamieszkać blisko nas w Ramat-Gan, rozmów, podczas których tak pięknie umiała mówić o swoim życiu, jakby było zamkniętym rozdziałem i pozwoliła swoim wspomnieniom fruwać nad nim, a dalekie światło, jasne, oświetlające ich jak ostatnie światło dnia, rozlane na odcinku ulicy wijącej się między dwoma murami, dotyka chwilami ich szczytów i włochatych, obrzydliwych kwiatów, złocistego opętania, przylegających do kamieni, co podkreśla wydłużający się cień młodzieńca, który jest już poza polem widzenia, biegnie w dół ulicy, ściga toczące się koło wozu.

Mama, która po śmierci dwóch córek straciła wiarę w Boga („on tam wyleguje się sennie, w swoim niebiańskim kurniku, na puchowym łożu aniołów, jak kot, który pożarł kurczęta”) i nawet w ludziach nie pokładała ufności, pozostała tylko i jedynie z książkami, jedynymi towarzyszami przymierza, od kiedy odkryła je w bibliotece „Synowie Przymierza”, do której uciekała

²³ W oryginale: *ein chochma' le-naszim ele befelech* – zwrot wyrażający stereotyp, według którego kobieta stworzona jest nie do nauki i zdobywania wiedzy, ale do zajmowania się pracami domowymi.

²⁴ rabiego – rabbi, hebr. zwrot grzecznościowy, dosłownie mój nauczyciel.

o zmierzchu, ze strachu przed nienawiścią jej ojca. W istocie nieraz kpiała z samej siebie za to i powiedziała, że w swej głupocie pokłada nadzieję w słowach przywierających do papieru jak muchy, złapane na mucholepach zwisających z sufitu w sklepie jej ojca i nawet po tym książki były dla niej istotą życia, którą w tajemnym procesie sztuki udaje się oddzielić od rzeczywistości i wznieść na poziom metafor – niestety nie udaje mi się przypomnieć sobie bezpretensjonalnych prostych formuł – które mają w sobie jakiś wymiar pocieszenia, przytomności, a może nawet abstrakcyjnego poczucia nieskończoności.

„Zamierzam obrócić kartkę”, oznajmiła moim uszom pewnego wieczora, a sprawa była u schyłku ostatniego odwrotu jej choroby, po której nastąpił wielki wybuch, którego już nie mogła pokonać. Przygarnęła do siebie otwartą książkę, położyła na poduszce, okładką do góry (to był egzemplarz *Obietnicy o świetle*, który znalazła na moim regale) i dodała głosem, w którym jest depresja i mania wielkości – dwa stany ducha, które nieraz pojawiały się u niej równolegle – że im więcej czyta książek, tym częściej się okazuje na jej wielkie szczęście, że nawet jeśli pisarz czerpie inspirację z życia, i jakby o nim pisał, to nie jest zobowiązany do pisania o prawdzie, to znaczy o tym, co dzieje się w rzeczywistości, a tylko do precyzji. Żądanie takiej formalnej i ograniczonej prawdy, powiedziała, dobierając ostrożnie słowa, nie chcąc mnie dotknąć, jest szczególnie niebezpieczne dla pisarza o skłonnościach obsesyjnych. I wtedy zamilkła na chwilę, a potem powiedziała, że przesadny wysiłek odkrywania, co naprawdę się stało, może uczynić całe jego pisanie zbyt powściągliwym i samokrytycznym i zamiast próbować odcyfrować świat, taki pisarz może – i oczywiście chodziło jej o mnie – narzucać swoje sztywne zasady odbiciom rzeczywistości. „Kiedy brałam kurs pływania w YMCA, potem jak poszedłeś do wojska”, opowiadała mi zauważając, że miała wtedy już pięćdziesiąt dziewięć lat, „uczylili mnie, że w chwili nurkowania, albo skakania z trampoliny, trzeba w krytycznym momencie zaniechać kontroli. Dokładnie tak winien zachowywać się pisarz i kiedy chce uchwycić świat, musi być spontaniczny, bez uprzedniej wiedzy i wcześniej gotowych koncepcji, co jest trudne szczególnie dla kogoś, kto jest człowiekiem obowiązkowym”.

Mama nigdy nie ukrywała faktu, że do dziś nie uczyła się w szkole („w istocie dom, w którym się urodziłam uchronił mnie przed wykształceniem formalnym”, skierowała spojrzenie na studentkę, która przyszła zrobić z nią wywiad, kiedy została wybrana do sondażu ludności i nie rozumiała jak to jest, że prowadząca z nią tak kulturalną rozmowę kobieta nie ma nawet ośmiu lat nauki w szkole podstawowej, „ale mimo to nie można powiedzieć o mnie, że jestem nieukiem”)

i była dumna z tego, że wykształcenie zdobyła na wieczornych lekcjach, systemem korespondencyjnym, a przede wszystkim pilną i nieustanną lekturą. Przed podróżą do Ameryki, podróżą ocalenia, która nie doszła do skutku, a o której będzie mowa później, prosiła, by poprawić jej znajomość angielskiego, języka w którym pierwsze kroki zrobiła jeszcze w młodości, przez porównawczą lekturę Biblii w oryginale hebrajskim i angielskim przekładzie, który otrzymała w sklepie misjonarskim i powtarzanie słówek ze słownika angielsko-hebrajskiego Waldsteina, i przez udział w kursie korespondencyjnym „Berlitz”, aż w końcu mogła prowadzić w nim towarzyskie rozmowy, a nawet czytać dla przyjemności „Reader’s Digest”. Ale kiedy moje wiersze i notki zaczęły ukazywać się w czasopiśmie i w literackich dodatkach do codziennych gazet, odkryła krytykę literacką, a szczególnie zafascynował ją gatunek eseju. Szczyt zainteresowań przypadł, jak mi się zdaje, na pierwszy odwrót choroby, jakiś czas po wydrukowaniu mojego opowiadania *Zataczały kręgi żurawie*, które stało się z czasem pierwszym rozdziałem *Piór*. Kupiła sobie u antykwariusza Polaka na ulicy King George *The Art of Fiction* Henry’ego Jamesa, i w parę miesięcy przeczytała książkę, z uwagą budzącą podziw, notując w niej ołówkiem tłumaczenia słów, które były dla niej niezrozumiałe. Kiedy wyraziłem rodzaj niezadowolenia, a może nawet urazy z tego powodu i zapytałem, czy już się nasyciła prozą, że przechodzi do „konkurencji”, zachichotała i powiedziała, że nie może sobie pozwolić, by patrzeć na mnie jak schodzę grać na boisko i nie mieć możliwości przynajmniej obserwowania rennie z trybuny.

Teraz wywijala książką Romain Gary’ego jak wachlarzem i oświadczała, że książki najdroższe jej sercu to te, które opisują postaci szczerze, ale i nie mniej, z miłością. Widoczne balansowanie między tymi dwoma przeciwnymi pragnieniami, jest bardzo skomplikowane, nawet jeśli wydaje się, że sprawa wygląda zbyt prosto, dla kogoś kto chce odcyfrować tajemnicę splątanych związków między ludźmi i poważnie zrozumieć wysychanie sił popychających ludzi w ramiona drugich, a potem rozdzielających ich, musi nauczyć się patrzeć na nie odważnie i wprost, a najważniejsze, że musi uważać, by nie przesadzić ze szczerością i nie dać się ponieść miłości. Ten, kto pisze zdecydowanie szczerze, szczerze i okrutnie, na końcu wpadnie do jalo-wego dołu, jak w muzyce (mama nienawidziła muzyki i widziała w niej obiektywny środek wyrazu udający doznawanie uczuć), a ten kto pisze z poczucia obowiązku miłości, może łatwo stać się ofiarą bezwzględności innych. „Jeśli przeczytasz Romain Gary’ego, bez skłaniania się do jego wspaniałego francuskiego sentymentalizmu, zrozumiesz jak dalece miłość to kwestia pa-

ralizu i powikłań, i na ile pokazana tu matka i syn, w powieści słodkiej i lepkiej, może nawet sobie niechętni, są na siebie skazani”.

Bolesny skurcz przeciął jej czoło i wzburzył fale zmarszczek, które zgromadziły się od nasilenia choroby. Zamknęła jedno oko – drugie, lewe, naderwane podczas operacji przy próbie usunięcia guza raka, który rozwijał się w jej wnętrzu, i powiedziała, że ten kto pisze, nie może ani na chwilę zapomnieć o ostatniej, samotnej, łzie w kącie oka. Zamknięcie oka i napięcie skalpu, w chwili przechodzenia bolesnego skurczu, podkreśliło jeszcze bardziej trzy różowe żyły wychodzące z nasady nosa, jak trzy ramiona litery szin²⁵ (Kiedy Anioł Śmierci przyjdzie i zobaczy, że kładę tefilin²⁶ na głowę, dwa razy zastanowi się, czy mnie zabrać”, potem złoży mi parę przyrzeczeń, kiedy otrząśnie się z prób samobójstwa i zechce obejrzeć swą twarz. „Przecież poza Michal córką Szaula i kilkoma kobietami, które stały się konserwatywnymi rabinami, nie spotkali tam, na górze, w części dla kobiet, egzemplarza takiego jak ja”). Kiedy ból minął, powoli otworzyła oko i zapytała, czy mogę przypomnieć, kiedy słyszałem z jej ust po raz pierwszy przypowieść o łupinach cebuli.

Przypomniałem jej tamto odległe popołudnie wigilii święta w Jerozolimie, gładkie rybie pęcherze i naszą szczebioczącą sąsiadkę Ruchamę Weber i żeby złagodzić trochę surowość rozmowy próbowałem opowiedzieć jej o wiadomości, którą przeczytałem w gazecie o pewnym kolekcjonerze znaczków pocztowych, który kupił kopertę lotniczą ostemplowaną stemplami egipskiego urzędu pocztowego w mieście Suez, i był na pokładzie „Grafa Zeppelina” w czasie gdy płynął niebem Jerozolimy, kopertę pocztową, która pochodzi, jak się zdaje, ze zbioru znaczków króla Faruka i została wystawiona na sprzedaż publiczną, za niebotyczną cenę 16 tysięcy dolarów. Mama uśmiechnęła się i powiedziała, że zeppelin, na tysiącach listów i widokówek, które wiozł, na pewno wart jest dziesięć razy więcej od ryby, w której brzuchu znalazł Josef, świętujący szabat, szlachetną perłę.

„Ale płacić za kopertę roczną pensję nauczyciela w technikum?”, oponowałem.

²⁵ szin – dwudziesta pierwsza litera alfabetu hebrajskiego, pierwsza litera jednego z biblijnych imion Boga – Szaddai (Wszemocy). Według wierzeń, imię to chroni przed złymi mocami, stąd litera szin umieszczana jest na mezuzie, podłużnym drewnianym, lub metalowym futerale z pergaminowym zwojem, zawierającym tekst modlitwy „Szma Israel” oraz dwa cytaty z Księgi Powtórzonego Prawa, i przybijanym do futryny drzwi, zgodnie z biblijnym nakazem.

²⁶ tefilin – podobnie, jak mezuzza, tefilin zawiera cytaty z Księgi Powtórzonego Prawa oraz Księgi Wyjścia, umieszczone w dwóch czarnych pudełeczkach, mocowanych za pomocą pasków do czoła i lewego przedramienia podczas codziennej modlitwy, zgodnie z biblijnym nakazem, na znak oddania Bogu.

„W morzu są różne ryby”, powiedziała mama i zdjęła perukę („Wolę wyglądać niczym Yul Brynner niż ubierać szeitl²⁷ jak polska flejtucha w Krakowa”, rzuciła mi w uszy perukarka, w chwili gdy mierzyła obwód głowy, po tym jak wypadły jej włosy z powodu napromieniowania i chemoterapii) a potem dodała, „Zdaje się, że są tam, pośród nich, również ryby lyse”.

Mama zatopiła się w ciszy, a jej palce gładziły bez celu stronicę *Obietnicy o świecie*, jakby liczyły paczkę banknotów, aż nagle powiedziała jak we śnie, „Nasz dom był wtedy podobny do akwarium”.

Zapytałem ją, czy ma na myśli ściany naszego salonu, które były wymalowane głębokim turkusem, który przypomina barwę spokojnego morza, z tysiącem rybich łusek. Ojciec, który chciał udobruchać mamę w pewnej chwili niewytłumaczalnego wybuchu miłości, który w niej wzbudził złość, zamówił, bez narady z nią, cypryjskiego artystę, który chodził po domach i roznosił ozdobne wizytówki – rzecz, która w tamtych czasach w Jerozolimie była nieznana – na których chwalił się, że jest artystą-malarzem w stylu europejskim. Jakiś tydzień trudził się ze ścianami i zapewniał mamę, powątpiewającą, czy jego rzemiosło przywróci w naszym domu blask i wspaniałość angielską i będzie wyglądać jak jedna z królewskich komnat angielskiego pałacu w Hampton Court albo w Windsor Castle i wszyscy nasi znajomi i przyjaciele będą przychodzić, by zobaczyć cud, wychodząc ogarnięci zazdrością. Ale nie minęło dużo czasu i kiedy przejeżdżała przez ulicę Geula cysterna ONZ, która dostarczała wodę do małego garnizonu izraelskiego na Górze Scopus, albo dostawa mleka zakładu „Tnuwa”, ściany drżały, a łuski spadały, pokrywając kanapy i kredens białą szatą, i z tego powodu utrzymywała, że już w tym świecie siedzi, dzięki dobrym uczynom swego męża, w namiocie ze skóry Lewiatana.

„Znowu ty i te twoje sentymentalne wspomnienia z dzieciństwa”, gderала mama i powiedziała, że nasz dom był podobny do akwarium z tego powodu, że ojciec, w strachu przed ujawnieniem się spraw, próbował zmuszać ją do milczenia. „Według niego powinnam była być niema jak ryba”, a po tym jak nabrała powietrza, dodała, „a prócz tego, wiesz bardzo dobrze, jak ja nienawidzę ryb”.

Chaim Be'er

łumaczył z hebrajskiego Tomasz Korzeniowski

Rozdział powieści *Chawalim* (Sznury), Tel Awiw, Am Owed, 1998.

²⁷ szeitl – (jid.) peruka.



Fot. From the ITIL archives

Mira Magen

Cukinia

W nylonowym worku, który przyniosła babcia Genia, była najwyborniejsza w mieście cukinia. Szukała w czterech warzywniakach, grzebała w skrzynkach, porównywała pod światło odcień, naciskała i odrzucała te, które poddawały się palcom, uginały, i w końcu kupiła jasnozielone i twarde, jeszcze ze świeżym błotem przyklejonym do skórki. Teraz bulgotanie gotującej się wody sprawia, że emaliowana pokrywka od pomarańczowego garnka tańczy i wydaje rytmiczne i delikatne odgłosy.

Opiera wyschnięte łokcie o metalową szynę na oknie i mówi, już po czwartej, co?

Jej włosy ścielą się wokół małej czaszki jak biały rzadki dym. Powiedz, ta Ewa przyjdzie z nim, czy nie przyjdzie, co myślisz? Pyta i nie spuszcza wzro-

Mira Magen, ur. w Kfar Saba w Izraelu, jest ortodoksyjną Żydówką. Studiowała psychologię i socjologię. Pracowała jako pielęgniarka w szpitalu Hadassa w Jerozolimie. Debiutowała w 1994 roku. Dotąd wydała *Kaštorim reclusim heitew* (Guziki dobrze zapięte, Keter hoca'at la-or, 1994), *Al take ba-kir* (Nie stukaj w ścianę, Ha-kibuc Ha-meuchad, 1997), *Be Szochwi u-we-kumi, isza* (Kładąc się i wstając kobietą, Keter hoca'at la-or, 2000). Przekłady powieści *Guziki dobrze zapięte* i *Nie stukaj w ścianę* ukazały się w Niemczech.

ku z ulicy, a ja nie mam odpowiedzi, miałam sześć i pół roku, kiedy dziadek odszedł, jedyna rzecz, o której wiem na pewno, to że jego wielkie buty zakrywają ponad półtorej płytki. Kiedy odpruwał zamek pantofli, jego nogi pojawiały się, jak dwa wielkie białe dinozaury, a ja wkładałam do ciepłej, wilgotnej przestrzeni pustych butów lalki. Dziadek w wielkiej piżamie śmiał się i mówił, że lalki muszą błogosławić stwórcę wszelkich woni, i jakie szczęście, że nic nie wiedzą o jego egzemie.

Babcia obraca twarz na prawo i na lewo, zgina swój cienki szkielet do środka, żeby nie nanieść do domu asfaltowej nawierzchni z obejścia, a ja słyszę chrzęst jej starych kości i pytam, czy nie jest jej zimno. Do popołudnia spadł gęsty deszcz, zalał mgłą, a teraz chłodny wiatr wdziera się do opustoszałego powietrza. Ona mówi, że nie zimno jej, ale co się tyczy jej pytania, to ona przyjdzie, czy nie przyjdzie? Wydaje mi się, że nie, mówię, i wtykam twarz w książkę otwartą już dwie godziny na dwudziestej stronie. Nie mogę dłużej cierpieć tych jej oczu wychodzących z orbit, jeśli się nie uspokoi pozostaną czarne i puste dziury. Kartkuję z wielkim hałasem do strony dwudziestej pierwszej, kiedy ona mówi, że to naprawdę brak taktu przychodzić z nim. Co to za filozofia zobaczyć mnie po tych wszystkich latach, mówi, kiedy odszedł miałam czterdzieści osiem lat, wciąż byłam kobietą, prawdziwą kobietą, mówi z twarzą ku ulicy, a wiatr wwiewa słowa po pokoju, jak ciemne ćmy.

Cukinie w sosie pomidorowym gotują się w kuchni, mój nos jest podrażniony zapachem papryki, nie przestają kichać i pryskam na dwudziestą pierwszą stronę.

W oknie zmierzch, jej oczy śledzą cienie na ulicy, z której znika światło. Milczy latami. Tęsknotę zjedzono z mięsem, dzikie żądze wyschły, z wszystkiego pozostała zazdrość. Spleśniała i twarda jak suszona figa. Dlaczego nie okryjesz głowy, pytam, i widzę jak wiatr robi sobie ścieżkę na jej rzadkich włosach. Babcia wpatruje się w trawnik, który wyłysiał od nadmiaru liści, opadających na niego grubą warstwą i blokujących światło. Jestem wolną kobietą, mówi, dlaczego mam zakrywać głowę? Piskliwy i krótki śmiech na wietrze i jej głos, który trudno mi znieść, jak drapanie szkła po blasze, wolna, co? Opuszczona, słyszysz, opuszczona.

Mimo to, przystroiliła się w koronkowy kołnierz, którego brzegi zzółkły po wielu świętach, kiedy owijał jej szyję, kiedy obserwowała w synagodze z części dla kobiet¹ swego mężczyznę, a potem już nie. I nie wiedziała, że inna szyja

¹ z części dla kobiet – od czasów Drugiej Świątyni (516 p.n.e. – 70 n.e.), istnieje *mechica*, czyli oddzielenie w synagodze ortodoksyjnej części dla mężczyzn i części dla kobiet.

wyciąga się przez poręcz balustrady, a nad nią para oczu innej kobiety towarzyszy kołysaniu ciała i powiewającym frędzlom talesu², kiedy on oddawał się swemu Bogu. Moja głowa też tkwiła wtedy między prętami balustrady, patrzyłam na haftowane lwy na niebieskiej zasłonie³, skaczące w bezruchu, a ona chwytala mnie za kark i ciągnęła do tyłu, mówiąc, że mam już sześć lat, a życie cnotliwe zaczyna się już w młodym wieku, lecz jej samej trudno było powstrzymać wzrok przed spojrzzeniami na mężczyzn i śledzeniem jego kroków, kiedy wychodził by otworzyć Aron ha-kodesz⁴, cały dumny z powodu czystego talesu, wyszczotkowanej marynarki i błyszczących kantów zaprasowanych spodni.

Moje dłonie otwierają się same, palce rozpościerają jakby w rękach popruty mi się nici, chcę objąć moją babcię, która jest przyczepiona do okna, ale nie mam śmiałości i nie wstaję ku niej, przestraszyłaby się, gdyby jej ramiona nagle otoczyło ciepło innego ciała, my nie obejmujemy się ot tak, tylko na święta ściskamy sobie dłonie, a na Nowy Rok⁵ ona całuje mnie w czoło, a ja nie wycieram wilgotnego kółka, zostawiam je, żeby samo powoli wyschło.

Wciąga ulicę w nozdrza, może znany jej zapach nikotyny, albo czarnego welnianego płaszcza, o takiej szarej porze już nie panuje nad oczami. A w ogóle, kiedyś wszedł jej między nogi, bo przecież moja mama Szoszana urodziła się im, ale jej nogi wtedy nie były takie guzowate, jak kolki z cienkiego i suchego drewna, wtedy była kobietą, prawdziwą kobietą. Okno w kuchni pokrywa się parą, ona znów podnosi pokrywkę garnka, czerwone chmury zapachu snują się z kuchni do pokoju, wypełniają dom, okrągła cukinia pluska w bulgocącym przecierze, a ona z głową wśród mgieł, wacha, dmucha i próbuje, przewraca i miesza, a opary papryki pokrywają jej twarz.

W szufladzie wielkiej szafy spoczywa obrączka, którą wkładał na jej palec pięćdziesiąt lat temu. Rano wyciągnęła ją, wystawiła pod światło i jakby oparzyła się tym blaskiem, zdziwiła się przestrzenią między złotym kółkiem, a ciałem, odrzuciła ją z powrotem i zbierając siły popchnęła szufladę, aż cała szafa zadrżała i wypadły dwa klucze. Dzisiaj przed pięćdziesięciu laty. Za-

² talesu – z hebr. tallit – tales, szal modlitewny, noszony przez mężczyzn od czasów starożytnych. W jego czterech rogach umieszczone są, zgodnie z biblijnym nakazem (Księga Liczb 15,37-41) *cicit* – frędzle, mające m.in. przypominać o konieczności wypełniania przykazań Boga.

³ lwy na niebieskiej zasłonie – chodzi o zasłonę zwaną *parochet*, wykonaną zwykle z aksamitu zdobionego wizerunkiem lwów, umieszczaną przed Aron ha-kodesz.

⁴ aron ha-kodesz – szafa, często wnęką w murze synagogi, w której przechowywane są zwoje Tory.

⁵ Nowy Rok (hebr. Rosz ha-szana) – według kalendarza żydowskiego, rozpoczyna się na przełomie września i października.

raz będzie wieczór, może i wtedy księżyc 14 dnia miesiąca kislew⁶ polyskiwał między chmurami, oświeślał wierzchołki drzew, sunął po zimnym niebie. Teraz luna jest prawie w pełni, zbliża się do szczytu dojrzałości, jutro w połowie miesiąca będzie taka samicza, okrągła i pełna, a potem, kiedy powoli oddali się, zmniejszy się i stopniowo będzie jej ubywać, i będzie się nazywać księżycem⁷. Opuszczona kobieta, mówi o sobie babcia i nie przesadza, moja mama Szoszana ją opuściła, ale i mnie też, i o tym, tu w domu, nie mówi się. Przywiązała dziesięć apaszek do kurtki i poszła sobie, a wiatr bawił się apaszkami, rozdzielał kolory, szarpał jej loki. Może teraz tańczy w jakimś barze, albo płacze, albo leży z kimś w jakimś miejscu, ale tu się jej nie wspomina, a ja jestem z babcią. Zostałam tylko ja, żeby przebłagać Boga za wszystko, co go tu spotkało. Zaplatam włosy w gruby i mocny warkocz, żeby zadowolić go, żaden włos nie zostaje luźno, żeby się nim bawić, moja twarz jest pozbawiona jakiegokolwiek kolorowej plamki i pomimo, że skarpetki zakrywają nagość nóg, wszystkie moje spódniczki są długie, dotykają kostek, żaden zbędny skrawek ciała nie wystaje na światło.

Ale babcia, od dnia, kiedy odszedł od niej, nie dopilnowuje, by zapinać najwyższy guzik u koszuli i rodzyнки jej obwisłych piersi wyglądają zza szerokiego trójkąta odprutych guzików, głowy też nie zakrywa, nie zależy mi na nim, mówi, a ja nie wiem, czy ma na myśli Boga, czy mężczyznę, który odszedł od niej.

Dziwne, przed pięćdziesięciu laty kochali się, splatali ciało z ciałem, dawali jedno drugiemu część swojej duszy, zapachu, oddechu ust, a teraz pozostało jej tylko dać mu kukinie opływające sosem.

Dziesięć dni temu napisała do niego, czternastego minie pięćdziesiąt lat małżeństwa, może przyjdiesz? Jest jakiś cykl, który trzeba zamknąć. Przesunęła ostrym językiem po trójkącie koperty, ostemplowała i wysłała. A on otworzył kopertę, przecinając jej wysychającą ślinę. I odpisał, że przyjdzie. A ja zastanawiam się o jakim cyklu ona pisze, czy sprawy nie są zamknięte już od dawna, sprasowane ciężkim walcem czasu, tak, że straciły swą głębię, zwalcowane i płaskie. O czym będą rozmawiać, ona zapyta dlaczego, on się usprawiedliwi, wyjaśni i zobaczy, że piszczałka podwoiła swoją głośność od czasu kiedy odszedł, a ona rzuca olbrzymi cień na ścianę, i zbierze dla siebie znaki czasu z linii, które przecinają twarz babci, z cienkości skóry, z firanki,

⁶ kislew – nazwa dziesiątego miesiąca w kalendarzu żydowskim.

⁷ Luna, Księżyc – w oryginale *letwana* i *iareach*.

której zakładki kruszą się, ze mnie, kiedy byłam dziewczynką, gdy odszedł, a dzisiaj jestem kobietą, o dużym i ciężkim ciele i ognistych warkoczach.

A może ona nie zapyta, a on nie usprawiedliwi się, tylko zje cukinię w ci-szy i zmówi błogosławieństwo^{*} nad posiłkiem i pójdzie, a ona po resztę dni swoich będzie przesuwając w oczach swej duszy długie paski papryki, zostawione przez jego palce na talerzu, który wylizał i nie zostawił nic, by myślała, że cokolwiek się stanie, takich cukinii już nie będzie miał.

Jak przestraszony ptak, odrywa się od okna i biegnie do drzwi, a ja słyszę szelest płaszcza, zdjętego z długiego ciała mojego dziadka. Dwadzieścia dwa lata nie kładziono męskiego kapelusza na półce. A ta kobieta, Ewa, nie przyszła z nim.

Dziadek zawiesza wielki wełniany płaszcz, ramiona ma na wysokości odkrytej głowy, żałuję, że nie zakryła głowy, fioletowy kapelusz pasuje jej, a poza tym ukryłby biel szerokich pasm bez włosów na jej głowie.

Dziadek zatrzymuje długie spojrzenie na babci, bardzo ostrożnie rozdiera ciszę i mówi jej, to sobotnia sukienka, Genia, koronkowy kołnierzyk drży, a w nim czerwienieje jej wątlą szyja, i ta czerwień szybko się rozprzestrzenia. Ona zagryza wargi, jakby zasysała do środka wstyd, że dwadzieścia dwa lata nie zmieniała stroju i że włożyła dzisiaj świąteczne ubranie na jego cześć, już nie jest sobotnia, po prostu sukienka, mówi ona, i ściska w pięści resztki materiału rękawa.

Ale jest piękna, on mówi, a babcia milczy. Co jeszcze może być pięknego w starej sukience, która kiedyś okrywała ciało okrągłe i kobiece, a dzisiaj tak wiele jest fałd zbędnego materiału, a klamra paska zapięta na ostatnią dziurkę i jeszcze jest miejsce. Przebiega wąskimi oczyma przez całą długość jego wielkiego ciała, zbiera ślady dwóch guzików luźnych, które zaraz odpadną od jego koszuli, z odpruwającego się mankietu i pyta, a ona, dlaczego nie przyszła z tobą?

Ręka, którą wyciąga do mnie, jest taka gorąca i sucha, wyrosłaś, mówi i nie wypuszcza mojej ręki, i nie odpowiada babci. Oj, jak urosłam, mam takie duże ciało, sukno pęknie na ciele, aż zaczęłam ubierać wielkie sukienki, babcia mówi, że ubieram namioty, a wszystko po to, by ukryć i zatrzeć. A teraz, co mu odpowiedzieć, tak, wyrosłam, widzisz sprawy dzieją się również w czasie twojej nieobecności. Ale nie dla mnie przyszedł i lepiej milczeć, i to opa-

^{*} błogosławieństwo – błogosławieństwa przed i po jedzeniu, należą do najpowszechniejszych, spośród wielu praktykowanych w judaizmie.

rzenie na ręce wkrótce minie. Przecież nie będziemy tak stać wiecznie, a ja w ogóle nie wyciągam ręki do mężczyzn, ale tu nie mogłam nie pozwolić, to mój dziadek, w końcu.

Babcia wkracza do salonu, dziadek za nią, a ja na końcu tego dziwnego korowodu. Piękne sobotnie porcelanowe talerze błyszczą na stole, trzy talerze, trzy noże, trzy widelce, wtedy też, gdy byłam dziewczynką przygotowywaliśmy wszystkiego po trzy i dziadek zacierał dłonie z rozkoszy i nucił jakąś melodię, kiedy ona zalewała zupą talerze, a ja robiłam miny do dziewczynki odbijającej się do mnie z wypolerowanej łyżki. Babci szaleńczo drży puls w żyłach na szyi, moment zdjęcia z garnka pokrywy, a ona wciąga w siebie, wstrzymuje powietrze w płucach, silne napięcie tworzy ciasny rząd zmarszczek na jej górnej wardze, jej koronkowy kołnierz poruszany drżeniem trzepocze jak biały motyl, pokrywa podnosi się, a ona znika w czerwonej mgie, unoszącej się z odkrytego garnka. Ogromne usta dziadka rozszerzają się w uśmiechu, wycina sobie trójkąty z chleba, jak wtedy, by zatopić je w czerwonym sosie, a kiedy są nasiąknięte i ciężkie, niesie je z rozkoszą do ust, czerwone krople opadają na talerz. Oczy babci czerwienieją, czerwona błyskawica cukinii płonie w nich. Na jej talerzu krążki warzyw stygną, kurczą się, ona nie dotyka jedzenia, jej źrenice przyklejone do chleba, kierowanego do jego ust. Idź, przynieś czerwone wino, słodkie, mówi do mnie, jakbyśmy miały inne wino. Przecież w tym domu jest tylko wino do błogosławieństw, każdej soboty⁹ błogosławi nim, bierzemy mały łyk i wlewamy z powrotem do butelki to, co zostaje. Teraz nalewa do kieliszków, z których jeszcze rano starła pyłki kurzu, przyklejonego do szkła.

To były pesachowe¹⁰, nie? Pyta, a wąska strużka sosu, pełźnie mu po brodzie na szyję. Znów będzie musiała przyznać się, że szukała najpiękniejszych na ten wieczór, a ona nie chciała, żeby on wiedział, jak się trudziła. Zaciska palce na kieliszku i mówi, kiedyś to były pesachowe, dzisiaj zwykłe kieliszki, powszednie. Z trudem się powstrzymuję, jakbyśmy piły zwyczajne wino, a przecież żeby ściągnąć je z pawlacza musiałam wspiąć się na krzesło, które postawiliśmy na stole, i zadrapać o stary grzejnik na naftę,

⁹ każdej soboty – sobota (szabat, albo szabas – w wymowie Żydów Europy Środkowo-Wschodniej), siódmy dzień tygodnia, rozpoczyna się wraz z zachodem słońca w piątek i trwa do zachodu słońca w sobotę, a jej świętowanie jest wypełnianiem biblijnego nakazu i stanowi jeden z najważniejszych obrządków. Szabat jest świętem szczególnym wobec pozostałych świąt judaizmu.

¹⁰ pesachowe – kieliszki używane podczas wiosennego święta Pesach, ustanowionego w Biblii, na pamiątkę wyjścia Żydów z niewoli egipskiej, co miało miejsce w XIII w. p.n.e.

który był tam wetknięty, a ona stała obok mnie i mówiła, że za piecykiem jest kartonowe pudełko, a kieliszki są w nim. Jeden był stłuczony, a pięć innych ciemnych od kurzu. Obok starego grzejnika, w dwóch prześcieradłach były związane ubrania mojej mamy Szoszany, ale babcia mnie ponagliła. Pewnego dnia otworzę te tobołki, może coś z niej zostało pośród tkanin, z jej zapachu, może włos, który wypadł, może coś zapomnianego w kieszeniach. Pot, albo inna wilgoć wydzielana przez jej ciało, perfumy, którymi się skrapiała, zapachy mężczyzn, którzy jej dotykali. Może ubrania przyjęły kształt jej ciała i zachowują coś z jej sylwetki, szwy rozciągnęły się na miarę długości jej członków, a nici poluzowały w miejscach stałego napięcia. Pewnego dnia otworzę jej sukienki i halki i szaliki, których miała bez liku, rozciągnę pod światło i obmacam wszystko gruntownie i obwącham.

Kieliszek w rękę dziadka wyglądał jak mały i zagubiony, podnosi go i mówi, na zdrowie. Na zdrowie, na zdrowie, babcia odpowiada ptasim głosem, a jej oczy znów są czerwone, mokra iskierka zwisa jej z powieki i opada na policzek, a za nią jeszcze jedna i jeszcze, coś wznosi się i opada w jej gardle, ale teraz nie przelyka cukinii, te są całe i zimne na talerzu, a ona nie wyciera iskierek, zostawia je, by same wyschły. A mi ciężko patrzeć na to, co dzieje się w jej oczach i wolę wpatrywać się w podłogę.

Pod stołem ogromna delta w trójkącie butów dziadka, jego nogi rozchyłone, tylko obcasy stykają się, jedno jego kolano jest blisko mojego, przy nim moje udo nie wygląda potwornie, a ja nie odsuwam go od niego. Milo mi porównać i czuć ciepło, które rozplywa się od jego spodni ku moim okrytym kolanom. Nogi babci są złączone, tylko końce jej palców dotykają podłogi. Skóra na obnażonej nodze jest tak sucha i złuszczona, masowałabym jej nogę i smarowałabym pachnącym kremem, okrągłymi ruchami od kostki do uda, ale prawie się nie dotykamy. Kiedy była chora pomagałam jej myć się, szorowałam jej szczupłe plecy o wiele więcej, niż tego wymagała czystość, ona siedziała pochylona na stołku pod prysznicem, milczała i w końcu powiedziała, całe lata nikt mnie nie dotykał. Potem odkręciłam mocny strumień wody, biały strumień mydła ściekał ze spienionych pleców na podłogę, a ona mówiła, że nie trzeba marnować tak dużo mydła na jeden prysznic. Po wielu godzinach czułam jeszcze w dłoniach wypukłości kręgosłupa jej pochyłonych pleców.

Najwyżej trzy centymetry dzielą teraz moją nogę od nogi dziadka, i to ciepło jest gęste i dociera do mnie przez wszystkie okrycia spódniczki i pończoch. Słyszę jak język dziadka porusza się w ustach, próbuje wyłowić resztki

cukinii, które wcisnęły się do mrocznych jaskiń pomiędzy zębami, taki olbrzymi język nie zostawia żadnych szans żadnemu kawałeczkowi. Usta babci drżą, słowa, które próbują wyjść zatrzymują się na wargach, może teraz w końcu dotknie tych kręgów, które trzeba zamknąć, może teraz w końcu zapyta jak człowiek bojący się Boga, pięćdziesięciolatek, nagle wstaje i idzie za inną kobietą, zostawiając za sobą opustoszały dom, wystawiony na wiatr. I co w niej jest, w tamtej Ewie, do której go ciągnie, jaki zapach i delikatność innej skóry, którą wybrał, aby ją głaskać. Ale, jak nie wziął w rachunek cierpienia, wielkiego ciosu, który już osiągnął oboje, kiedy ich córka Szoszana, która nie poślubiła mężczyzny, kręciła się po ulicach, podczas gdy jej krótka sukienka pęka na wzdymającym się brzuchu. Pewnego dnia wróciła, położyła białe i wrzeszczące zawiniątko na łóżku i poszła sobie, kolorowe szaliki i wstążki powiewały u jej lędźwi. Od wtedy nie dała znaku życia, może pojechała do Ameryki, raz próbowali szukać, dzisiaj już nie. Ale babcia nie porusza tych spraw, tylko pyta, a ta Ewa, dlaczego nie przyszła z tobą? Dziadek szczypie kciukiem i wskazującym trochę chleba, nurza go w talerzu, dociska do porcelany, wyciera, i mówi, że Ewa nie ma z tym nic wspólnego.

A ty, ty też nie masz nic wspólnego z tym, mówi, a żyły na jej szyi narzmiewają od przypływu, jeśli się nie uspokoi, strumienie czerwonej lawy wyciekną na talerze.

Ja mam, jesteś przecież moją żoną nigdy nie rozwiedliśmy się, a poza tym, ty zaprosiłaś mnie, mówi, bierze duży łyk wina. Moją żoną, mówi babcia, a te słowa z trudem jej przechodzą przez gardło, jak olbrzymi nietoperz, który miota się pośród kłębowiska kretów, moją żoną, powtarza, a w jej głosie jest coś, co zatrzymuje ruch młócający u dziadka. Delta między jego nogami poszerza się i teraz jego kolano dotyka mojego, a ja nie odsuwam się. Coś gorącego, wywołującego dreszcz, jak prąd przepływający przez nogę, i kiedy to się dzieje, ciężko mi obserwować żyły na szyi babci i martwić się, by zostały całe.

Nie chcę, żeby ten prąd ustał, chcę dalej czuć to delikatne drżenie. Kieruję do babci szklankę wody, ale nie mówię jej, żeby wypila, teraz nie mogą paść obce słowa, trzeba pozwolić tym wymiotom wznieść się ku górze przewodu pokarmowego i wytrysnąć w końcu na zewnątrz. Dwadzieścia dwa lata bulgocze jej tam w środku, niech już wyjdzie kwaśne i śmierdzące i wtedy zwolni się tam miejsce, i wtedy może coś zje i wypije, wypełni się, skóra się napnie, i rozpraszają się zmarszczki, a ona będzie znowu prawdziwą kobietą.

Wielka ręka dziadka wędruje ku niej po szabatowym¹¹ obrusie. Genia, mówi, a ręka wędruje pomiędzy kieliszkami, okrąża chleb i przykrywa jej dłoń. Babcia wydziera się mu dziko, jak możesz dotykać mnie po tym, jak kalaleś sobie ręce u innej kobiety?

Genia, mogę, mówi dziadek, to ty nie możesz. Jego dłoń wciąż jest wygięta, jak pusty namiot, powstrzymuję się z trudem, gdybym mogła włożyćabym moją białą rękę w mroczną i gorącą przestrzeń jego dłoni. Nagle zrobiło mi się żal, że moje paznokcie są obgryzione do mięsa, a na kciuku znaki zakrzepłej krwi. Moje ręce są pozbawione wszelkiej biżuterii, białe, prawie jak obrus i takie zimne. Głupio jest litować się nad rękami, ale one spoczywają po obu stronach talerza, jak dwa opuszczone gołębie i żal mi ich, jakby to nie o moje członki chodziło. Przy pierwszej okazji kupię sobie parę welnianych rękawiczek z jakimś haftem.

Powoli ręka dziadka zaciska się, wielka pięść z hałasem ląduje na stole, kieliszki kołyszą się na cienkich szklanych nóżkach, krople sosu przyskają na obrus.

Wszystko przez ciebie, Genia, ty mnie wypędziłaś, kiedyś bardzo się kochaliśmy, potem myśli o Szoszanie jak nowotwór zajęły ci całą głowę. Powietrze wypełnia się chorobliwą ciszą, zamknięta w swoim milczeniu ciągnęłaś za sobą to dziecko z pokoju do pokoju w tym domu, a ja nie mogłem dłużej ścierpieć tego szaleństwa.

Kiedy dziadek mówi to dziecko, chwyta mój łokieć i ściska go. Ten, kto powinien wydać sąd, to ty Genia, mówi, a mój łokieć wciąż jest w jego dłoni.

Pielęgnowałaś to dziecko jak kaktus, prócz jedzenia i odrobiny wody, nic, pustka pustyni. A ja, Genia, mówi i bije się w pierś, nie mogłem już, ja ze swoim wielkim ciałem i apetytem wołu, mam w środku, za tymi ścianami tłuszczu, serce, które jest jak masło na słońcu.

Okno jest już czarne, ciemność na zewnątrz, ciemny ruch przebiega za szybą, topola kołysze się. Twarz babci jest żółta jak cytryna, którą wycisnęliśmy na te cukinie. Chwyta się za kołnierz, ściska między palcami spłowiałą koronkę, kiedy rozewrze palce, materiał będzie tak bardzo pomięty, nie będzie śladu prasowania, którym tak się przejmowała.

To dziecko, jakie to dziwne tak mnie nazywać, jestem kobietą tęgą i niezgrabną, a on mówi to dziecko. Gdyby wiedział, jakie myśli rodzą się w tej mojej głowie, którą wieńczy zaciśnięty warkocz. Gdyby widział, jak przybli-

¹¹ szabatowy – używany w szabat, zob. przyp. 9.

zam kostkę do skraju jego spodni, i właśnie teraz, kiedy oni rozdrapują rany, ja zastanawiam się, jak ta moja mała i przezroczysta babcia nie pogmiotła się pod wielkim ciałem, kiedy leżał na niej. Taki mężczyzna jak on potrzebuje olbrzymiej kobiety, takiej której pagórki ciała nie pogną się pod jego ciężarem, takiej z wielkimi twardymi piersiami i tęgimi, mocnymi biodrami. On oddycha, a z jego oddechem roznosi się zapach cukinii, wyciąga niebieską chusteczkę z kieszeni i wyciera pot z grubego karku, a koszula napina się na unoszącej się piersi, napina, aż odpada guzik, i w tej ciszy słyszać stukanie, kiedy on osuwa się na podłogę i toczy się, aż do ściany, i tam zatrzymuje. Oczy babci jak dwie ostre klingi biegną nerwowo za guzikiem, ona na pewno zapamiętuje ten czarny guzik, jako dowód winy tej Ewy. Jej wzrok wędruje od guzika do rozprutych mankietów jego koszuli, do spłowiałego trykotowego podkoszulka widocznego w otworze między odpadającymi guzikami. To śmieszne, jak kilka włosów z jego piersi wytycza sobie ścieżki w tkaninie i wygląda, jakby wyrastały z podkoszulki.

I kiedy dziadek delikatnie chwyta moją dłoń i mówi, mejdele¹², może zrobisz nam herbaty, krew znów uderza mi do głowy.

Dopiero kiedy jestem w kuchni, gardło babci uwalnia się, i wybucha głośno, nie słyszę słów. Tylko kipieli gwaru słów hebrajskich i w jidysz, głosów opadających, wznoszących się i krztuszących.

Przez kuchenne okno widzę w mieszkaniu naprzeciw młodą kobietę pochyloną nad czymś, może smaży jajecznicę dla dzieci, za nią miga sylwetka mężczyzny, jak w niemym filmie widzę ich poruszające się usta, mówią do siebie, ona obraca twarz ku niemu i rozmawiają dalej, po prostu obca kobieta i mężczyzna rozmawiają w kuchni, a mi coś się kurczy w przeponie. Kiedy odsuwam czoło od szyby moja sylwetka wpatruje się we mnie z ciemnego szkła. Wypełniam całe okno, moje czoło jest białe i szerokie, powoli rozplątam mocny warkocz i wodospad ognistych włosów spada faliście i gęsto z ramion na piersi i na plecy i pokrywa mnie całą. Cała głowa zapala się jak ognisko, rozpinam trzy guziki od koszuli i podwijam spódniczkę wokół siebie jak kielbaskę, jeszcze i jeszcze, i spódniczka wznosi się i ukazuje moje kolana w bawełnianych mocno splecionych skarpetkach. Na marmurze garnek z cukinią, zanurzam palec w sosie przyklejonym do dna i smaruję usta. Czajnik gwiżdże na mnie jak szalony, a ja kołyszę moimi szerokimi biodrami naprzeciw okna, jak pijana wykonująca taniec brzucha, aż okno całe pokry-

¹² mejdele – (jidysz) panna, panienka.

wa się parą, a moja sylwetka znika zza szyby, tonie w mroku podwórza. Mgła wciąż gęstnieje na szybie, a ja palcem kreślę słowo Szatana na całym oknie, i wtedy unosi się zapach spalonego czajnika, który gwizdże cienko, jakby pisał. Ponownie nalewam wodę do pełna, jakby co najmniej dziesięć osób czekało na herbatę, ogromny hałas kranu odkręconego aż do końca, pochłania słowa wypowiedane tam przy stole.

Zdaje mi się, że babcia zapytała, ile czasu zabiera przygotowanie dwóch szklanek herbaty, ale ja się nie spieszę, zanim woda się zagotuje zdejmuję buty i podwijam pończochę do końca. Widzę, że moja bosa stopa zakrywa płytkę i ćwierć, a golenie są takie białe i gładkie, a tymczasem babcia już znów pyta, ile to zabiera czasu.

Na mój tacy, którą niosę, są dwie szklanki herbaty i dwa plasterki cytryny pływają w jasnym płynie, jak dwie ryby w akwarium. Krokami tak lekkimi, prawie unosząc się, dotykając i nie dotykając zimnej podłogi, idę, a plasterki cytryny kołyszą się w przezroczystych szklankach, a mój ogromny lok zanurza się w herbatce dziadka, ale moje obie ręce są zajęte i nie mogę go wyciągnąć.

Babcia jest bielsza od obrusu. Zdaje mi się, że teraz jest prawdziwe niebezpieczeństwo, że jej oczy wypadną z orbit. A dziadek, jego wielkie i ciemne usta są otwarte, a w nich język wepchnięty jak zatopiony okręt. Kiedy pochylam się nad nim, by mu postawić szklankę, dekolt mojej koszuli jest na poziomie jego oczu, a mokry warkocz kapie mi herbatą na koszulę. Teraz wszyscy się mną interesują, nawet czarne oko guzika wpatruje się we mnie z podłogi.

Ona zwariowała, mówi babcia ochrypniętym głosem i z przerażeniem przesuwam się z krzesłem do tyłu, tylko tego mi brakowało, mruczy w głąb haftowanego kołnierza, a krzesło zgrzyta pod jej szczupłym ciałem.

Ona wypiękniała, mówi dziadek, a jego spojrzenie jasne i dookolne sprawia, że oblewa mnie gorąco. Klękam na podłodze, a spódniczka, którą podwinęłam powoli powoli podnosi się i odkrywa moje grube uda, aż docieram do czarnego guzika, podnoszę go litościwie i wyciągam ku dziadkowi, i obliżuję wilgotnym językiem wargi, a język przywraca im słony smak cukinii, które smarowałam.

Babcia pyta, co ci jest, usta wciąż warczą, ale nic nie wychodzi, a dziadek patrzy na moje białe i gładkie nogi i mówi, że podłoga jest za zimna, i lepiej nie chodzić boso. Siadam między nimi i mówię do dziadka, że jest mi gorąco, tak mi gorąco, że robię sobie wachlarz z pustego koszyka po chlebie, a wiatr rozwiewa moje rude włosy, a dekolt mojej koszuli rozchyła się, a ja nie robię nic, by go zakryć.

Babcia wyskakuje z krzesła i mówi, żebym natychmiast wyszła się przebrać, a innym głosem, nieznanym, szepcze, że kto wie, czy to nie dzięki geny mojej mamy, co zaczynają nagle u mnie kielkować, a dziadek mówi, że to w sumie z odrobiny wina, jakie wypila i nie trzeba z tego robić wielkiej sprawy. Bierze moją rękę w swoje wielkie dłonie, a ja nie wiem, co robić z tym słonym płynem, który mi cieknie z oczu po policzkach i cieknie po warkoczach. Dziadek przesuwając moje warkocze, żeby nie zmokły i mówi, żebym poszła się przebrać, bo teraz jest za zimno, a wielka żyła wiję się na wielkiej dłoni, która obejmuje moje palce, a kiedy jego dłoń otwiera się, gruba żyła ginie na niej i zostawia niebieski ślad na skórze.

W ciemnym korytarzu słyszę babcię, jak śmieje się drżącym śmiechem, i mówi, no Genia, silna kobieta z ciebie, pięćdziesiąt lat Genia, i popatrz co z ciebie wyrosło.

Ubieram wielki płaszcz dziadka, szorstka wełna kłuje mi obnażone plecy, a jego zapach pelźnie po mojej skórze, uchodzi wszystkimi porami. Dziadek wstaje z krzesła, słyszę zgrzyt. Może ją teraz obejmuje, bo jego głos jest taki delikatny i cichy, przypomina aksamit parochetu¹³. Genia, mówi, człowiek chce różnych rzeczy, zamierza coś, ale Bóg ma swoje własne plany, nie wszystko zależy od nas.

Pięćdziesiąt lat, mówi ona, dokładnie o tej godzinie był ślub pod chupą¹⁴. Słyszę szmer wina nalewanego do kieliszków, a kiedy on mówi, na zdrowie Genia, cicho zamykam za sobą drzwi.

Mokre pomięte liście pod moimi bosymi stopami, widzę z podwórza, że ze słowa Szoszana, które wyryłam na kuchennym oknie, zostało słowo Szosz, reszta znikła z wysychającymi oparami. Topola pod ścianą salonu wyciąga się ku niebu, wysiła, by dotrzeć i nie ma szans. Luna jest tak wysoko, zimny i daleki krąg rzuca blask księżyca na chodnik, po którym idę. Zimny wiatr wdziera się w przestrzeń między ciężkim płaszczem a moim nagim ciałem, przyciskam do siebie płaszcz, wdycham zapach kołnierza, który przez lata przesiąkł karkiem dziadka i chcę błogosławić wszystkie perfumy.

Mira Magen

tłumaczył z hebrajskiego Tomasz Korzeniowski

Opowiadanie z tomu *Kaftorim reclusim heitew* (Guziki dobrze zapięte), Jerozolima, Keter Hoca'a la-or, 1994.

¹³ parochet – zob. przyp. 4.

¹⁴ chupa – baldachim ślubny, zwykle ze zdobionego aksamitu, podtrzymywanego czterema drążkami.



Fot. Wardi Kohana

Dawid Grossman

Bądź mi nożem

3.4

Miriam,

nie znasz mnie, a kiedy piszę do ciebie, ja też do końca nie znam siebie samego. Nawet próbowałem nie pisać, próbuję już dwa dni, i właśnie poddałem się.

Widziałem cię przedwczoraj na zjeździe absolwentów, ty nie widziałaś mnie, bo stałem zupełnie z boku, może nawet w miejscu dla ciebie niewi-

Dawid Grossman, ur. 1954 w Jerozolimie. Studiował filozofię i teatrologię na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Przez 25 lat współpracował z radiem izraelskim, zaczynając jako 10-letni korespondent programów młodzieżowych. Oprócz powieści, dramatów, literatury faktu, pisze również dla dzieci i młodzieży.

Opublikował około dziesięciu książek (wszystkie w wydawnictwie Ha-kibuc ha-meuchad), m.in. *Rac* (Biegacz [opowiadania], 1983), *Sefer ha-dikduk ha-pnimi* (Podręcznik gramatyki wewnętrznej [powieść], 1991), *Iesz icladim zig-zag* (Dzieci zyg-zak [powieść], 1994). W polskiej prasie ukazały się fragmenty powieści *Aien erech: ahava* (Patrz pod: *Miłość* [powieść], 1986). Powieść *Sze-tihii li ha-sakin* (Bądź mi nożem, 1998) ukazała się w przekładach na: angielski, francuski, holenderski, niemiecki, włoski. Wiele innych książek Grossmana tłumaczono także na: arabski, czeski, duński, fiński, grecki, hiszpański, japoński, norweski, portugalski, rumuński, serbskocchorwacki, szwedzki, turecki.

docznym. Ktoś wymówił twoje imię, a kilku chłopaków nazwało cię nauczycielką, i byłaś z pewnym wysokim mężczyzną, chyba twoim mężem. To wszystko co wiem o tobie, i nawet tyle, to trochę za dużo. Nie obawiaj się – nie chcę się z tobą spotykać i przeszkadzać ci w spokojnym życiu, ale chciałbym, byś przyjmowała ode mnie listy. To znaczy – żebym mógł opowiedzieć ci o sobie (od czasu do czasu) listownie. Nie żeby moje życie było, kto wie jak interesujące (nie jest, i nie narzekam), ale chciałbym dać ci to, czego nie mam komu dać. Chodzi mi o rzeczy, o których nie myślałem, że można komukolwiek z zewnątrz dać, czy w ogóle chcieć dać. Oczywiście, że to ciebie zupełnie nie zobowiązuje, nie musisz odpowiadać (i jestem prawie pewien, że mi nie odpowiesz), ale jeśli w ogóle zechcesz kiedyś dać znak, że czytasz, podaję na kopercie numer skrytki pocztowej, którą wynająłem dziś rano z przeznaczeniem tylko dla ciebie.

Jeśli trzeba tłumaczyć, to nie ma sensu, a ty nawet nie musisz odpowiadać, bo najwyraźniej pomyliłem się co do ciebie. Ale jeśli to ty, którą tam widziałem, jak obejmowałaś samą siebie i miałaś uśmiech trochę skrzywiony, to myślę, że zrozumiesz.

Jair W.

7.4

Miriam, witaj,

od czasu jak dostałem twój list, nie robię nic, nie jestem w stanie, ani pracować, ani żyć, mogę tylko biegać wokół ciebie i wykrzykiwać twoje imię w myślach, gdybyś teraz tu była uściskałbym cię z całych sił i połamał nas dwoje tym, co rośnie we mnie do ciebie w tej chwili (nie martw się, nie jestem szczególnie silny), i przyrzekam odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie zadałaś, należy ci się najszczersza odpowiedź na wszystko, co napisałaś, i za to, że w ogóle odpowiedziałaś! Że się zgodziłaś! Że nie przestraszyłaś się mojego listu niedoszłego samobójcy (zostały mi po tym dwa głębokie okrągłe ślady od zębów wewnątrz policzków), ale przed tym, przed wszystkim, muszę ci opowiedzieć, jak się naprawdę spotkaliśmy (Odpowiedziałaś mi! W ciągu jednego dnia! Nie śmiałaś się z tego szaleńca, który nagle ci się objawił.), i nie chodzi mi o spotkanie w szkole przed tygodniem, tamto należy do rzeczywistości, a my co mamy wspólnego z rzeczywistością, i jakie miejsce ona będzie gotowa nam dać?

Od czego zacząć, gdyby można było zacząć od wszystkich miejsc na raz, i to uczucie, że każde słowo nagle pełne jest zbędnych liter, prawda? Że

ktoś końcem pióra zamienia hebrajski na francuski... nie wyobrażałem sobie, jak trudno będzie wyjaśnić i rozkruszyć to uczucie na słowa. Napisałaś, że przypomniałem ci troszkę tego kota w butach siedmiomilowych, oby, jakom żyw, dało się przeskoczyć na raz etap wyjaśnień i etap logiki, żebyś wiedziała wszystko, natychmiast, żebyś przyjęła mnie całego, żebyś była w tobie, żebyś otworzył oczy i zobaczył cię uśmiechającą się przede mną i mówiącą w porządku, można zacząć (Tu przerywam. Mam uczucie, że każde dodatkowe słowo psuje mi całość. Teraz twoja kolej).

Jair

7.4

(Jeszcze tylko parę słów.) Wysłałem, wróciłem i nie uspokoiłem się, kto w ogóle chce się uspokoić, hej, Miriam, nie zwracaj uwagi na tego idiotę, który od rana uśmiecha się niepohamowanie, i z nadmiaru szczęścia chciałby teraz, od razu i natychmiast, rozebrać się, ściągnąć naskórek, wszystko, i stać przed tobą nagusieńki, aż do białego jądra duszy. Och, żebyś tak umiał narysować ci, i rzeć i nawijać, szczebrać, nawet wygwizdać ci to, co we mnie wzbiera. (Przypominam sobie, że w wieku około dwudziestu lat próbowałem zostać świeckim lamedwawnikiem¹, i planowałem, że przynajmniej raz na tydzień będę siadał w autobusie za samotną kobietą, oczywiście najlepiej za kobietą w czarnym ubraniu wdowy, ale nie można grymasić, i tak by mnie nie widziała, będę jej gwizdał, cicho, cicho, do ucha, melodię pełną miłości, która wedrze się do jej najgłębszych zakamarków i poruszy tam wszystko co uśpione, pełne rezygnacji, zakrzepłe)...

Nie, obcość jaka jest między nami, nie przeraża mnie wcale. Odwrotnie, jasne, że na odwrót – powiedz, co bardziej pociąga i doprowadza do obłędu, od możliwości dania czegoś bardzo drogiego, najdroższego, tajemnicy, albo słabości, albo złożenia całkiem bezpodstawnej prośby, jak prosiłem ciebie, i oddania w obce ręce (naprawdę obce!), i cierpienia od ogromu wstydu i hańby, że skusiłem się na tak wyraźną uludę, i że w ogóle jest we mnie to żebractwo, i tak przez trzy dni i trzy noce, minuta za minutą, jak w karcerze, albo pułapce, i wtedy, kiedy już byłem blisko rezygnacji, pełen mdłości, złudnej radości, posępny.i szary, i nagle twoja biała dłoń –

¹ lamedwawnikiem – nazwa pochodzi od liczby 36, wyrażanej za pomocą liter hebrajskiego alfabetu: *lamed* i *waw*, a oznacza jednego z 36 sprawiedliwych, zwanych *lamed-waw cadikim*, których – według tradycji – anonimowe istnienie w każdym pokoleniu zapewnia trwanie świata.

Popatrz, może ty w ogóle nic nie pojmujesz z tych moich wzruszeń, ale twój list opromieniony, a szczególnie P.S. na końcu, w sumie jedna linijka, dla mnie to było naprawdę jakbyś przyszła i wzięła mnie za rękę z cienia do światła, tak czułem, że podałaś mi rękę i przeprowadziłaś mnie przez granicę źródła światła, z taką prostotą, jakby to było zupełnie naturalne, że człowiek robi taką rzecz komuś zupełnie obcemu.

(A teraz, zimna fala. Właśnie teraz, właśnie w tej chwili, dlaczego? Bo tak jest dobrze? Fala chłodu wznosi się od żołądka, jak zimna pięść zwija się pod sercem, żebyś wiedziała.)

Obyś zrozumiała, ja naprawdę mówię tylko o listach, nie o spotkaniach, ani razu o ciele, o fizis, nie z tobą, to stało się dla mnie tak jasne po twoim liście, tylko słowa. Bo twarzą w twarz, to się nam popsuje, wpadnie zaraz na utarte ścieżki. I oczywiście, w ścisłej tajemnicy, nie opowiadając nikomu, żeby się nasze słowa nie obróciły przeciw nam. Tylko moje słowa spotykają twoje słowa, żebyśmy poczułi, jak powoli jednoczy się rytm naszych oddechów. Tak mnie męczy takie pisanie, nie zwykłym zmęczeniem, ale po każdych kilku linijkach, naprawdę muszę zatrzymać się, odetchnąć i uspokoić.

Już wieczór. Zrobiłem przerwę. Wróciłem trochę do siebie. Dokładnie dziesięć godzin po tym, jak znalazłem twoją białą kopertę w mojej skrytce, z moim nazwiskiem po jednej stronie i twoim nazwiskiem po drugiej (może wcale nie potrzebowałem więcej, na początek). A w środku, na połowie strony (nie miałaś czasu?), twoja odpowiedź. W pierwszej chwili nie mogłem w ogóle zrozumieć, co czytam. Jakby z każdego słowa, nawet ze słów najprostszych, emanował na mnie osłepiający blask, jaki jest w słowie „ja”, jeśli się w nie wgłębić, chwila gdy rozumiesz, i potem zaczyna się rodzaj mrocznej ciemności rozpościerającej się w centrum i wciągającej mnie do środka, i kiedy doszedłem do P.S., do dzięki za nieoczekiwany prezent ode mnie (jeszcze mi dziękujesz!), i do twojego serca, które wypełniło się nagle tęsknotą do siebie samego, kiedy było małe –

Prawda, że w takiej chwili nie ma co powiedzieć? Że najważniejsze już zostało powiedziane?

Ale posłuchaj, kiedyś przeczytałem myśl u naszych mędrców, że w ciele jest mała kość, powyżej końca kręgosłupa, która się nazywa luz, której nie można zniszczyć, i która się nie kruszy po śmierci, ani nie spala w ogniu, i z której w czasie zmartwychwstania człowiek odrodzi się na nowo². Wtedy miałem taką małą zabawę – próbowałem zgadnąć, co jest tą kością luz ludzi,

których znalazem, co jest ostatnią częścią, jaka po nich została, która nie wymiera, i z której oni odrodzą się znowu. I oczywiście, szukałem też tej kości u siebie, ale żaden pomysł nie sprawdził się, i potem przestałem pytać i szukać, mój luz został uznany za zaginiony, dopóki nie zobaczyłem ciebie na szkolnym podwórku, i nagle ta myśl powstała z martwych, a razem z nią przyszła mi słodka i szalona idea, że może mój luz wcale nie znajduje się we mnie, tylko w innym człowieku?

7.4

W każdym razie to ja. Tuż przed północą. To już trzeci dzisiaj, nie obawiaj się, nie masz pojęcia, ilu listów nie wysłałem do ciebie dzisiaj, ale dzisiaj jest pierwszy nasz wspólny dzień, dzień w którym przyszedł twój list, a ja odpowiedziałem, i póki jeszcze nie przyszedł od ciebie list dodatkowy, mogę wierzyć, że ty czytasz mnie dokładnie, jak ja piszę do ciebie, śpiąc nie śpiąc, na wpół przytomny (dzisiaj w pracy wprost tańczyłem chodząc), i mógłbym tak mruczeć do ciebie Maim, Maim, cienkim głosem, mój głos staje się cieńszy kiedy myślę o Tobie, Maim, zagulgocz do mnie, Maim, nie wiem dlaczego, może z powodu wody, która jest w twoim imieniu² (bez „r” trochę trudno, jak tama na strumieniu), a może dlatego, że nic nie jest żyzne bez płynów, a ja czuję, czuję moim ciałem, że my oboje potrzebujemy mnóstwo wody wokół nas, na wodospady i rzeki, aby po prostu zacząć być.

Przesadziłem? Przełałem? Czulem, jak się skurczyłaś (naprawdę: twoje ciało wykrzywiło twarz), albo powiedziałem jakieś szczególnie raniące słowo? Powinnaś mną pokierować, wyjaśnić mi, gdzie boli i gdzie trzeba ostrożnie. Albo po prostu zalewam i już się dzisiaj znudziłaś? Bo mnie osłabia pisanie do ciebie, mówiłem ci. Nigdy nie czulem takiej słabości z powodu pisania. Pięć, dziesięć linijek, i wszystko zaczyna wirować. To też jest miłe, przypomina uczucie dziecka, kiedy wychodzi po raz pierwszy na świat, po długiej chorobie. Powiedz, może zdecydujemy od razu, że to nie będzie zbyt długa

² luz – hebr. *luz sze-ba-szidra* – luz, która jest w kręgosłupie, to według rabinów dodatkowa, prócz 18 kręgów, kość, która stanie się podstawą odbudowy ciała w czasie zmartwychwstania. Obecność dodatkowej kości nie jest potwierdzona naukowo, a podstawą wiary w jej niezniszczalność jest Psalm 34,21. Midrasz *Kohlelet rabba* notuje, że rabbi Jehoszua ben Hanania demonstrując ją królowi Hadrianowi mówił: „Włożono ją do wody, a ona nie rozpuściła się, do ognia, a nie spaliła się, w żarna, a nie skruszyła się. Położyli ją na kowadło i uderzali młotem. Kowadło pękło, młot połamał się, ale ona pozostała w całości”.

³ wody... w twoim imieniu – z czterech liter hebrajskiego imienia m-r-i-m (Miriam), trzy m-i-m, składają się na słowo *maim*, woda.



Jerozolima, Góra Oliwna.

Fot. Arie Bar-Lew

wymiana korespondencji? Załóżmy, może jeden rok? Albo dotąd, aż to będzie nie do ścierpienia z nadmiaru rozkoszy? Bo jeśli moje ciało mówi teraz prawdę, a ciało, jak wiadomo, nie kłamie –

Nie? Nie kłamie? Ile razy kłamałem ciałem? Ile razy obejmowałem i całowałem i zamykałem oczy wzdychając, kończyłem rykiem, ale bez żadnego szczególnego zamiaru?

A ty, ile razy?

Miriam, jeśli to, co teraz czuję do ciebie jest prawdziwe, to i rok może będzie dla nas za długo. Nie dotrwamy dłużej, i do tego zasiejemy zniszczenie wszędzie dookoła nas, a zdaje mi się, że my oboje mamy coś do stracenia poza nami, i dlatego pomyślałem, idiotyczny koncept, ale zawsze, że może ustalimy z góry? Że wyznaczymy sobie jakąś datę, albo poczekamy, aż coś szczególnego wydarzy się na świecie, coś poza nami, kompletnie nam obojętnego, ale będzie naszym znakiem osobistym na ogólnej tablicy. Co powiesz, to cię trochę uspokaja (daje w sumie jakiś zarys)? Tak będziemy też

wiedzieli z góry, że rozstanie nie zależy w ogóle od naszej decyzji, i że musimy podolać temu, aż do wtedy. Być wszystkim, albo niczym, co ty na to?

Znów oddaliłaś się, jednocześnie stajesz się chłodna i wycofujesz się. Dobrze, przecież wiem, że napisałem tu kompletne głupstwo, że kopnąłem moje wiadro jeszcze zanim zaczęło się napelniać, ale poczekaj, nie decyduj jeszcze niczego przeciw mnie! Posłuchaj: najłatwiej byłoby mi teraz porwać tę kartkę i napisać od nowa, bez tych obraźliwych słów i nie tracić ciebie nagle.

Widzisz, została. Dokładnie jak była. Bez wymazywania. Bo kiedy mi odpowiedziałaś, zdecydowałem, że wszystko co mi się przydarza przez ciebie, będzie należeć do ciebie. Zapisane-we-mnie-zapisane-w-tobie. Każda myśl i pragnienie i pożądanie i niepokój, każde dziecko, płód, albo aborcja, jakie powstały we mnie z twego powodu, i to jest jądro mojej umowy z tobą i tylko z tobą, że rezygnuję z makijażu w celu zalotów i z autocenzury i prawa do samoobrony –

(jaka ulga, móc tylko pisać te słowa).

Ale, zobacz, przeczytałem teraz to, co napisałem.

Obym mógł napisać ci inaczej, okazać się człowiekiem, który pisze inaczej. Tyle ordynarnych słów. To w ogóle mogło być strasznie proste, prawda? Takie „powiedz mi dziecko, gdzie cię boli?“, a ja zamykam oczy z całych sił i piszę szybko: oby dwoje zupełnie obcych ludzi pokonało obcość, potężne ustawodawcze jądro obcości i całe elity Kremla utuczone, które siedzą nam wszystkim w duszy, i obyśmy żyli jak para, która może sobie wstrzyknąć zastrzyk prawdy i musi wreszcie ją wypowiedzieć, tę prawdę, chcę móc powiedzieć sobie „z nią przelewałem prawdę“, tak, oto czego chcę, żebyś mi była nożem, a ja tobie też, obiecuję, ostrym nożem, ale pełnym litości, to twoje słowa, w ogóle nie pamiętałem, że można ich użyć, taki delikatny i miękki dźwięk, słowo bez skóry (jeśli mówi się to samo kilka razy na głos, można je poczuć, jak słońa ziemię, i twardą w chwili, gdy woda zaczyna wdzierać się w jej szczeliny). Jesteś zmęczona, zmuszam się, by powiedzieć dobranoc.

Jair

12.4

Miriam.

Wiedziałem, nie mów, że nie wiedziałem i że nie ostrzegałem siebie.

Naprawdę, to jest to, co czułaś? Ale aż tak?

Dobrze, pewnie wyobrażasz sobie, że i mnie nie było przyjemnie tak obe-rwać. Daje jedną ręką, bierze obiema. Szeherezada i głupi sultan są związani i splątani razem... Dziś rano nie mogłem już ścierpieć i znów posłałem sobie, ekspresem, twój pierwszy.

Ale ty rozumiesz, prawda? Że to wszystko z nadmiaru strachu. Że po tym, jak udało mi się pociągnąć cię za rękaw i zatrzymać cię na chwilę przy sobie, zgaśnie mój przytłumiony czar, i nigdy już nie będę miał drugiej okazji, a ty musisz, musisz mi uwierzyć, że mogę odkryć się za drugim razem, albo trzecim, ale w żaden sposób tym razem.

W sumie, Miriam (masz imię gorące, pełne, twarde i delikatne zarazem), zostań ze mną jeszcze trochę, dopóki mi nie przejdą te niechciane grymasy. Lepiej tymczasem zanotuj dla mnie jeszcze trochę drobnych i desperackich uwag w swoim dzienniczku, ale pozwól mi zostać, kiedy prowadzisz sama ze sobą te somnambuliczne rozmowy, z Anną (to twoja przyjaciółka?), z twoją kotką i psami, może jeszcze nie wszystko straciłem u ciebie, bo przecież za-pytałaś tam, zdaje się, że szczerze, dlaczego jestem taki wystraszony, i jak to możliwe, że ten, kto odważył się mieć takie wielkie życzenie od życia, boi się tak bardzo tego życia.

Naprawdę, wytłumacz mi.

Powiedzieć ci, ile razy czytałem twoje dwa listy? Chcesz się uśmieć? O każ-dej porze dnia i nocy, po cichu i na głos, we wrzątku w wannie, i nad otwar-tym gazem w kuchni, i kiedy siedziałem na zebraniu w pracy, ze zmarszczo-nym czołem waźniaka w obecności dziesięciu ludzi. Moje śmieszne próby, żeby być z tobą w każdym stanie skupienia. Też w toalecie na dworcu głów-nym w Jerozolimie, pojechałem tam dzisiaj po południu, specjalnie dla ry-sunków pornograficznych i wulgarnych napisów, które się złuszczały ze wsty-du na głos twoich otwartych słów, jak piszesz, naprawdę, nawet jeśli jesteś rozczarowana, bez żadnych gier i udawania, nawet trochę nie zważając na siebie, tak po prostu przychodzisz i dajesz wiarę, nie znając mnie w ogóle.

Opowiadać jeszcze o sobie? Co tu jest do opowiadania?

Coś w twoim sposobie pisania przypomniało mi, że kiedyś zamyślałem uczyć mojego syna własnego języka. Odseparować go, od początku świa-domie, od świata rozmów i oszukiwać go od urodzenia, tak, żeby wierzył tylko i wyłącznie w język, jaki ja mu dam. I, że to będzie język litościwy. Mam na myśli – chodzić za nim krok w krok i nazywać wszystko co zoba-czy nazwami, które oszczędzą mu bólu serca. Tak, żeby nie mógł w ogóle zrozumieć, że jest na przykład wojna, i że ludzie zabijają, a to czerwone to

kw. To trochę banalny pomysł, wiem, ale lubiłem wyobrażać sobie, jak on idzie przez życie z uśmiechem naiwnym i ufny, pierwszy oświecony człowiek.

Przecież nie muszę ci mówić, jaki byłem szczęśliwy, kiedy zaczął mówić, pewnie pamiętasz ten cud, kiedy dzieciak zaczyna nadawać nazwy rzeczom. W sumie, za każdym razem, kiedy uczył się nowego słowa, słowa, które było trochę „ich”, wszystkich, nawet pierwszego słowa, słowa pięknego, jak „światło”, moje serce trochę zgorzkniało – na samym koniuszku, bo myślałem – kto wie co on w tej chwili traci, i ile niezliczonego rodzaju blasku czuł i widział, smakował i wąchał, zanim wcisnął wszystko do małej skrzynki „światła”, z tym „o” na końcu, jak wyłączony kontakt. Rozumiesz, prawda?

Tak, na pewno, to zgorzknienie-na-samym koniuszku rozumiesz. Może, swoją drogą, nawet jesteś skromnym fachowcem? Poczulem to od pierwszego spojrzenia. Ja też, zdaje się, że już zdołałem zadać twemu sercu немало bólu i zgorzknienia.

Ale, aż tak, doprawdy? Jakbyś straciła drogą rzecz, upragnioną, w chwilę po jej zdobyciu?

Przynajmniej powiedz mi, co to było, ta droga rzecz (żebym wiedział, co we mnie prawie było).

Jair

16.4

Masz oczywiście rację, koniecznie trzeba mnie skarcić (ale ani na chwilę nie pomyślałem, że jesteś stworzona ze słów). Kto mógł sobie wyobrazić, że jest w tobie także delikatny, gorzki i taki ostry sarkazm – widziałem w twoich ramionach i plecach ten znak, jakieś napięcie, a nawet było tam przygnębienie, jakby gotowe na nadchodzące uderzenie, a może myłę się zupełnie?

A może tym razem to przeze mnie? Powiedz – czy to ja tak cię spinam? Znam to tak u siebie, oby z tobą nie...

Posłuchaj: dzisiaj, obok pracy, w dzielnicy przemysłowej, w środku poranka, w najmocniejszym świetle siedział ślepiec na przystanku. Głowa opuszczona, laska między ściśniętymi kolanami. Przyjechał autobus i wysiadł z niego inny ślepiec, i kiedy przechodził koło tego na przystanku, obaj naraz wyprostowali się, głowy ruszyły się razem. Ja stałem, nie drgnąwszy. Oni macali, odkryli, i w jednej chwili obaj, jakby złączyli się razem i zastygli. To trwało sekundę, nie więcej, w kompletnej ciszy, i po chwili oderwali się od

siebie i rozstali, ale u mnie skóra drżała twym imieniem, całe ciało, i pomyślałem sobie: tak!

Więc chodź, zbliż się, chcę ci dać coś prawdziwego, i intymnego, nie uciekaj, nie krzyw się, coś bardzo intymnego, w przeciwieństwie do „anonimowego”, którym oskarżyłaś mnie, jak sąd polowy na twoim tarasie (purpurowy liść wpadł w pułapkę między kartkę i kopertę, trochę się pogniótł właśnie na „anonimowej intymności”, i zatarł oba słowa), napnij mięsień mocno, Miriam, powiedzieliśmy, albo wszystko, albo nic.

Kiedy moja żona i ja zaczęliśmy wychodzić razem, kiedyś pojechaliśmy na wycieczkę w sobotę rano w góry Karmelu, i poszliśmy małą górską ścieżką. Było bardzo wcześnie, niewiele po świcie, rozmawialiśmy i śmialiśmy się, a ja, który na ogół gardzę tym, co ludzie nazywają pięknem stworzenia, nagle nie byłem w stanie objąć tej wspaniałości wokół i naraz ściągnąłem całe ubranie i zacząłem biegać nagi pomiędzy drzewami, krzyczeć i tańczyć. A Maja (nazwijmy ją Maja, ty też jesteś zaproszona do wybierania według swojej woli imion dla twoich najbliższych) zdziwiła się i zatrzymała, może tylko odepchnęła ją moja nagość, którą widziała po raz pierwszy na otwartym powietrzu, nawet w ciemności nie jest najprzyjemniejsza, i słyszałem, jak woła mnie po cichu i błaga, żebym przestał, ale już byłem pijany, i otaczałem ją ze wszystkich stron czymś w rodzaju dzikiego tańca – weselnego, który wyglądał, jak sobie wyobrażam, dosyć śmiesznie, zaprosiłem ją, żeby dołączyła do mnie, i była chwila, kiedy czulem, że ona nawet chce, rozumiesz, przedtem nie chciałem z nią tańczyć, na przyjęciach, pomiędzy ludźmi, i dopiero nagi, nagle mogłem sobie tańczyć, wyobraż sobie, nagi tańczyć, pękam z nadmiaru szczęścia, może nie można nie być pięknym, kiedy jest się szczęśliwym, i Maja prawie włączyła się, czulem, że to wzrasta w niej ku mnie, i prawie wyrwała się z siebie, ale w ostatniej chwili nie. Dlaczego policjant w twoim śnie żądał, żebyś złożyła przeciw mnie skargę o pisanie listów z pogrózkami?

(No, jak mnie naraz ożywiłaś, mówiąc wścibskiemu idiocie, że one w ogóle wyglądają ci na listy z pogrózkami na moje życie, i że może właśnie dlatego zostajesz.)

W lesie tańczyłem. Ach, żebym tak mógł teraz, w tym wieku, tak tańczyć. Tańczyłem, bo jakimś cudem nie ogarnęło mnie to zwątpienie, zimna fala, to znaczy – ogarnęło, jasne, że ogarnęło, u mnie maszyna działa bez zarzutu, i woreczek jadu wstrzyknięty do strumienia krwi od razu, kiedy serce rozszerza się z jakiegoś powodu, ale z jego powodu tańczyłem wtedy jeszcze

bardziej, nie wiem dlaczego, może czułem, że robię w końcu mój dobry błąd, i nawet, kiedy Maja już się odwróciła i poszła usiąść w samochodzie, nie byłem w stanie przerwać biegu między drzewami i tańca, a zapach sosen stał się ostry, aż do łez, kiedy byłem nagi, i głosy wokół, ptaków i odległe szczekanie i brzęczenie owadów, i wdychałem zapach ziemi i szczeliny jaskiń i popiół ognisk z lata, i czułem jakby rozwierała się nade mną ogromna katarakta, która okrywała mnie całego, i dopiero kiedy runąłem z wyczerpania, pozbierałem ubrania i wróciłem do auta, a jej twarz była blada, nie popatrzyła na mnie, poprosiła, żebym się ubrał, bo mogą nadejść ludzie, i lepiej, jak wrócimy zaraz, natychmiast do domu, bo jej rodzice czekają na nas ze śniadaniem. I nagle jej głos się załamał, a ona wybuchnęła płaczem, i ja też zacząłem tam łkać, zrozumiałem, że to koniec naszej młodej miłości, i myślałem, że nie będę w stanie rozstać się z nią, bo nigdy nikogo tak nie kochałem, z radością i łatwością i tak zdrowo, jak kochałem ją, i oto, jak zwykle, już na początku zepsułem i odkryłem się.

Siedzieliśmy w aucie każdy osobno, i naprawdę płakaliśmy gorzko, ona ubrana, a ja nagi, i w tym płaczu trochę też zbliżyliśmy się i pocieszaliśmy i śmialiśmy, i zacząłem się ubierać, a ona mi pomagała, zakładała mi ubranie za ubraniem, zapięła guziki i zawinęła rękawy, a ja cały czas całowałem i zlizywałem jej łzy, bo już zacząłem rozumieć, że ona nade mną płacze, ale nie zostawia, oplakuje mnie i zostaje, a moje serce pękło z wdzięczności, i wiedziałem, że już nigdy w życiu jej nie zrobię takiej rzeczy, i zdecydowałem, że będę jej bronił przed sobą odtąd na zawsze, przecież ona nie może być pozbawiona obrony na świecie, w którym ja tak się kręcę. A ona zaśmiała się przez łzy i powiedziała prawie to samo, że po to, by strzec jej przede mną, będę po prostu musiał odtąd zawsze z nią być, a to był półżart, ale też i głęboka prawda i rozsądek decydujący o losie obojga, pary, a ty przecież wiesz, że to rozsądek, jaki ukazuje się czasem parze dopiero po długim życiu razem (widziałem tego mężczyznę z którym, albo kolo którego, stałaś), ale my jakoś zajrzeliśmy do środka dopiero pierwszy raz.

Zobacz, latami nie myślałem o tamtym momencie. Zawsze cofałem się przed wspomnianiem siebie tak tańczącego, i reszta razem z tym zatarła się. Przecież byliśmy tylko wystraszonymi dzieciakami, a w sumie udało nam się zawrzeć za jednym zamachem skomplikowaną umowę życia, ostrzegliśmy i zostaliśmy ostrzeżeni jak należy, i fascynuje mnie teraz, jak w ciągu sekundy skierowaliśmy snopy naszych spojrzeń tak, że od tej chwili i później kie-

rowaliśmy je tylko pod właściwym kątem, który jest potrzebny, by upewnić się, że nasza miłość zwycięży zawsze, za wszelką cenę, a nawet wyznaczylismy cenę, i więcej nie rozmawialiśmy o tym, już nigdy, jak można o tym rozmawiać, tak w środku życia, powiedz.

Powiedz.

Nie powinienem był opowiadać ci tego, prawda? Co ci do życia małżeńskiego człowieka, którego nawet nie widziałaś. Już czuję, jak mrozi mnie ten błąd. Znowu błąd jakiegoś kłowna, tak na pewno to widzisz, ten człowiek rzuca wszystko razem co ma, w powietrze, i wszystko oczywiście rozsypuje się dokoła na ziemi. Nie szkodzi, ludzie lubią kłownów, tak mnie uczyła para wielkich nauczycieli (ale skrawkiem mózgu pomyśl, że ja też, przyjmijmy – człowiek z wielką blizną po oparzeniu na twarzy, który postanawia, że mimo wszystko, wejdzie do pokoju pełnego ludzi). Może sądzisz, że powinienem trochę poczekać z tym opowiadaniem, poczekać, aż poznamy się lepiej? Ja też tak sądzę, ale wobec ciebie ja nie robię rzeczy zgodnie z moim sądem, tylko zgodnie z szalonym sądem, ani też nie chcę czekać, bo mój i twój czas razem, jest inny, to czas kulisty, i każdy punkt w nim znajduje się dokładnie w tej samej odległości od środka, i nie przepraszam, jeśli wprowadziłem w zakłopotanie, nie prowadzimy rozmowy salonowej. Z tobą – wymazać to zamordować, a niczego, co tu powiedziałem, nie planowałem i nie wymażę!

16-17.4

Nie mogę spać. Ach, żebym już mógł wiedzieć, co poczujesz, kiedy dostaniesz mój poranny list, jeśli w ogóle będziesz po tym dalej do mnie pisać. Jestem prawie pewien, że nie. Pomyślisz, że to wulgarne z mojej strony, tak opowiadać ci takie rzeczy o moim życiu. Ale w sumie jestem zadowolony, że ci go posłałem. Pomimo mojego okrucieństwa wobec siebie w ciągu dnia. Miałas rację, że ja w ogóle szukam towarzysza do podróży w wyobraźni, ale zupełnie mylisz się, że może wcale nie potrzebuję prawdziwego towarzysza. Dokładnie na odwrót: potrzebuję towarzysza prawdziwego do podróży w wyobraźni. Kiedy piszę te słowa, moje serce trzepoce zupełnie namacalnie. W ogóle, coraz częściej zdarza mi się, że czuję prawdziwe uderzenia serca tylko, kiedy je sobie wyobrażam. O, znowu trzepoce. Czy, wiesz, że jest taki ptak rybaczek¹?

¹ rybaczek – hebr. *parpur*, od rdzenia *pirper* – trzepotać (*parpar* – motyl).

Kiedy dotknąć lekko jego piersi, serce przestaje mu bić i umiera. Przy tym ptaku nie wolno zrobić nawet jednego niewłaściwego ruchu, bo każdy mały błąd powoduje lekki odrzut w jego sercu i ono po prostu przestaje bić. Gdybym mógł kupić takiego rybaczka. W ogóle dwa. Nie: stado rybaczków. Pozwalałbym im fruwać nad tym co ci tu piszę, żeby były żywymi wykrywaczami kłamstw, jak kanarki, które wykrywały ulatnianie się gazu w kopalniach. Wyobraź sobie: jedno słowo kłamliwe, albo niedokładne, albo wulgarne, albo po prostu obojętne – na kartkę pada martwy ptak. Zobaczyłabyś, jakbym wtedy pisał. Przy okazji, zapomniałem ci powiedzieć, że mnie zraniłaś, kiedy myślałaś, że może pomyliłem ciebie z kimś innym, kogo widziałem tamtego wieczoru. A jeszcze bardziej byłem urażony, że tak bardzo mężczyłaś się, by zdecydować, czy wolisz, by okazało się, że się pomyliłem, czy nie pomyliłem.

Ale, wiesz kiedy naprawdę szczypało mnie serce? Kiedy opisywałaś mi siebie, żeby się upewnić, ale zawęziłaś się tylko do jednego zdania, i to jeszcze w nawiasach („dosyć wysoka, włosy długie kręcone i nie pielęgnowane, okulary...”).

Jeśli tak jest, jeśli rzeczywiście czujesz się w nawiasach – daj chociaż mi wcisnąć się do środka, żeby cały świat został na zewnątrz. Żeby świat miał wpływ tylko na to, co na zewnątrz nawiasów, żeby było nas dwa razy więcej w środku.

J.

P.S. W sumie, nawet jeśli nie idzie nam i trochę jest kłopotliwe i kuleje od początku, muszę ci coś powiedzieć – jak mi się rozszerzają źrenice, kiedy widzę twoje słowo w innym miejscu, nawet kiedy spotykam je w gazecie, albo w reklamie... przecież są słowa tak pasujące do ciebie, twoje odciski duszy, a u wszystkich innych ludzi brzmią mi jak akcesoria mowy i łączy języka, nie więcej, i aż do spotkania ciebie nie wyobrażałem sobie, że spotkanie obcej mowy, może być tak wzburzające, jak pierwszy dotyk ciała i jego zapach i faktura skóry i włosów i piegów, z tobą też tak jest?

21.4

Ale, jak nas połączę? Ciebie i mnie, jak połączę? Przyszedł list od ciebie, leży na stole. Błady jak śmierć. Biel odbija wszystkie promienie światła, prawda? Zaraz go otworzę. Pozwól rozkoszować się wątpliwościami, pozwól rzucić trochę optymistycznego koloru... Już ci mówiłem, że cały czas widzę nas

nurzających się w zieleni? Cały czas zielen tryska, gdy myślę o tobie. Ogromna, szeroka zielen. Może to brzuch szerokiego, nieskończonego morza, może gęsty, europejski las, może tylko wielki trawnik (musiałem cię ostrzec, moje sny najczęściej kończą się na wysokości trawy). Ty siedzisz w trawie i czytasz książkę, a ja, założmy, gazetę. I jest między nami wielka przestrzeń, wielki trawnik i dwoje obcych, i jak sprawić, by w ciągu jednej sekundy objęli się nie przekraczając wszystkich pośrednich etapów, bez wygłaszania zdań, które miliony mężczyzn i kobiet już pozbawiło soli przed nimi?

Na dotyk – jedna strona, nie więcej. Myślałem, by spróbować pisać do siebie, jako ćwiczenie, to co tam napisane, ale zabroniłaś mi decydować za ciebie, co ty myślisz i co ty czujesz. Może zapiszę małe urojenie, jakie mam od kilku dni, urojenie o nas dwojgu, ciekawe, co pomyślisz o nim. Taki obraz, troszkę głupawy, mnie i ciebie, jak byliśmy pogrążeni w lekturze, ale ponieważ byliśmy tam tylko my, w trawie, czuwaliśmy nie śpiąc i byliśmy czujni z powodu obecności drugiego. Ja ubrałem, jak zwykle džinsy, ty miałaś czarną sukienkę, trochę luźną i przyklejoną do ciebie na całej długości, a na niej jasne gwiazdy i księżyc, i jeśli się nie mylę, był też cienki przewiewny zielony szalik, który okrywał twoje ramiona. Tak cię widziałem na przyjęciu absolwentów (Szalik? Albo jedwabna długa chustka? Teraz liczy się dla mnie każdy szczegół.), „jedeny szczegół jaki zapamiętałem, to długi zielony płaszcz, jaki nosiła”, tak spotkał po raz pierwszy kusiciel Kordelię z listów do, i może z tego szalika narobiło mi się tyle zieleni?

Zielen, która zarazem zgasła pod ogromnym szarym swetrem twego męża, który ten zarzucił na twoje ramiona, kiedy się trzęsłaś, pamiętasz coś takiego? Bo ja pamiętam wyraźnie szybki i agresywny ruch z jego strony, który mną wstrząsnął, gdy gapiłem się na ciebie, kiedy jeszcze nie załapałem, jak się na ciebie gapię. A on, ten „on”, przed którym ty za żadne skarby nie zamierzasz ukrywać naszego kontaktu, po prostu, żeby mu nie przyszło do głowy śledzić cię, co robisz i z kim – nagle, z wysokości tytanicznego wzrostu, rzucił na ciebie sweter, jak rzuca się lasso na uciekające źrebę.

Ale dlaczego naprawdę trzęsłaś się? Dosyć wysoka, długie kręcone włosy niepielegnowane, okulary... gdyby nie te irytujące nawiasy, śmiałbym się: tak widzisz samą siebie, tylko tak? I dlaczego nie napisałaś o twojej wspaniałej postawie, wyprostowanej i delikatnej jednocześnie, i o promieniującej twarzy, i jak to się stało, że nie wspomniałaś o tym rodzaju naiwności, jaki jest w twojej twarzy, jasnej i piegowatej, trochę nie na czasie, nie obrażaj się, jak ludzie lat pięćdziesiątych...

Dlaczego nie od razu nie napisałem takich słów jak złoto zbóż, spichlerz i masło, i że twoja twarz na pierwszy rzut oka, jest albo obojętna, albo tępa, wygląda prawie skromnie w porównaniu ze wspaniałym i okazałym ciałem, mam nadzieję, że cię nie ranię, szczerą twarz dobrej i cnotliwej dziewczynki, miła i odpowiedzialna twarz przewodniczącej samorządu klasowego, i nagle oko przyłapuje coś nieoczekiwanego, piękny dołeczek na brodzie, albo same usta, szerokie, drżące, niespokojne i troszkę jakby żyły tylko dla siebie, masz g ł o d n e usta, Miriam, powiedz, jeśli ktoś już ci to powiedział, to znajdę inne słowo, bo nie jestem w żadnym wypadku gotów taplać się w słowach kogoś innego.

Tamtego wieczoru pochłaniałem twoją twarz. Widziałem cię może pięć minut, ale całe pięć minut ty gorzałaś we mnie, twoje imię mam w pamięci mojej i na ustach twoich⁵, i po tym wszystkim co usłyszałaś, spróbuj zdecydować, czy twój „dziwny jęk” był naprawdę dlatego, że myślałaś, że pomyliłem cię z inną kobietą, albo jęknęłaś dlatego, że to właśnie ty jesteś tą, która trafiła do mego życia... nie pomogę ci w twoich wątpliwościach, od wtedy minęły już trzy tygodnie, i mój wzrok tylko uderza o każdą nową kobietę, jaką zobaczę i zaraz odbija się rykoszetem w kierunku twojego obrazu w mojej głowie. Jak mnie twoja twarz poruszała. Mnie, który zawsze zaczyna od ciała. Ale i ciała, broń Boże nie odrzucam, zdaje się, że próbowałaś je wymazać pisząc („dosyć wysoka...”), pióro już dostaje konwulsji w dłoni na myśl, którą wkrótce opiszę twoje ciało, piękno twego ciała i jego hojność ukrytą pod ubraniem. A także krągłość troszkę ściśniętą w ramionach, nie zapominam jej, jak ktoś zamknięty w twierdzy w tobie, a ty go chronisz.

I jak pochyliłaś głowę, i jak twoje ciało trochę drżało pod sukienką, i jak powolnym ruchem, jakby ze snu, objęłaś ramionami swoje ciało, jakby smucąc się nad nim, brzmi dziwnie, ale tak czulem, smucąc się i litując nad nim. Od pierwszego spojrzenia wiedziałem o tobie różne rzeczy, zdaje się, że znów cię złościsz, ważąc się na opowiadanie tobie o tobie bez wahania, ale po prostu wiedziałem, twoja twarz była wtedy otwarta i bezbronna, nigdy nie widziałem dorosłego człowieka, który miałby tak złuszczonego naskórek. Można było wprost widzieć, jak każde pojawiające się w tobie uczucie, rysuje się od razu na twojej twarzy, a ty nie możesz niczego ukryć, i jakie to niebezpieczne, i gdzie ty byłaś, jak uczyli życia?

⁵ na ustach twoich – w oryginale *be-al-pe uwe-al-pich* – z idiomu *be-al-pe* – na pamięć (*pe* – usta), autor tworzy zwrot: *be-al-pich* – zamieniając „usta” na „twoje usta”.

(Dosyć, nie mogę się już więcej powstrzymywać. Chodź, chodź urzędniku z zachmurzoną miną, chodź liście ze zwolnieniem, treściwy i antybiotyczny, posłuchamy, co masz nam do powiedzenia.)

22.4

Miriam.

Najpierw:

W supermarkecie, dzisiaj, o zmierzchu – dzieciak, którego nie znam poprosił mnie, by zdjąć mu trzy tabliczki czekolady z wysokiej półki. Wyciągnąłem rękę do półki, a on w mgnieniu oka zamienił się w dziecko chore, w którym gnieździ się niejasna choroba i leczą go już kilka miesięcy, i zajmują się nim, i zdaje się, że wszystko się układa, a on w drodze do wyzdrowienia, i nagle zaczyna pożerać czekoladę, czekoladowy atak, wstaje jak lunatyk w nocy i pożera i nie można go powstrzymać, i wcale nie jest przyjemnie odbierać mu tej małej przyjemności, kiedy on przechodzi takie ciężkie leczenie. Ale chodzi o to, że dzieciak wie coś, czego nie wie nikt, ani rodzice, ani lekarze, ani nawet on sam, ma rodzaj niemej wiedzy wewnętrznej, i on u z b r a j a się w czekoladę na długą i zimną podróż, jaka go czeka – ściągnąłem mu tabliczki z półki i pobiegł w swoją stronę z radością.

Taki miałem efemeryczny błysk, jeszcze kiedy sięgałem ręką na półkę, i przysięgłem pamiętać go, by ci opowiedzieć, i nawet zapisałem go na kartce. No, i co? Mam takich dziesięć na dzień i dziesięć tracę na zawsze, i nie jest to błysk specjalnie nadzwyczajny, ale gdybym ci nie napisał, to i o nim bym zapomniał, i szkoda, w sumie szkoda, że nawet taki malec umrze, zanim się urodzi, przecież to żywy okruch duszy, i oczywiście, że każdy człowiek ma takich setki, ale nikt inny nie wpadł na t a k i głupi pomysł, a nawet, gdyby wpadł – kto może opowiedzieć o takim błysku innemu człowiekowi? Słyszałaś kiedykolwiek, by ktoś opowiadał o błyskach?

I skąd ta siła, by opowiadać ci o takiej głupocie gdzieś w środku, o czymś, co jest bez wątpienia niczym więcej jak szemraniem prądu statycznego w mózgu?

Może z tego, że nagle zrozumiałaś, że jeśli przestaniesz pisać do mnie teraz, tylko dlatego, że tu i tam doprowadzam cię do szału, to być może przez całe życie nie wybaczysz sobie?

Zobacz, Miriam, czytam twój krótki list znów i znów. Może nie śmiem zrozumieć do końca, ale zdaje mi się, że jest tu napisane twoją drobną dło-

nią, że jest dla ciebie jasne, że jeśli teraz pokażesz mi plecy, zanim naprawdę mnie spotkałaś, poczujesz jakbyś sprzeniewierzyła się swej istocie.

A ja przecież wiem, nie musiałaś być taka szczegółowa, że ta „istota” nie jest związana w ogóle ze mną, że to wyłącznie twoja sprawa, i ona jest może nawet, jak powiedziałaś, TWOJĄ sprawą. Ale czytam także to, co dodałaś na dole, trochę dziwnymi literami, że czasem to wywołuje w tobie drżenie z obawy – że obcy człowiek zauważył krótkim spojrzeniem tę rzecz, twoją, i nie znając ciebie w ogóle nazwał ją własnym imieniem.

Jair

(już jutro)

Mam zamiar: gdybym tylko mógł połączyć kilka takich razem, takich okrucichów duszy, może bym patrzył na nie, jak na całą mozaikę i coś w końcu zrozumiał, jakąś z a s a d ę łączącą mnie w całość, nie sądzisz?

Mówię o rzeczach, które nie mają własnego imienia, które z czasem gromadzą się na dnie duszy, warstwy osadów i pyłów. Jeśli poprosisz mnie, bym ci je opisał – nie mam na nie słów, tylko skurcz serca, przechodzący cień, westchnienie. Ktoś obejmuje siebie samą pośród ludzi, i nagle ty wypełniasz się tęsknotą. Ktoś pisze: przedstawiłeś się jak „obcy”, ale ten, kto jest zupełnie obcy, nie może tak do mnie pisać... i zaraz coś ściska za gardło, jedna kropla cieknie z gruczołu rezerwy samotności, nie więcej, ale cóż jest bardziej trwałego i ważnego od tego? W głębi duszy, wyjaśnił mi Rilke kiedyś, podczas pewnej warty na Synaju, wszystko staje się prawem. Bardzo pięknie, powiedziałem mu, to naprawdę uspokaja, jak pomyśleć, że gdzieś tam wszystko nawiązuje do jakiegoś znaczenia, ale mnie ta wiadomość już nie zadowala, Reiner Maria, mój czas kończy się szybko, i nawet jeśli będę żył jeszcze trzydzieści lat, zobaczę tylko trzydzieści pierwszych krokusów, w sumie dość mały bukiet, a ja chcę jeden raz zobaczyć na oczy wersję tego prawa, rozumiesz? Konstytucję, i chcę zorganizowanej wyprawy do tych tajemniczych „głębi”, i żądam poznania imion wszystkich ww. zebranych danych, nazwać je choć jeden jedyny raz po imieniu, żeby mi odpowiedziały, żeby były w końcu moje jeden raz, a nie tylko stała wieczna niemota (która w tej chwili, na przykład, bez żadnego widocznego powodu, w środku codziennego bałaganu, rozrywa mi serce).

J.

Przy okazji, nie wysilaj się tak, by przypomnieć sobie kim byłem spośród tych wszystkich, którzy otaczali cię tamtego wieczoru, to naprawdę nieważ-

ne, w ogóle mnie nie zauważałaś. Jeśli się upierasz – nie wysoki (może nawet niższy od ciebie, mam nadzieję, że cię to nie obchodzi, nie przeszkadzają te słowa) i bardzo szczupły, nie włożyli we mnie wiele materiału podczas produkcji, a może i niewiele myśli. Niezupełnie Adonis, jeśli mnie spytasz, to znaczy: nie pozbawiony brzydoty. Teraz sobie przypominasz? Fizis trochę smutna, z rzadką jasną brodą, krocący bez celu i bez odpoczynku pomiędzy grupkami, i nie przyklejający się do żadnej z nich? Pamiętasz kogoś takiego? Jakaś krzyżówka ponurego marabuta z Żydem? Krótko: szkoda wysiłku, nie zdołasz sobie przypomnieć, bo tu nie ma czego zapominać.

Nie litujesz się, co?

I nie ma zniżki.

Ale cóż w tym takiego strasznego, jeśli trochę jestem wydoroślały chłopak, kiedy piszę do ciebie? Jestem i chłopcem, i zupełnym dzieckiem, i też starcem, i na nowo narodzonym, jestem tym wszystkim, kiedy piszę do ciebie, i obys ty dawała trochę płomienia, na który pozwoliłaś sobie chwilami (Tylko chwilami? Naprawdę?), kiedy byłaś w tym samym strasznym wieku dorastania. I jak w ogóle można było przejść tunel tych mrocznych lat bez odrobiny „autoentuzjazmu”, i dlaczego dzisiaj też tak się powstrzymujesz przed swoimi spalaniem, z tych wszystkich twoich etapów, Jair-kupuje-wszystko, cały zapas rynku termicznego, bo zrozumiem, w miejscu, do którego chcę byśmy dotarli, nie ma wciąż wystarczająco żywotności i witalności, i jeśli oddalam się od niego i patrzę nań z zewnątrz, to i dla mnie staje się chłodne, a kiedy ty wątpisz w nie, nawet jedną małą uwagą, ono zaraz zamarza, co myślisz, że lekko stworzyć byt z dwojga⁶?

Od wczoraj próbuję zrozumieć, co ci się stało pomiędzy listem ostatnim, a tym tutaj. Jakiego głosu na zewnątrz nas słuchałaś (To Anna, prawda? Opowiedziałaś jej. Jestem pewien, że nie masz człowieka bliższego od niej. Ona już robiła ze mnie żarty, co?).

Bo jeśli nie, jak wyjaśnisz, że nagle znów wycofujesz się i żądasz – chłodno, co tak nienaturalne u ciebie, nerwowo, z ustami zaciśniętymi – żebym opowiedział ci w końcu o moim ja, o ja widzianym gołym okiem.

Miałem nadzieję, że już to przeszliśmy, że rozumiałaś, że ja nie jest ważne w naszej sprawie, kto w ogóle jest zainteresowany tym ja? I co to zmienia, jeśli Jaira Winda nie ma w książce telefonicznej? Nie ma go w tej książce! „Gołym okiem”? Powiedziałem ci, że nawet mnie nie widziałaś tego wieczora

⁶ stworzyć byt z dwojga – hebr. *liwro iesz misznaim*, nawiązuje do *iesz mi-ain*, byt z niczego; lac. *creatio ex nihilo*.

ru, stałem w twoim martwym punkcie. Napisz do twojego martwego punktu, popatrz głęboko i zobacz mnie machającego ci obiema dłońmi ze środka, ze żrenicy twojego martwego punktu, proszę, Miriam –

Zauważasz, że ja nawet nie próbuję spierać się z twoimi odczuciami: dopóki nie zacząłem pisać do ciebie, to było w porządku, mój dokładny opis, wszystkie oznaki choroby. Nawet „płynność”, która w twoich oczach jest zawsze troszkę podejrzana, śliska. Zdaje mi się, że wiem o czym mówisz. I nie są mi obce, ani twoje odczucie, ani podejrzenie, że ja tak mogę, prawie bez diagnozy, oddać w zupełnie obce ręce słabość, dotykającą mojego serca, strategię dziwną, kłopotliwego oczarowania, mówisz, i jakby naprawdę nie było mowy o sprawach życia i śmierci?⁷...

Czytam te jednoznaczne definicje i myślę – ona mnie analizuje, jakby ani razu nie była podekscytowana z mojego powodu, i ekscytuje się, jakby nie miała żadnej możliwości analizy. Kim więc jest?

I nie zamierzam dzwonić do ciebie do domu, dziękuję, dość dziwiłem się, że tak cię zbulwersowała moja niewinna propozycja z poprzedniego tygodnia, żebyś nazwała swoich najdroższych imionami jakimi chcesz, mają prawdziwe imiona (wiem), a ty nie zamierzasz wymyślać ich od nowa dla mnie (oczywiście), i dlaczego nie potrafisz uwierzyć, że jest możliwość kontaktu prostego i naturalnego i otwartego między dwojgiem ludzi, i już byłem pewien, że na koniec tego sztormu przyjdiesz, by mi rzucić ten list w twarz na wieki wieków, a ty, po prostu, dajesz mi numer do domu?!

Nie zadzwonię, także z prostego powodu „bezpieczeństwa związku” (ktoś może być w domu i słyszeć), ale głównie dlatego, że nawet głos jest bardziej rzeczywisty niż urojenie, którego chcę z tobą, ono jest tylko w słowach pisanych, głos może je przedziurawić, i wtedy cała rzeczywistość odpłynie do środka, szczegóły i numery i małe spocone molekuły życia, „jarzmo” związane rdzeniem z „ujarzmieć”, wielki sztorm migiem zmiecie cały motłoch do środka i zgasi wszelkie iskry, dlaczego uparcie nie chcesz zrozumieć?

W każdym razie nie umiesz udawać nawet przez pięć linijek: chowasz się w twierdzy zastrzeżeń i uzasadnień, bardzo logicznych – że im bardziej przeciągam te dziecięce gry w szpiegów, albo pomysł oblędu „gilotyny”, która spadnie na nas nagle, za kilka miesięcy, nie potrafisz uwierzyć całym sercem

⁷ sprawach życia i śmierci – hebr. *dinci nefaszot*, talmudyczne pojęcie odnoszące się do prawa karnego i zbrodni zagrożonych karą śmierci.

nawet w rzeczy „szczerze i wzruszające”, o których ci opowiadam, a z drugiej strony, n i e cierpisz tego kąta, do którego się wypychasz powoli powoli z powodu moich matactw, kąta człowieka zamkniętego, krytycznego i zimnego, i tak zrodziłaś we mnie co najmniej trzy „ja nie” w gorsecie, głosem nauczycielki z fryzurą na banana, ale nagle zadrżały ci wargi i wypadło ci małe „ja nie”, dziki wyskok – „a ty już mogłeś odczuć, zdaje mi się, że ja nie boję się prawdziwego płomienia związku i uczuć, na odwrót, na odwrót...”.

Zobacz, jak za każdym razem, kiedy dochodzę do tego nierozważnego „ja nie”, ściska mi się serce od nowa z nadmiaru rozkoszy (jakbyś podwinęła dla mnie jedną jedwabną pończochę).

Nie, powiedz natychmiast, szczerze: myliłem się? Myliłem się co do ciebie? Teraz, na przykład, znowu, mroczna fala napływa i wypełnia przestrzeń w brzuchu, bo może owszem myliłem się, i może w ogóle znęcam się nad tobą, bo jest jasne, że ten kto nie jest dostrojony do cienkiej struny, jaką ci zaproponowałem, usłyszy tylko zgrzyty, skrzypienie blachy mojej skrytki pocztowej, albo biurokrację małego cudzołóstwa, które obnażyłem przed tobą, bezpieczeństwo związku, przez które bez wątpienia chce ci się wymiotować.

I oczywiście miałem wątpliwości, czy pozbyć się tego, albo przynajmniej złagodzić troszkę, ale zostawiłem, ty już wiesz, że chcę, żebyś mnie poznała, żebyś poznała moją nagość, moje małe kalkulacje i nędzne lęki, i głupotę, i wstyd, i hańbę. Dlaczego nie, „moja hańba” to też ja. Ona też chce poddać się tobie, jak moja duma, chce dokładnie tak samo mocno, strasznie pragnie.

Wiesz, czasem, kiedy piszę do ciebie, mam dziwne uczucie, całkiem fizyczne, jakbym zanim, gdy będę mógł rozmawiać z tobą naprawdę, musiał zobaczyć jak wszystkie moje słowa opuszczają mnie jednym długim wersem, i dochodzą aż do ciebie, by się tobie poddać.

Tych słów „moja hańba” – nigdy przedtem nie napisałem, a teraz są tu, i mają zapach starego, bardzo zużytego pantofla (w ogóle, mają zapach d o m u).

To dokładnie z powodu tej chwili.

Wpadam w rozpacz, że ty znów chwytasz się brzegu ołtarza^{*} konsekwentnej logiki, który z pewnością jest użytecznym sprzętem w życiu, ale my nie

^{*} brzegu ołtarza – uchwycenie się brzegów ołtarza Świątyni w Jerozolimie chroniło mordercę przed karą.

żyjemy, Miriam! To tajemnica, którą szepczę ci do ucha już miesiąc: o b o j e
n i e ż y j e m y ! To znaczy, nie jesteśmy w żadnym z miejsc, w których obo-
wiązują normalne prawa, dotyczące współżycia dwojga ludzi, i z pewnością
też nie normalne ustawodawstwo, dotyczące stosunków między mężczy-
znami i kobietami. No, to gdzie my w ogóle jesteśmy? Co mnie to obchodzi,
gdzie. Po co nazywać to po imieniu, one i tak będą ich, te nazwy tłumaczone,
a ja z tobą chcę mieć inną ustawę zasadniczą, ustanowimy oboje nasze pra-
wa i będziemy rozmawiać naszym językiem, i będziemy opowiadać sobie
nasze opowieści, i będziemy w nie wierzyć z całych sił, bo jeśli nie będziemy
mieć takiego jednego prywatnego miejsca, w którym to wszystko, w co wie-
rzymy, stanie się prawdą, choćby zapisaną – nasze życie nie będzie życiem.
Albo jeszcze gorzej – nasze życie będzie tylko życiem... podpisujesz się pod
tym?

J. W.

Dawid Grossman

łumaczył z hebrajskiego Tomasz Korzeniowski

Fragment powieści *Sze-tihi'i li ha-sakin* (Bądź mi nożem), Tel Awiw, Hoca'at
ha-kibuc ha-meuchad, 1998.



Fot. Michal Rabibo

Orli Kastel-Blum

Dolly city

Zanim akwariowe ryby umrą, leżą kilka godzin na boku, obracając się, zanurzają w płytkiej wodzie i wypływają z powrotem. Miałam rybkę, pomarańczową, która w ten sposób zdychała cały dzień, aż o zmierzchu zanurzyła się w głębinie, z otwartymi oczami i ciałem wygiętym na kształt znaku zapytania.

Wzięłam plastikowy kubek i złowiłam do środka trupa ryby. Poszłam z kubkiem do kuchni i wlałam szybko wodę do zlewu. Położyłam rybkę na czarnym marmurze, wzięłam sztylet i zaczęłam ją kroić. Bękart wciąż ślizgał

Orli Kastel-Blum, ur. 1960 w Tel Awiwie. Studiowała na wydziale filmowym Uniwersytetu w Tel Awiwie. Publikuje od 1987 roku. Uważana za jedną z wybitniejszych pisarek, szczególnie pokolenia lat 80., które w istotny sposób zmieniło literaturę hebrajską. Jej pisarstwo wywołuje ostre reakcje i budzi kontrowersje. W 1990 roku Orli Kastel-Blum otrzymała literacką nagrodę Tel Awiwu za książkę *Tam, gdzie jestem*, a *Dolly City* włączono do zbioru UNESCO Collection of Representative Works. W 1999, czołowa gazeta izraelska uznała Orli Kastel-Blum za jedną z 50 najbardziej wpływowych kobiet w Izraelu.

Opublikowała także m.in.: *Ha-Mina Lisa* (Mina Lisa, Keter hoca'at la-or, 1995), *Sefer hechadasz szel Orli Kastel-Blum* (Nowa książka Orli Kastel-Blum, [powieść], „Keter hoca'at la-or”, 1998), *Radikalim hofsz'im* (Wolni radykałowie [opowiadania], Keter hoca'at la-or, 2000). Jej książki, w tym *Dolly City*, przetłumaczono m.in. na: holenderski, francuski, niemiecki, angielski, szwedzki, chiński, grecki.

mi się po marmurze, musiałam złapać ją za ogon i wrzucić z powrotem na arenę zbrodni. Ze dwie i pół godziny pracowałam nad tą rybą, aż zamieniłam jej ciało w małe paski szerokości kilku milimetrów.

Wtedy popatrzyłam na te kawałki. W pierwotnych czasach, w krainie Kana'an¹, byli tacy, co składali wielkie zwierzęta bogom w ofierze. Kiedy cieli ciało jagnięcia, w ich rękach zostawały wielkie, słusne, kawałki ociekające krwią, a ich przymierze², to było przymierze.

Przyprawiłam kawałek złotej rybki, położyłam na palcu, zapaliłam zapalną i zbliżyłam płomień do mięsa, aż się trochę podpiekło, a nawet mój palec zaczął wydzielać woń steku. Odchyliłam głowę do tyłu, rozwarłam usta, i pozwoliłam pierwszemu kawałkowi ryby wpaść prosto do mojego systemu trawienego.

Tak zrobiłam z pozostałymi kawałkami ryby i kiedy skończyłam, usiadłam, by popatrzeć na moją zdychającą sukę, rasy cocker-spaniel, czternastoletnią, cierpiącą na niewydolność serca. Siedziałam piętnaście dni w fotelu i wpatrywałam się w nią, w wyciągnięty, suchy język, jak szybko oddycha, w wygasłe odchodzące oczy.

Przez tych piętnaście dni dawałam jej jedzenie i picie, i oczywiście, lekarstwa. Jeść i pić prawie nie chciała, a lekarstwa zwracała. Podłączyłam ją do kroplówki, do której wrzuciłam lekarstwa, i to pomogło.

Żałowałam, że nie zrobiłam infuzji również rybce, ale od razu porzuciłam tę myśl, bo wydawało mi się po prostu niemożliwe odnalezienie żyły u takiej drobnej ozdobnej rybki. W ogóle, wydaje mi się niemożliwe znalezienie żyły u każdej ryby, nawet karpia.

Pod koniec piętnastodniowego zdychania suki, kiedy już nic więcej nie jadła, nie piła, a wpływ lekarstw był zerowy – raczyłam otworzyć apteczkę, i zrobiłam jej zastrzyk usypiający, z którego nie obudzi się nigdy.

Zbliżyłam się do niej, głaskałam ją. Lizła moje palce rozdwojonym, poranionym językiem. Lizła moją twarz, jej rany znaczyły moją skórę, ale ja nie robiłam z tego sprawy.

Położyłam ją na moim biurku, podczas gdy w ustach układałam delikatne słowa i toczyłam je ku niej, kiedy jedna moja ręka głaskała jej łaciaty łeb, druga ręka ścisnęła strzykawkę.

¹ Kana'an – w starożytności kraina na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego, teren późniejszej Palestyny, Syrii i Fenicji. Ziemia, którą Bóg obiecał Izraelitom. Obecnie, częściowe tereny Izraela.

² przymierze – Bóg zawierał kilkakrotnie przymierze z narodem wybranym (Izraelem). Pierwsze – z Abrahamem, jako szczególny związek Boga z człowiekiem. Po zawarciu przymierza na Synaju, Bóg przekazał ludziom Torę (Pięcioksiąg), z 613 przykazaniami.

Jeszcze zanim skończyłam zastrzyk – suka zamknęła oczy i zapadła w sen. Głaskałam ją, uwolniłam jej szyję z rzemienia z wszystkimi metalowymi znaczkami szczepień, na każdym był wyryty mój adres, i uczciwy znalazca dostanie nagrodę.

Usiadłam na moim drewnianym okrągłym i wysokim krześle, patrzyłam na grubą sukę, i zastanawiałam się sama dla siebie, za ile czasu, od chwili gdy dostała zastrzyk, sen zamieni się w śmierć i jak w ogóle odbywa się ta zmiana warty.

Oddechy mojego ulubieńca stawały się coraz bardziej i bardziej ciężkie, głębokie i znaczące. Każdy oddech wydawał się ostatnim, ale za każdym przychodził jego śladem następny, żeby odebrać mu tytuł. Aż do... wreszcie. Suka zakończyła karierę.

Zadzwoniłam do jednego weterynarza. Był środek nocy i zbudziłam go ze snu. Kilka dni temu, kiedy poszłam poradzić się go, wyjąkał mi o pewnym człowieku, który grzebie ulubieńców za siedemdziesiąt szekli. Teraz poprosiłam go o telefon. Odrzekł: „To nie może poczekać do rana?” i od razu przeczytał numer.

Prowadziłam z grabarzem konwencjonalną rozmowę, i już chciałam zakończyć, gdy grabarz zawołał:

„Mam nadzieję, proszę pani, że nie myśli pani, że pójdzie ze mną...”

„Słucham?” zdziwiłam się. „Dlaczego nie?” Przecież to moją sukę pan grzebie. Mam pełne prawo być przy tym. Co tu jest do ukrycia?”

„Posłuchaj, kochana”, czekał niecierpliwie mężczyzna. Pani siedemdziesiąt szekli to żadne mecyje. Psy zdychają co chwilę. Grzebię je w piasku, koło morza. Robię to nocą, w ciszy, sam. Proszę się zdecydować. Bierze pani, albo cześć.

Okno było otwarte na oścież, a za nim widać było ozdobione gwiazdami ciemne niebo. Ktoś zadzwonił do drzwi. Byłam zajęta pracą i skaleczyłam się. Krew kapła z trzech palców. Owinęłam je małym ręcznikiem i pospieszyłam, by otworzyć. Przede mną stał niski mężczyzna, o dużej twarzy i obwisłym brzuchu. Przedstawił się pełnym nazwiskiem, które natychmiast ulotniło się z mojej pamięci, i zauważył ręcznik nasączony krwią.

„Pani pozwoli”, powiedział i zbliżył się do mnie.

„Nie, nie ma potrzeby”, powiedziałam. „Naprawdę”.

Ale gość zauważył, że pobladłam, a także drżenie kolan, które mnie oparowało, doprowadził mnie do zielonej aksamitnej sofy i posadził na niej.

Potem pospieszył do łazienki, wyjął z szafki środki pierwszej pomocy i podczas, gdy oczyszczał ranę z delikatnością praktyka, żartował ze mną, że gdyby się spóźnił, musiałabym zapłacić podwójnie, za cockera i za siebie.

Owinął moje palce bandażami, poszedł do drugiego pokoju, włożył cockera do czarnego worka na śmieci, zarzucił na plecy i poprosił o pieniądze gotówką. Wyciągnęłam z kieszeni banknoty. Miałam ochotę zwinąć je w twarde walec, i wetknąć je w poprzek, między górną a dolną wargę pyska grabarza, jak wąs, ale oczywiście wyciągnęłam je ku niemu i pożegnałam go, z uczuciem, że już go nigdy więcej nie zobaczę.

Ale nie minęła minuta i znów go ujrzałam, z daleka, z wysokości mojego mieszkania na trzydziestym siódmym piętrze, jak rzuca worek z suką na skrzynię bagażnika i siada, by włączyć silnik. Nie ruszył, a ja pomyślałam po cichu, oto twoja okazja, Dolly, i wybiegłam z mieszkania, weszłam do okrągłej windy ze szkła, jeżdżącej w górę i na dół ruchem spiralnym, celem zbędnej oszczędności energii, i zdążyłam dotrzeć na dół przed czasem. Pochylo- na dobiegłam do asfaltu, powoli otworzyłam tylne drzwi, i wczółgałam się do środka. Mały oszust jeszcze nie zdołał uruchomić silnika i wyrzucał z ust morze przekleństw. Dopiero po dziesięciu minutach dało się słyszeć pozbawione wdzięku solo silnika, i wyjechaliśmy na drogę. Zerknęłam na zegarek. Była druga i osiem minut, a mój kompas wskazywał, że jedzie na zachód, dokładnie, jak myślałam.

Po dwudziestu minutach samochód zamigał w prawo i wjechaliśmy na piaszczystą ścieżkę, pełną dziur i wyboi, po której obu stronach stały pstre prostytutki. Kierowca od tego, najwyraźniej, dostał erekcji, mruczał coś do siebie, cofnął pojazd, by wystraszyć jedną z nich, zaśmiał się wciągając powietrze, cichnąc dopiero po wielu minutach, kiedy odwrócił się i oddalił poza zasięg ich wzroku.

Samochód mocno zahamował, a on wychynął z niego, ze szpadlem w ręku. Ja też przemieściłam się do tyłu, na teren wilgotny i słony, obok morza. Schowałam się za wzgórkim z kwiatów, gdzie zasiano żółte wiesiolki, które nic mi nie mówiły, i niemal całkiem utkwiałam wzrok przed sobą.

Okrągły dół był już wykopany i wszystko co ten gracz miał zrobić, to zepchnąć sukę do dołu i zasypać. Ale człowiek ten, zamiast zakończyć tę historię, rozpoczął nową. Wyciągnął cockera z worka, wydobył widły z bagażnika i ponieważ jej ciało, klął ją, odciął jej głowę, kawałkował ciało, zepchnął do dołu i szybko zasypał.

Drżałam cała, kipiał we mnie gniew. Podniosłam się z bojowym okrzykiem. Mężczyzna obrócił się ku mnie zaskoczony, a ja, pełna goryczy wyrwałam mu widły, i zamiast wbić je w ziemię, jak człowiek, wbiłam je w brzuch grabarza, z całą siłą nagromadzoną w ciągu lat czarnej roboty.

Zgiął się z bólu, a ja kontynuowałam moje szaleństwo, i wykończyłam człowieka w trzy, dwie minuty.

Oddychając, stałam jeszcze chwilę, uspokoiłam oddech, pozbierałam członki mojej suki, i pochowałam w dole, w świetle pełni, wycierając pot z mokrego i piekącego czoła.

Uruchomiłam samochód i rozkoszowałam się spokojem, jakiego nie znałam od wielu dni. Uspokojona, skierowałam jeżdżące pudełko na ubitą drogę.

Kilka sekund po minięciu stacji benzynowej, pustej i oświetlonej, jakbym zauważyła ludzką sylwetkę migającą obok cystern i usłyszałam głosy, których nie mogłam dopasować do tego, co widziałam wkoło. Nie mogłam umiejscowić tych głosów w przestrzeni, wdary się do samochodu, a ja stanęłam na poboczu i zatrzymałam wzrok na czarnym nylonowym worku rzuconym na końcu samochodu, obok tylnej szyby.

Małe samochody, głównie garbusy, przejeżdżały obok mnie. Poczeakałam, aż droga na mgnienie oka opustoszeje, i wyciągnęłam tułów w kierunku źródła głosu. Otworzyłam worek, a na wprost oczu, owinięty w pieluchy ministerstwa zdrowia, leżał siny i głodny niemowlak.

Pogrzebałam w worku w poszukiwaniu jakichś dokumentów tożsamości. Szukałam na zewnątrz, obok, czegoś o tym człowieku, i znalazłam pod fotel kierowcy stare zeznania podatkowe sklepu obuwniczego.

Niemowlak wrzeszczał i poruszał wargami. Nie wiedziałam co zrobić, by go uspokoić. Uwolniłam go z pieluszek i odkryłam, że ma w brzuchu zainfekowaną dziurę o średnicy dwóch centymetrów i zakrzepłą wokół krew. Podniosłam dziecko i umieściłam obok fotela kierowcy.

Samochody mijały obok z pędem. Garbusy, tylko garbusy, cały czas i wciąż garbusy. Rzuciłam spojrzenie na mojego towarzysza. Zaczęłam jechać, latarnie uliczne przesuwaly się po jego twarzy, reflektory samochodów naprzeciw oślepiały mnie. Zerknęłam znów na dziurę w jego brzuchu i przypomniałam sobie, że kiedyś uczyłam się o człowieku, co żył przed kilku laty, całkiem niemało lat temu, który zgodził się, dla celów naukowych, żeby zostawić mu dziurę w brzuchu. Żeby lekarz poznał sposób funkcjonowania

układu trawiennego. Dowiedziałam się o tym człowieku, kiedy miałam dwadzieścia lat, w Katmandu, gdzie uczyłam się medycyny. Byłam jedyną Żydówką na uniwersytecie. Zostawiłam samochód na podziemnym parkingu w budynku. W okrągłej, zrobionej z grubego i przezroczystego szkła windzie, nacisnęłam na 37, i w ciągu kilku sekund byłam w swoim służbowym mieszkaniu. Wiedziałam, że muszę działać szybko i skutecznie.

Z jednej z szaf wyjęłam środki nasenne, otworzyłam książki, by poznać ilość potrzebną do uspiania jednodniowego dziecka. Żaby w szklanym akwarium skrzeczały w panice, myśląc, że idę po to dla nich. Położyłam nagie i zsiniałe dziecko na moim biurku. Wrzeszczało. Jego małe usta były rozwarłe, jak jakaś gondola. Uciszyłam je zastrzykiem, odkaziłam, zaszyłam mu brzuch i zaban- dażowałam. W czasie kiedy spało w pokoju wypoczynkowym, podłączone do kroplówek z lekarstwem i minerałami, zesłam na ulicę, i w ciągu pół godziny wróciłam na moje piętro ze wszystkim, czego potrzebuje niemowlę. Przygotowałam mu bezpieczny pokój i wyszłam na balkon zapalić.

Rozmyślałam, próbowałam przekonać samą siebie, odwlec trochę egzekucję, ale zamiast rozsądku, który nie przemówił, sprawę opanowały gałki moich oczu. Cały czas uciekały mi w górę, jeszcze wyżej, jakby wciąż było co oglądać, niebo i niebo, schody nieba, wieża Babel nieba, a nie tylko jedno niebo, niebieskie, głębokie i jednoznaczne.

Nie miałam żadnego wyboru: zrobiłam sobie uspokajający zastrzyk dożylny i ulżyło mi, a życie dziecka, póki co jest uratowane.

Próbowałam złapać mamę przez telefon, ale było zajęte. W dzieciństwie ta kobieta opowiedziała mi o pewnej matce, która włożyła swoje niemowlę do pralki i włączyła ją, a ono zmarło. W sądzie dali jej karę dożywotniego więzienia i ciężkich robót w pralni, jako praczka. Matka wyryła w mej duszy tę opowieść tak głęboko, że teraz, kiedy włożyłam do pralki ubrania niemowlaka, wyobraziłam sobie w środku niemowlę, i straciłam przytomność.

Niemowlę obudziło mnie wrzaskami, i znowu, ponieważ wpływ środków uspokajających skończył się – chciałam je już udusić. Ale powiedziałam sobie: to strata energii, Dolly, tak, czy inaczej, ta słabizna umrze w ciągu kilku dni, albo od zanieczyszczeń, albo zaniedbań, albo zaniechania, albo nawet dzieciak zostanie zamordowany, coś w tym jest na rzeczy. W każdym razie, już dawno powinien być nieżywy.

W każdym razie, mój mózg wysilał się, by znaleźć imię dla dzieciaka. Myślałam o „Dziecku”. Zaczęłam od punktu wyjścia, że nie dożyje trzech

lat. W głowie galopowały imiona, a niemowlak już prawie wybuchł z nadmiaru wrzasków. Wstrzyknęłam mu środek nasenny w kręgosłup i zamilkł.

Położyłam się na ogromnym łóżku. Oglądałam w telewizji programy przechodzące przez talerz na dachu, i jednocześnie paliłam jak lokomotywa. Raz złapałam się na gwizdaniu na sukę, i poczułam napięcie struny w ciele, do des, zamknęłam oczy i zdecydowałam nazwać dziecko Ben, po to żeby, kiedy powiedzą mu Ben-zona³, mógł oddać im z nawiązką.

W czasie pierwszych dni życia Bena skończyłam trzydziestkę i minęło pięć lat mojego mieszkania w czterystupiętrowej wieży. W czasie tych lat nie nawiązałam żadnego kontaktu z sąsiadami, poza Icykiem magikiem z czterdziestego siódmego piętra. Kiedy zostawałam bez brązowego cukru, albo bez królików, albo bez tabletek na depresję, wchodziłam do niego.

Jakiś tydzień po tym, kiedy chcąc nie chcąc zostałam matką, o północy, zdecydowałam pójść spać. Ale sen zniknął, jak ulicznik, który ukrył się pomiędzy betonowymi kolumnami na placu parkingowym w Aszdod⁴.

Był chamsin, było gówno. Klimatyzatory nie działały, wszystkie zwierzęta w laboratorium kręciły się nerwowo. Tylko bobas spał jak zabity.

Jeszcze w windzie złapałam, że Icyk znów robi przyjęcie, bez liczenia się z innymi. Ten chłopak co kilka tygodni zapraszał wszystkich magików i magiczki w mieście na chroniczne, nieuleczalne, przyjęcie.

Otworzył mi gospodarz. Za nim wyrosły głowy kolegów po fachu, mężczyzn i mocno umalowanych kobiet.

„Excuse-moi”, kokietowałam go, może ma pan przez przypadek pełną paczkę żółtych tabletek?

„Pardonne-moi”, powiedział Icyk, „szewc bez butów chodzi?”

Powiedz tylko, czy masz, naciskałam.

„Pardonne-moi”, skinął głową i wciągnął mnie do środka, a w jego miejsce, prostokątną przestrzeń drzwi wypełniły dziesiątki różnych gęb, które obserwowały mnie rozważnie. Po dziesięciu minutach pojawił się gospodarz z le-dwie dwudziestoma tabletkami.

„Zapasy skończyły się, pani doktor, jedyna rzecz, jaką mogę zaproponować, to przyłączyć się do nas”.

³ Ben – męskie imię biblijne, hebr., syn. Ben zona – skurwysyn.

⁴ Aszdod – miejscowość w Izraelu, nad Morzem Śródziemnym, na południe od Tel-Awiwu.

Dał mi tabletki, które ściszał, a ja połknęłam je naraz. Już prawie dziesięć lat jak biorę żółte tabletki na depresję, które wcale a wcale nie działają na mnie. Polecił mi je pewien tajlandzki student informatyki, z którym pieprzyłam się jakieś dziesięć razy. Zupełnie nie wiem dlaczego wciąż polykam więcej niż dwadzieścia takich tabletek dziennie. Po prostu polykam je, nie mają żadnego smaku, żadnego wpływu.

W salonie Icyka robili sztukę z kobietą, którą wkładali do trzyczęściowego pudła, i wbijali w nie sztylety, a na końcu ona wychodziła bez szwanku. Ale raz – coś się pokręciło, strach oblał wszystkich, jak szpryca obrotowego spryskiwacza.

„Aj, aj”, krzyczała modelka magiczka, gdy sztylety pocięły jej ciało pod wszystkimi rodzajami kątów ostrych, choć nie spadła ani jedna kropla krwi.

Icyk popatrzył na mnie białą jak anioł. Wiedziałam, że jako lekarz powinnam działać szybko, ale w tej chwili, jako człowieka, nie obchodziło mnie, że dziewczyna umrze.

„Błagam cię, Dolly, zrób coś”. Teatralnie uklęknął przede mną, ujął dłoni i pocałował końce moich palców. Wiedział, że ciężko mi podołać temu. Wargi miał suche i spękane od wielu wymuszonych uśmiechów, gdy śmiał się na przyjęciach urodzinowych, występując jako kłown i magik zarazem.

„Nie wiem, co ci rzec”, powiedziałam. „Co się stało, to się nie odstanie”. Wypadł wypadek, dziewczyna umarła.

„Proszę panią, doktor Doll. Proszę jak tylko można. To jedna z naszych najlepszych. To może zdarzyć się każdemu”.

Im bardziej nienawidziłam siebie, kiedy słyszałam połączenie słów „Doktor Dolly” – tym bardziej wywoływało to we mnie emocje, i Icyk magik wykorzystał to. Pojechałam do kliniki i w niecałą godzinę wróciłam z moją walizką. Wszyscy uczestnicy zabawy usiedli na podłodze w salonie i bawili się w zabawę pasujące do ich IQ. Bawili się całym sercem i entuzjazmowali jak małpy.

W międzyczasie wyciągnęłam sztylety, ale zamiast przejąć się rolą kogoś, kto ratuje ludzkie życie, zachciało mi się zrobić pacjentce harakiri.

Jak się wszystko skończyło, magikowie położyli kobietę na kanapie, zlizywali jej rany, a ona cały czas powtarzała: dziękuję, dziękuję. I tak samo, podchodzili do mnie i całowali mnie w policzek, a ja zaczerwieniona wymieniłam uśmiech z Icykiem, który posuwał mnie nie raz i nie dwa.

Wróciłam do domu ledwo żywa, i wyżyłam się na królikach. Zawięzałam im uszy, związałam ucho jednego królika z uchem drugiego królika, ucięłam obu królikom po uchu i skrzyżowałam je pobieżną operacją.

Zaczęła się burza i ciężkie chmury, każda tona i pół, zderzały się ze sobą, spuszczając na Dolly City błogosławiony deszcz, który zalał jej ścieżki, wypełnił studnie i zatkał otwory.

Poszłam na kuchenny taras i podniosłam trzy płytki, pod którymi schowałam moje pieniądze. Naliczyłam bardzo mało i zasmuciłam się. Wiedziałam, że nie mam dość pieniędzy, by spędzić zimę na takim poziomie życiowym, do jakiego przywykłam, nie miałam pieniędzy nawet na zakup drewna na opał.

Ostry chłód wdarł się do domu i chwycił kości swymi zębami. Patrzyłam na płatki śniegu, pokrywające miasto delikatną bielą. W kominku spłonęło ostatnie polano drewna. Zamknęłam dobrze okna, zatrzasknęłam żaluzje i zaciągnęłam firany. Wzięłam futro niedźwiedzia polarnego, które kupiłam kiedyś na Alasce, a teraz pokrywało jeden z moich foteli i okryłam nim dziecko. Ale było mu zimno, i żeby zapomnieć o zimnie, zajęłam się nim. Zważyłam go, zmierzyłam obwód głowy, długość, wpisałam wszystkie dane do amerykańskiego grafiku wzrostu. Kiedy usiadłam przed sekretarzykiem, podręcznik pediatrii z XVI wieku, którego nigdy wcześniej nie otwierałam, ściągnął na siebie mój wzrok. Wyciągnęłam książkę z biblioteczki i zaczęłam ją czytać. To była łacina, a wyjaśniali tam straszliwe i okropne dziecięce choroby, które rozprzestrzeniały się i siały śmierć w tamtym okresie. Zamiast odłożyć książkę na miejsce i wziąć coś o snach, albo oglądać prace Botticellego, zanurzyłam się w lekturze i każda nazwa choroby poruszała nagle każdą strunę mojej duszy.

Bobas spał w kołysce snem sprawiedliwych, ale informacja, która wpłynęła do mego mózgu, targала mną. Z jakiegoś powodu nie mogłam nie łączyć mojego syna z tymi chorobami. Fakt, że on może zachorować na jedną z nich, przerażał mnie, nie byłam w stanie ścierpieć faktu, że choroba go dopadnie. Tak dobrze czułam w tych momentach siłę bezradności, która jest niczym innym jak nieskończonością, w jednym ze swych oblicz. Pamiętam, że czułam się, jakbym wpadła poza normalny nastrój. Strasznie się bałam, a ten strach miał wpływ magiczny, wciągający. Pamiętam, że kiedy tylko się zaczął, było w tym jeszcze trochę zabawy. To było jakby stać centymetr od pędzącego pociągu pasażerskiego i czuć podmuch pędu tego ciężkiego urządzenia. Rozmyślałam w duchu, tak Dolly, strach, strach okropny i większy od wszystkiego – to też nic innego, tylko podmuch śmierci.

Znalazłam się na podłodze, a piana wyciekała mi z ust. Wytarłam ją, i pośpieszyłam do łazienki, by włożyć głowę pod lodowatą wodę. Pozwoliłam, by woda wymasowała mi skalp.

Owinęłam głowę ręcznikiem i doszłam do ostatecznej konkluzji, że spróbuję zapanować nad tym okropnym strachem, że stracę moje dziecko, tak że, będę je bronić ile jestem w stanie, przed wszelkimi chorobami. Wiedziałam, że nigdy nie zdołam dotrzymać losowi kroku, ale mimo wszystko postanowiłam z nim walczyć. Powiedziałam sobie, że świat pełen jest wyboi, pełen dziur bez dna, przepaści za zakrętem, ale ja, jako matka, powinnam walczyć z wszystkimi kłopotami, muszę obronić to dziecko przed mnóstwem chorobliwego zła i przed szkodliwą naturą. Muszę je chronić, by nie uderzył w nie piorun, nie dotknął grzmot, by mi go ziemia nie pochłonęła. Wypowiedziałam wojnę ostateczną: Dolly przeciw reszcie świata. To było, jakbym powiedziała Bogu, że jeśli jestem odpowiedzialna za to dziecko – to jestem za nie odpowiedzialna. Nie chcę od nikogo łaski, włącznie z Jego chwałą świętości, nie chcę, by ktoś robił coś za mnie.

Zdecydowałam, że na początek uodpornię to dziecko od jak największej ilości chorób. Wybiegłam na zewnątrz, by kupić jakieś szczepionki przeciw tężcowi, kokluszowi, dyfterii, polio, śwince, odrze, różyczce, czarnej ospie, grypie i innym chorobom, i wsadziłam w nie wszystkie na raz, mimo, że wiedziałam, że tak robić nie wolno. Nie mogłam się powstrzymać, nie mogłam obronić przed matczynym instynktem. Dziecko od razu zareagowało wzrostem temperatury, konwulsjami i skurczami. We wsiach Nepalu umierały na moich rękach małe dzieci, matki wydzierały mi ciała swych dzieci, to dla mnie nic nowego, ale teraz, z tym dzieckiem, wpadłam w spiralę poczucia winy, że może mu zaszkodziłam.

Dałam mu środek na zabicie gorączki, i za jednym razem, z czterdziestu stopni gorączka spadła do trzydziestu czterech. Hipotermia – odbiła mi się echem diagnoza, zadrżałam i dziecko zadrżało i zsiniało. Zrobiłam mu S.O.S. i później, kiedy na policzki powrócił kolor, usiadłam z nim na bujanym fotelu i kołysałam długą godzinę, aż zasnęło.

Położyłam go w jego łóżku, a sobie jeszcze wstrzyknęłam leki uspokajające, ale to nie podziałało. Położyłam się na łóżku zabiegowym domowego szpitala, jaki założyłam, i podłączyłam siebie do prądu. Dałam sobie parę uderzeń prądem, żeby trochę uporządkować głowę.

Przesadziłam z siłą uderzeń, i zaczęło mi trzepotać serce. Od razu rozmawiałam sobie kłatkę piersiową i włożyłam na twarz maskę tlenową, ale nic nie pomogło – umarłam śmiercią kliniczną.

Po trzech godzinach otworzyłam oczy. To moja mama przywróciła mnie do sił specjalną herbatą, którą przyrządziła według wskazówek swojego homeopaty. Staruszka sprzeciwiła się zdecydowanie medycynie konwencjonalnej i wierzyła we wszystkie inne metody kuracji, i w każde lekarstwo, które lekarze dyplomowani wyśmiewali, gdy o nim słuchali. Umocniła się w przekonaniu, że lekarze zabijają, była przekonana, że to lekarze wykończyli mego ojca, oni w konspiracji razem z producentami papierosów i kwasu solnego, za pomocą którego usuwał plamy w łazience.

Rodzicielka siedziała naprzeciw mnie i haftowała. U jej stóp spoczywał dzieciak. Mama haftowała makatkę, na której była wyrysowana kobieta z XVIII wieku, stojąca w środku lasu i wyrzynająca literę S na pniu drzewa. Była przekonana, że młoda gryzmoliła imię jej ukochanego – ale ja byłam przekonana, że ona pisze swoje imię, bo jest egocentryczką jak Szatan.

Odprowadziłam mamę do windy. Przezroczyste drzwi zamknęły się za nią, a ja patrzyłam przez przezroczyste kafelki, jak zatapia się w dole. Pobiegłam na werandę i zdążyłam zobaczyć ją jak wychodzi na jezdnię.

„Mamo”, wrzeszczałam, „mamo, mamo” – pojazdy mknęły z szybkością tajfunu. Przez pocztę zagraniczną zamówiłam najbardziej aktualną encyklopedię chorób dziecięcych i ich leczenia. Przez kolejne dni polknełam wszystkie nazwy i charakterystyki i powtórzyłam je. To był straszny błąd, bo dotychczasowa wiedza była bardziej skomplikowana, i kiedy zdołałam je jakoś zrozumieć, ta wdarła się we mnie, jak jakiś seks-maniak i poczyniła we mnie chaos.

W stanie delirium weszłam do mojego laboratorium. Patrzyłam na wszystkie klatki, i zwierzęta i ich przygaszony wzrok, na centryfugę, butelki, probówki, na szafę, w której trzymałam w roztworach miliardy wirusów groźnych chorób, z których większość zdaje się zniknęła ze świata, a ja, moimi doświadczeniami, zdołałam je utrzymać przy życiu i zachęcić do przeciwstawienia zwykłemu szczepionkom.

Przeszedł mnie dreszcz. Włosy stały mi dęba, ciężkie firany powiewały, kserokopiarka powieliła ten sam dokument tysiąc razy bez mojego polecenia. Maszyna strzeliła iskrami i rozleciała się.

Zwierzęta zauważyły moje drżenie i kręciły się wystraszone w klatkach. Wiedziały to, co i ja wiedziałam – muszę całkowicie zapobiec zainfekowaniu syna tymi chorobami. Wylałam na dłoń środek dezynfekujący i skrobałam przez pół godziny, aż moja skóra zmarszczyła się i zaczęła schodzić, a linie papilarne starły się niemal zupełnie. Potem wypełniłam

wannę środkiem antyseptycznym i siedziałam tam półtorej godziny, zastanawiając się, co zrobić z laboratorium. Czy mam je podpalić? Czy zatrudnić laborantkę, która otrzyma ode mnie na odległość instrukcje, jak je prowadzić? A może mam zamknąć laboratorium na sztabę, i pozwolić naturze robić swoje?

Jeszcze kiedy siedziałam i miotałam się między możliwościami, okropny strach przed możliwością przedwczesnej śmierci mojego syna wciąż trwał i nasilał się, aż znalazłam się nad dzieckiem, stałam i patrzyłam na jego oddechy w strachu czy nie umrze we śnie? Dopuszczenie się tych wszystkich nieszczęść poruszyło wszystkie struny mojej duszy. To już nie były zwykłe nazwy chorób, ale same groźne istoty.

Głos we mnie wciąż powtarzał: zniszcz laboratorium, pochowaj swą mroczną karierę, w imię przyszłych dni potomka. Spal je, dla przyszłego pokolenia.

Zamknęłam laboratorium na sztabę, tak, że żadna choroba siedząca głęboko w probówce nie wyskoczyła na zewnątrz i nie prześladowała mojego dziecka. Jako lekarz wiedziałam, że jedynym lekarstwem na chorobę, jest pozostać zdrowym. Całą noc powstrzymywałam siebie, by nie włamać się do laboratorium i nie próbować czegoś nowego. Dotknęłam czarnych drewnianych drzwi, gdzie hałasowały zwierzęta, którymi się zajmowałam: myszy wspinające się w małych klatkach, różowe króliki cierpiące na dziesięć chorób na raz umierające w piekielnych mękach, błagające o śmierć. Czulałam, że jeszcze chwila, a wysadzę laboratorium i zatonę w moich plagach. Zdjęta strachem pobiegłam do pokoju dziecka. Ściągnęłam koldrę i zobaczyłam małą głowę, drobne ciało. Wytrzeszczyłam oczy – Czyż to może być? Dziecko nie oddycha! Pobiegłam po stetoskop i położyłam zimny metalowy krążek na miejscu, pod którym było małe serce. Moje ucho wypełniło się szybkimi uderzeniami serca – i ulżyło mi.

Przewinęłam je, a kiedy leżało nagie na plecach, przypominałam sobie, że dziecko – nie obrzeżałam⁵ go. Natychmiast otworzyłam książkę telefoniczną i odszukałam mohele⁶, mohele. Nie miałam żadnych rekomendacji, dlatego wzięłam jedno z nazwisk na chybił-trafil.

Wystukałam cyferki, a czekając, zastanawiałam się, jak brzmi głos mohela. Wyobrażałam sobie, że powinien być ochrypły, z powodu jakiejś ułomności,

⁵ obrzeżałam – obrzezanie, to w judaizmie rytualne usunięcie napletka dziecka, w ósmym dniu po jego urodzeniu, bądź u osoby dorosłej, będące znakiem i konsekwencją Przymierza, jakie Bóg zawarł z Abrahamem.

⁶ mohele – l. mn. od hebr. mohel, oznaczającego osobę dokonującą rytualnego obrzezania.

i rzeczywiście ten człowiek był bardzo ochrypły. Tak naprawdę, kiedy spotkaliśmy się, w miejscu, gdzie dwie ulice krzyżują się, jedna pod drugą, poprosił, bym zamiast dawać mu pieniądze za obrzezanie, wepchnęła go pod pędzący pociąg.

Opowiedział mi, że ma raka strun głosowych, i że sam nie może sobie pozwolić na brak głosu. Całe życie chciał być chazanem⁷ w synagodze, ale nie miał dostatecznie pięknego głosu. Jego brat ma, i rzeczywiście jest wielkim i sławnym chazanem. Popatrzyłam mohelowi w twarz, twarz fioletową od światła neonu, i nawiałam stamtąd.

Dotarłam do domu i wpadłam do pokoju syna. Natychmiast wyciągnęłam stetoskop i sprawdziłam, czy żyje. Żył, a nawet na mnie patrzył, z odrobiną wyrzutu w oczach. A ja nie mogłam nad tym zapanować. Chciałam zbadać mu krew. Zdawało mi się, że jest blady, że brakuje mu witaminy B12.

Poszłam opętana do mojego gabinetu, obok laboratorium. Przekręciłam klucz i weszłam zabierając sterylne instrumenty. Przecięłam stopę dziecka, i pobrałam krew. I znów ogarnął mnie strach, czy go nie stracę, i znów zbadałam mu serce. Serce biło normalnie, ale wpadłam w stress. Myślałam, że słyszę chrobotanie w sercu.

Chciałam mu zrobić operację na otwartym sercu. Pobiegłam do sali operacyjnej i przysposobiłam ją. Kiedy jeszcze sterylizowałam noże, przypomniałam sobie, że zostawiłam dziecko z otwartą raną, a ono na pewno straciło już wiele krwi, wpadłam do jego pokoju, rzeczywiście dużo krwi nakapało na podłogę, a dziecko coraz bardziej się kurczyło.

Krew, krew. Potrzebuję dawki krwi. Ale nie mam dawek krwi. Nie jestem bankiem krwi. Nie mam ich numeru telefonu. Niewielu ludzi, których operowałam w swoim życiu, zmarło na stole operacyjnym. Istnieje u mnie reguła, że operacja udała się, ale chory umarł. Prześcieradło dzieciaka było już całe czerwone. Tak, nacięcie, jakie mu zrobiłam, było zbyt śmiałe. Pobiegłam do gabinetu, wzięłam przybory do szycia i zrobiłam mu szew w motylki. Sprawdziłam, czy serce mu bije. Puls miał słaby i odległy, jak dudnienie wojny na drugim końcu świata.

Tracę go – kołatała we mnie myśl, a moja twarz ze strachu znów zaczęła puchnąć. Ale nagle oprzytomniałam. Stałam się profesjonalistką. Przecięłam sobie żyłę na ramieniu, podłączyłam rurki i modliłam się, żeby to działało.

⁷ chazan – kantor, śpiewak w synagodze, prowadzący modlitwy.

Kiedy otworzyłam oczy, moje życie nabrało wyrazu. Kolor wrócił maluchowi, żaluzja była otwarta, moja mama siedziała na bujanym fotelu i haftowała, a w pokoju fruwały dwa motyle bielinki.

Łóżko dziecka było czyste, wszystko było białe i lśniące.

„Jak długo tak siedzisz?” zapytałam rozkojarzona.

„Kilka minut. Tylko kilka minut”. Milczała. Podniosłam się trochę, wsparłam na ramionach.

„Powiedz mi, Dolly”, zaczęła. „Dlaczego nie wyrzucisz twoich obrzydliwych myszy do diabła? Dlaczego twoje noże są takie brudne? Dlaczego twoje strzykawki są zardzewiałe? Co próbujesz udowodnić – że nie ma Boga?” Wbiła we mnie małe, wygasłe oczy.

„Próbuję znaleźć lekarstwo na raka”, powiedziałam po długiej pauzie.

„Nie kpij ze mnie”, powiedziała. „Tak nie szuka się lekarstwa na raka. Tak się robi *monkey business*. Podcinasz się dla samego podcinania”

„Nieprawda”, broniłam się.

„Dlaczego nie zaprosiłaś mnie na obrzezanie dziecka?”, zapytała po chwili.

„Jakie obrzezanie?”. Ściągnęłam pieluszkę z biodra dziecka, i zobaczyłam – faktycznie.

„Masz sklerozę, co?”, powiedziała i wskazała na cztery albumy spoczywające w kącie pokoju. Przewertowałam jeden z nich. Nie do wiary: były tam typowe zdjęcia z aktu obrzezania w wielkiej sali, z orkiestrą i honorami. Było pełno ludzi, ale nie można było rozpoznać szczegółów.

„Jest też kaseta wideo”, powiedziała wskazując na zaśniewiony ekran telewizora. „Przejrzałam wszystkie albumy i patrzyłam na film niezliczoną ilość razy, ale nie zdołałam rozpoznać nikogo. Oczywiście nie mogłam też dostrzec mohela, tylko moją siostrę widać było wyraźnie na kasecie wideo, tańczyła tango na podeście. Zadzwoiłam do niej i zapytałam kim był mohel, a ona dała mi numer państwowych linii lotniczych Bi-Af, oddział przesyłek.”

Kiedy wykręciłam do linii Bi-Af, miałam *déjà vu*. Ponieważ mój ojciec, zanim umarł, pracował 32 lata w Bi-Af.

W oddziale bagaży powiedzieli mi, że owszem, pracuje u nich mohel, i dali mi z nim porozmawiać. Mohel był dyskretny, nie chciał zdradzić kto go wynajął, jedynie zdradził mi, że to był mężczyzna wysoki i silny, z całkiem siwymi włosami i wszystko co wie, to że jest starszym pilotem w towarzystwie, i że on jest przekonany, że to dziadek dziecka. Pytałam o jakieś szcze-

góły dotyczące prawdopodobnego dziadka dziecka, ale mężczyzna nie odpowiedział.

Dałam tabletkę nasenną mamie, a ta spadła z krzesła i chrapała na dywanie.

Nakarmiłam niemowlaka, napiłam lekarstwem przeciw infekcji i uśpiłam go. Zabrałam z szafy na broń dwa pistolety, jeden do prawej ręki, drugi do lewej, wzięłam jeszcze parę rzeczy i wyszłam na ulicę.

Był sierpień, padał delikatny śnieg. Pokrył wszystkie chodniki i jezdnie, a ludzie kroczyli ulicami w rosyjskich futrzanych czapach. Zatrzymałam takśówkę, poprosiłam kierowcę, by mnie zawiózł na Ben Gurion⁸. Na Ben Gurion było lato. Słońce prażyło międzynarodowe pasy, z cichym okrucieństwem. Weszłam do publicznej toalety i ściągnęłam z siebie parę warstw ubrań. Włożyłam je do walizki i posłałam do domu. Zdeterminowana poszłam do biura mojego ojca nieboszczyka, do działu wynagrodzeń towarzystwa. Wiedziałam, że mają aktualny spis pilotów.

Wyciągnęłam jeden z pistoletów i krzyknęłam do urzędniczki:

„Spisy pilotów, szybko?”

„Ale to zabronione, Dolly”, powiedziała, a ja wsadziłam jej kulę w serce.

Zmieszany urzędnik karzeł podszedł spokojnym krokiem ku szafie, i mruknął, że lubi Luisa Buñuela. Wsadziłam mu kulę dokładnie między dwa żebra. Nowy kierownik oddziału, który zastąpił mojego ojca, wśliznął się pod stół. Osaczyłam go. Bez osobistych powodów.

Otworzyłam szafy. Wszystko było uporządkowane, jak kiedyś. Na kilku etykietkach rozpoznałam odręczne pismo ojca. Znalazłam spis pilotów. To nie był wielki problem, oni po prostu zarabiają najwięcej, i wyszłam pośpiesznie z baraku, w którym zgasił kaganek życia mojego ojca.

Weszłam do biura szefa i wstrzyknęłam aszkenazyjczykowi⁹, Idelmanowi, Mimelmanowi, czy jak mu tam, bezwzględny syfilis, ponieważ straszyl i poniżał mojego ojca. Mężczyzna błagał, żebym go zostawiła, a ja zaciągnęłam go do mojego domu i uczyniłam jeńcem. Nabrałam go, że niby go będę leczyć, że zrobię masaż.

Jak tylko wszłam do domu z jeńcem – wbiłam mu zastrzyk w dupę, położyłam na noszach, przywiązałam go do nich i zwiesiłam z sufitu sznur, na

⁸ Ben Gurion – lotnisko pod Tel Awiwem.

⁹ aszkenazyjczykowi – Żydzi żyjący poza Izraelem dzielą się na dwie grupy: aszkenazyjską (Niemcy i tereny Europy Środkowo-Wschodniej, posługujący się językiem jidysz) i sefardyjską (Hiszpania i basen Morza Śródziemnego), między którymi wytworzyły się różnice kulturowe, liturgiczne itp.

którego końca był oblakany i głodny szczur. Nie wiedziałam na pewno, którego z nich dwóch torturuję, ale i tak było to poruszające.

I wtedy miałam jeszcze jeden ciężki atak, ale zamiast wyładować moją złość na odkrytej piersi mojego jeńca, przyczepiłam się do niemowlaka. Znów wezbrały we mnie słowa „chrobot serca”, jak chrobot w gęstwinie zasadzki. Zastygłam w miejscu, jak zahipnotyzowana, która słyszy czarodziejski szyfr, jaki wszczepili jej do mózgu. Przypomniałam sobie, że w gorączce nienawiści zapomniałam maluchowi zbadać serce.

Pojawiłam się w jego pokoju ze śmiercionośną taczą. Nakryłam twarz zieloną maską chirurgiczną i zaczęłam go badać. Wszystko było prawidłowe, dziecko było okej. Jego serce biło słodziutko, nie słyszałam żadnych szmerów. Ale pomimo, że maluch był cały i zdrowy, zdecydowałam go pociąć. Ogarniała mnie chroniczna wątpliwość, na którą cierpię. Chciałam sprawdzić na własne oczy, że wszystko jest w porządku, a potem sprawdzić własne badania, a potem upewnić się, czy sprawdzian był zrobiony jak najlepiej, i tak dalej.

Zrobiłam dziecku narkozę, uśpiłam je, i zrobiłam mu to. Ochroniłam dłonie bielutkimi rękawiczkami i zaczęłam pilować mu klatkę piersiową. Moim oczom ukazało się wnętrze, serce, płuca. Skoro go już otworzyłam, pogrzebałam i tam. Przyczepiłam się do jego brzucha, zrobiłam wszystkim członkom apel, kazałam im kolejno meldować się.

Wszystko było na miejscu, nie było żadnych zmian. Upewniałam się raz za razem, ponawiałam próby setki razy, otwierałam książki i porównywałam dane – wszystko było na sto procent.

Całość trwała około sześciu godzin. Zamknęłam go i dałam mu kroplówkę, żeby przyszedł do siebie. Byłam spokojna. Siedziałam w fotelu, z głową opadającą do tyłu, wpatrywałam się w sekundnik zegara. W pokoju przesłuchań wrzeszczał i skomlał szef mojego ojca. Z jego powodu zabrało mi więcej niż godzinę, zanim usłyszałam mojego beczącego brzdąca i pospieszyłam do jego pokoju.

Wpatrywałam się w ogromną bliznę z góry na dół. Zamiast żałować, że nie będzie mógł ubrać bikini, zżerała mnie wątpliwość, pochłaniała mnie, jak niebo pochłonęło Saint-Exupéry'ego. Wypełniłam się bólem po brzegi, że nie zrobiłam dziecku przy tej okazji operacji głowy. Wymazałam tę myśl, i poszłam zmienić jeńcowi szczura. Bohater nie mrugnął okiem, mimo, że jego twarz była już doszczętnie poszarpana.

Była między nami milcząca zgoda, że należy mu się.

Zabrałam spis pilotów i puszkę diet cola, wyszłam na taras. Pod kopułą nieba wszystko wydaje się jaśniejsze. Fosforyzującym kolorem zaznaczyłam pilotów, którzy wydawali mi się wysocy i siwowłosi. Wystukałam numer telefonu jednego ze srebrnych książąt, odpowiedziała mi żona.

„Dzień dobry”, powiedziałam, „Można rozmawiać z Armandem Lewi?”

„Kto prosi?”

„Dolly. Doktor Dolly. Dzwonię z Pakistanu. Czas ucieka, proszę się pośpieszyć”.

Przykro mi, ale Armanda nie ma w domu. Odbywa lot”.

„Kiedy wraca?”.

„Jutro o ósmej”.

Niemowlak wrzeszczał. Rozłączyłam się. Szeł stracił przytomność. Podciągnęłam do góry sznurek ze szczurem, i posmarowałam jego otwarte rany kałem królika. Zaraz potem podniosłam mojego syna i kołysałam go, żeby go uspokoić.

Śpiewałam mu najróżniejsze piosenki i przybliżałam do balustrady. Czasem, pomimo, że jestem w Dolly City, dręczy mnie poczucie obcości. Obserwuję uliczne korki, słucham ding-dong dużego zegara, gongu chińskiej restauracji, ale mimo wszystko zaczynam drżeć, i chcę do domu – mimo, że to mój dom.

Patrzyłam na dół, na góry śmieci, na padlinę, na statki w dali, i dostałam zawrotu głowy. W pewnej chwili prawie że nie cisnęłam niemowlaka na zewnątrz. Dziesięć razy utwierdzałam się w przekonaniu, że wciąż go trzymam i cofnęłam się zanim zrobię cokolwiek, czego bym potem żałowała. To była ta sama śmierdząca pułapka. Fakt, że mogłam go wywalić na dół – wystarczył, żeby mnie przerazić, jakby rzecz już się stała.

Połączyłam się ze ślusarzem na ulicy Ślusarskiej i zamówiłam kraty. Powiedziała sobie, z dziećmi nie robi się żartów i nie uprawia hazardu.

Po niecałej godzinie zadzwonili do drzwi. Ja i ślusarz przeszliśmy pokój po pokoju, taras po tarasie, okno po oknie. Nawet poprosiłam, żeby zamknął na kraty dziury w wannie i zlewach – nie chcę kłopotów, niech okratuje mi wszystkie krany.

„Powiedz mi”, rzekł na końcu, „Czujesz się dobrze?”.

„Przed wszystkim chcę czuć się pewnie”, powiedziałam.

„Nie chcę być współnikiem tej głupoty, przykro mi”, skierował się do wyjścia.

„Co to pana obchodzi?”, krzyczałam za nim, „Płacę panu, nie?”

Obrócił się, a obracając rzucił metr w odległy koniec pokoju.

„Teraz podnieś to”, powiedziałam autorytatywnie. „Nie chcę znosić twoich nerwów”.

„Moich nerwów? Moich?”, krzyknął i cały poczerwieniał. „Moich nerwów? Moich? Powiedziałaś moich?” Nagle naprężył się, i wtedy wykończony upadł na ziemię, a mi nie zostało nic innego, jak odpajkować jego śmierć i zrzucić na dół, do głodnych robotników arabskich, mieszkających na dolnych piętrach wieży – żeby go pożarli. W podobny sposób pozbyłam się mojego jeńca, z którego mało co zostało.

Zamówiłam innego ślusarza, który nie zadawał pytań. O północy już cały dom był zakratowany. Stałam na tarasie i oddychałam. Powietrze było nieruchome, a szczyty lekkich wież, które na ogół kołyszą się tam i z powrotem, stały jak maszty okrętów. Kraty zniszczyły mi *wiew*, które było całym moim życiem. Przeszedł mnie dreszcz, czoło miałam zimne jak stal. Postanowiłam sobie, że pierwszą rzeczą, jaką zrobię rano, to zamówię tu ślusarza, który zdejmie te wszystkie kraty. Budzą we mnie poczucie presji, i jeśli boję się, że w chwili stuporu cisnę brzdąca na zewnątrz – to są tylko dwie możliwości, albo cisnę, albo nie cisnę. Fakt, że mam przed sobą wybór, a nie nieskończoność, wywołał u mnie na mgnienie oka uspokajające poczucie pewności. Pewności czego – znów nie wiedziałam.

Rano przyszedł ślusarz i wymontował wszystkie kraty. Kiedy złożył je na stercie w salonie zapytał: „Proszę pani, co pani chce, żebym z tym zrobił?”

„Jak dla mnie, możesz je połknąć, ty maniaku”, powiedziałam podrażniona. Ślusarz popatrzył na mnie zdziwiony.

„Niech mi pani wybaczy, ale nie musi być pani taka nerwowa”.

„Nie mów mi co mam robić, gnoju! I zabieraj stąd swoją mordę”.

Uśmiechnął się do mnie przyjaźnie, załadował na plecy kilka pogiętych krat i skierował się do wyjścia.

„Ma pani list pod drzwiami”, krzyknął, w moją stronę, pochylił się i wręczył mi kopertę. To był list tysiąc któryś z korespondencji, jaką prowadziłam ostatnie trzy lata z biurokracją i procedurą, które nie uznają mojego dyplomu lekarskiego z Katmandu, i uważają, że mam przejść długą specjalizację w szpitalu Sziba¹⁰, a ja odmawiam. Nie zamierzam już przechodzić żadnych kursów. Osiem lat w University of Katmandu wystarczy mi.

¹⁰ Sziba – szpital w Tel ha-szomer w Tel Awiwie.

Kiedy kupiłam to mieszkanie, poprzedni listonosz powiedział mi, że projektował je pewien architekt beduińskiego pochodzenia, mieszkał w nim przed laty i miał ogromne poczucie wielkiej przestrzeni wokół siebie. Rzeczywiście, nie wiem jaki jest dokładnie metraż domu, może ma w ogóle kilometr kwadratowy, przynajmniej trzysta metrów kwadratowych.

Od czasu do czasu wyfruwał na zewnątrz przez taras drapacza chmur jakiś mebel, a czasem mój południk przecinali samobójcy, których krzyk pochłaniał potężny hałas pociągów, samochodów i samolotów.

Siedziałam na tarasie i wyglądałam na zewnątrz. Muchy dokuczały mojemu dziecku. Sączyłam powoli kawę bez kofeiny z cukrem bez sacharozy, i wiatrowskazem odganiałam muchy. Straszliwe myśli znów zaczęły wypuszczać pędy z głębokości mej rozpacz i ściskać mnie jak wąż pyton. Próbowałam z nimi walczyć, dając im możliwość wyrażenia siebie, i przeciągnęłam je na skraj ich granicy, i fakt – kiedy doszłam do ładu z tą wielką katastrofą – trochę się uspokoila.

Od chwili, gdy Linie Bi-Af znów stały się częścią mego życia – trochę mi ulżyło, i dziecku też – mogę się domyślać – polepszyło się trochę, bo zamiast naruszać jego spokój i spokój własnej duszy – zaczęłam nękać pilotów linii Bi-Af. Zaczęłam się bać, że któregoś pogodnego dnia przyjdzie jeden z nich i zabierze mi mój mały projekt, twierdząc, że jest jego dziadkiem. Nie mogłam znieść myśli, że jakiś inny pracownik Bi-Af będzie dotykał mojego syna, i jeszcze poczuje wobec niego odpowiedzialność jako dziadek.

Puściłam dziecku muzykę z katarynki, jakieś dwieście pięćdziesiąt razy tę samą melodię, aż zwymiotowało na siebie całe kozie mleko, które wcześniej pożarło i zaczęłam nękać pilotów, według stopni, jak w oparzeniach Stopień pierwszy: zamówiłam do ich domów sery holenderskie i pizze z krążkami cebuli. Zaczaiłam się na ich dzieci wychodzące ze szkoły i wypełniałam ich mandolinę gównem. Zalałam pilotów telegramami z wiadomością o śmierci takiego czy innego bliskiego i posłałam im niezliczoną ilość wiadomości z gazet o samolotach, które spadły albo zniknęły w trójkacie bermudzkim.

Chciałam tylko odrobinę wzruszyć ich pewność siebie, przetrzepać troszkę perski dywan, na którym stoją. Chciałam im wykazać, że można utonąć w ogniu i oparzyć się wodą, nie tylko teoretycznie.

Pewnej nocy obudziłam się o trzeciej nad ranem z wielką potrzebą operowania. Wcześniej, w takiej sytuacji, cięłam i szyłam w laboratorium, ale te-

raz, po tym, jak moje badania pozostały zaniedbane i stały się tabu, nie miałam co robić, w każdym razie nie miałam kogo operować, bo operowanie padliny wyszło mi już gardłem.

Wewnątrz wiedziałam, że nie wolno mi, nie wolno wchodzić do pokoju dziecka. Dziecko spało snem sprawiedliwych. Podreptałam do niego w zielonkawym stroju chirurgicznym. Rozebrałam go i położyłam na brzuchu na chłodnym stole operacyjnym. Drżał z zimna. Policzyłam mu kręgi. Wydawało mi się, że jednego brakuje. Policzyłam jeszcze raz, i jeszcze raz i kiedy byłam pewna na sto procent, i dwieście procent, a dalej aż do miliona procent – wprowadziłam do komputera wszystkie rodzaje danych o moim dziecku, aż komputer zaczął jęczeć, jak kobieta na sali porodowej.

Dziecko ciągle leżało na brzuchu. Uśpiłam je, pomimo, że nie wiedziałam, gdzie będę je ciąć. Desperacko próbowałam powstrzymać mój popęd do poczynania sobie z dzieckiem, i próbowałam wykiwać go zwykłą lewatywą – ale to nic nie pomagało.

Wzięłam nóż i zaczęłam ciąć tu i tam. Wyrysowałam mu na plecach mapę Izraela, jaką pamiętałam z czasów biblijnych i zaznaczyłam wszystkie miasta Filistyńczyków, jak Gat i Aszkelon, i nakreśliłam ostrzem Genezaret i Jordan, wpadający do Morza Martwego, które non-stop paruje.

Małe krople krwi zaczęły zbierać się w kanałach strumyków wyciętych na całej szerokości kraju. Widok mapy Izraela dyletancko wyrysowanej na plecach mojego niemowlaka wywołał we mnie przyjemne drżenie. W końcu poczułam, że kroję żywe ciało. Dziecko skowytało z bólu – a ja swoje. Kiedy skończyłam oznaczać na nim wszystkie punkty, które moje zaniedbane wykształcenie wyciągnęło z ledwo otwierających się szuflad mojego mózgu, wróciłam do tego kim jestem – lekarzem – wysterylizowałam i obandażowałam, i gdzie było trzeba, pozszywałam.

Wpatrywałam się w pocięte plecy: to była mapa Izraela, nie można było się pomylić.

Nocą, kiedy nie mogłam spać, wychodziłam na taras i próbowałam wyjść z tego. Dolly City ukazywało się z całym swoim bezładem i brzydotą. Dolly City, miasto pocięte, miasto poharatane, zajebriste.

Próbowałam wyciszyć zgłębienie metropolii, stukot maszyn, i straszny jazgot środków komunikacji, które w Dolly City zachowują się jak u siebie. Kolejki wielopoziomowe, pojazdy parowe, pojazdy odrzutowe, statki, tramwaje,

samoloty, samochody, ciężarówki, motocykle – wszystkie przecinają trasę innych, tysiące razy wchodzą ze sobą w kolizję, doprowadzają mnie do szalu, wzbudzają niepokój i nieokiełznane przerażenie.

W środku białego dnia niebo było jednym wielkim korkiem w ruchu ołowianych samolotów. Szukałam skrawka błękitnego nieba i wlepiłam w nie wzrok. To były nieliczne chwile, kiedy próbowałam z całych sił poczuć kawałek wielkiego świata, większego ileś tam razy od Dolly City, ale to było prawie niemożliwe. Byłam własnym więźniem, nie mogłam uciec. Wszystko co mogłam, to patrzeć na odrzutowe pojazdy, znikające w czarnych tunelach nieskończoności, innych ludzi, reszty świata.

Pewnego wieczoru leżałam na dywanie i oglądałam ciało mojego syna z taką pedanterią, jakby był obok mnie, a nie w drugim pokoju. Monochromatyczny komputer zlokalizował miny w dolnych rejonach ciała, a we mnie pojawiła się myśl: nerki, Dolly. Nie badałaś mu nerek! Powstrzymałam się siłą, by się nie ruszyć. Przekonywałam siebie na tysiąc sposobów, żeby moje otarte ze skóry ręce nie dotknęły dziecka, by poprzestać na rutynowych badaniach poprawności funkcjonowania nerek.

Cały dzień grzebałam w jego moczu, by odkryć w białku zasmucające objawy, albo wyraźne ślady jakichś zanieczyszczeń – dziecko było zdrowe. Ale tak, jak nie przeszkadzało mi to kiedyś, tak i teraz to mi nie przeszkadza, otworzyłam go, grzebałam, obracałam i przeglądałam, obszukiwałam i zbłądłam: dziecko miało jedną nerkę. Policzyłam pięćdziesiąt razy i jeden wynik pojawiał się największą ilość razy.

Wpadłam w depresję. Konkluzja była oczywista: nie można uciec od przeszczepu. Sięgnęłam do pamięci, próbując dowiedzieć się, skąd mogę wziąć nerkę, a wtedy przeszła mi przez głowę myśl awaryjnego planu.

Wzięłam taksówkę do ulicy Ben Jehuda, do gmachu Bi-Af. Weszłam do budynku równym krokiem i usiadłam wzruszona naprzeciw pilnej urzędniczki, która robiła kalkulacje. Mruczała liczby i działania, jakby odczytywała Biblię.

Czekałam pięć minut, aż wlepiła we mnie pytające spojrzenie.

„Tak”, powiedziałam jej, „Pięknie. Proszę mi się przyjrzeć, proszę przyjrzeć”.

„Czy nie to właśnie robię?”, powiedziała i poczerwieniała. „Czy nie to robię przez piętnaście lat?”, wstała wzburzona.

„Proszę się uspokoić”, powiedziałam jej. „Proszę głęboko oddychać i nie denerwować tak bardzo. Niech pani puszcza sprawę mimo uszu”.

„Pani myśli, że to łatwo”, zaszczekała ostro. „Pani –”

„Patrz na mnie”, uciłam. „Czy wyglądam ci na znajomą?”

„Nie”.

„Dobrze popatrz, dziwko. Rysy twarzy. Nos. Zwrócić uwagę na nos. Szczególnie na jego dolną część. Nozdrza. Małe oczy. Jasne rzęsy. Nerwowość, nerwy. Ile jeszcze chcesz znaków?”

„Jak najwięcej”.

„Mój ojciec był waszym pracownikiem”, drażniłam ją.

„Cała przyjemność po mojej stronie”, powiedziała.

„Nazywali go S –”.

„Gównu mnie obchodzi”.

„Był kierownikiem działu płac. Umarł na mezotliomę. To rodzaj raka płuc, najbardziej zabójczego i niezwykle rzadkiego. W literaturze fachowej znany –”.

„Powoli”, krzyczała wystraszona urzędniczka. „Nie o chorobach, proszę. Jestem hipochondryczką”.

„A ja lekarzem”.

„Poważnie?”, jej oczy zajaśniały na chwilę, i potem obłęd je zaciemnił, a ona pochyliła się do przodu i szepnęła: „Słodziutka, rzuć na mnie okiem, postaw mi diagnozę. Czy moje źrenice są równe?”

„Tak”.

„Dzięki Bogu”, powiedziała z ulgą i znów miała wzrok jasny, ale po chwili zachmurzył się, a ona wskazała jasnobrażowy punkt na wierzchu dłoni. „A ta plama, to rak?”.

„Nie wydaje mi się, żeby to był rak”.

„Proszę mi zrobić przysługę. Mój brat cierpi na migrenę. Czy to możliwe, by była początkiem zapalenia opon mózgowych? Ile czasu trzeba, by wiedzieć, czy się zaraziłam, czy nie?”.

„Daj mi bilet do Düsseldorfu, w klasie biznesu, i zniżkę”.

„Dlaczego?”.

„Bo masz raka. Umierasz. Musisz walczyć z chorobą. Nie możesz odma-
wiać”. Zaciśnęłam dłoń w pięść i machnęłam w powietrzu.

„Muszę lecieć!”, złapała swoją torebkę i pośpiesznie poprawiła węzeł pstre-
go szalika.

„Dokąd?”, krzyknęła jej koleżanka siedząca obok, ale kobieta wyskoczyła na ulicę.

„W ogóle potrzebuję dwa bilety”, powiedziałam do urzędniczki, która zo-
stała. „Jeden dla mnie, i jeden dla mojego niemowlaka. Ile to będzie, jeśli mój
ojciec pracował przez lata w Bi-Af – –”.

„Nic. Ma pani prawo do zniżki, albo biletów bezpłatnych, jako martwa, razem z nim”.

Obliczała na wszelkie sposoby i w końcu rzuciła w powietrze jakąś sumę, a ja wypełniłam czek z późniejszą datą. Kiedy wyszłam na zewnątrz z biletami lotniczymi w rękę, popatrzyłam na akrobatyczne schody prowadzące do budynku towarzystwa lotniczego. Weszłam na dach, chciałam skoczyć zając się głową, ale w ostatniej chwili zobaczyłam samolot Bi-Af, zmierzający ku błękitnemu morzu, i patrzyłam na niego, aż zniknął wśród białych chmur.

Trzy dni zajęło mi sterylizowanie wszystkich instrumentów chirurgicznych i pakowanie ich, i dobę później zapinałam pas mój i syna, i wznosili się ku nieznanemu. Obok mnie siedział czołg, ważący co najmniej dwieście kilo, o ciemnej skórze, noszący perukę. Cierpiał na ból zębów i płakał, a stewardesy odchodziły i przychodziły i dawały mu wszelkie uśmierzające bólu i koniaki, które znieczulają miejscowo. Nic nie pomagało, i tylko zastrzyk usypiający, jaki wbiłam mu w fałdy tłuszczu, uciszył go, jak się wydaje, na zawsze. Chciałam wykorzystać trochę czasu na małą drzemkę, ale nagle zobaczyłam stewardesę biegnącą od tyłu i krzyczącą wzdłuż rzędów pasażerów:

„Czy jest lekarz na pokładzie? Czy jest lekarz na pok-”. Nikt nie ruszył dupy prócz mnie.

„Ja jestem lekarzem, w czym problem?”, powiedziałam.

„Proszę ze mną”, powiedziała i podniosła niemowlaka z fotela. „Jedna kobieta będzie rodzić”.

„Gdzie ona jest?”.

„W kabinie pilota”.

„A kto jest pilotem?”.

„Goldenberg”.

„Acha”. Jak pamiętałam Goldenberg nie figurował na liście.

„To nowy?”.

„Stary-stary. Jedną nogą na zewnątrz. Jego córka uczyła się ze mną w «Nowym Liceum». W ogóle nie wygląda na Żydówkę”, popatrzyła na moją małą złotą Gwiazdę Dawida falującą na piersi. „Taka piękna. Uczy się medycyny w technikum medycznym”.

„Medycyny w technikum?”, zdziwiłam się, „W technikum nie uczą medycyny”.

„Nie?”, stewardesa wzruszyła ramionami.

Przyjęłam poród od kobiety leżącej na podłodze kabiny pilota. Wyszedł chłopczyk. Martwy. Zaszyłam ją, i cały czas czekałam kiedy pilot odwróci się, by zobaczyć, może jest trochę podobny do mojego dziecka, ale on cały czas tkwił głą do przodu.

Kwestia lotu z dzieckiem do Düsseldorfu w Niemczech, by zdobyć dla niego nerkę niemieckiego niemowlaka, była kwestią moralnie czystą. Najpierw myślałam praktycznie. Zastanawiałam się, gdzie można porwać niemowlaka i wyjąć mu nerkę tak, żeby nikogo to nie obchodziło. I zaraz wpadło mi do głowy: Brazylia. Tam jednoroczne dzieci zarządzają domami publicznymi. Ale Brazylia wydawała mi się za daleko, i kto w ogóle ma siłę tańczyć sambę? Wtedy mój równik przecięła druga myśl: niemowlak arabski. Oni nienawidzą nas, my nienawidzimy ich. Porwę arabskiego niemowlaka, wyjmę mu nerkę, i wszczępię ją w ciało mojego syna-jedynaka. Ale zaraz mina mi zrzedła. Wszyscy wiedzą, że z Arabami nie wolno robić interesów, w ogóle nie wolno wchodzić w kontakt, nie wolno pokazywać im pleców. Siedziałam i myślałam o historii ludzkości. Kto z ludzi, jacy żyli kiedykolwiek na świecie jest najbardziej świński, kto przekroczył wszystkie granice – odpowiedź najoczywistsza.

W ogóle nie przejmowałam się zabranie niemieckiego dziecka z domu sierot w Düsseldorfie, wyjęciem mu nerki i wszczępieniem mojemu dziecku. Przeciwnie, nawet wypełniłam poczucie przeznaczenia. Wiedziałam, że robię dobrą rzecz. Jestem gotowa – w najgorszym przypadku – zabić jedno niemieckie dziecko, czy dwa.

Jeszcze w drodze do hotelu, w taksówce jadącej za minibusem z izraelską załogą lotniczą Bi-Af, przyszło mi minąć grupę neonazistów niosących transparenty w ich języku i machających pięściami w stronę żydowskiego minibusu.

Hotel był fantastyczny, jeszcze nigdy nie widziałam takiego przepychu i wspaniałości. Kelnerzy byli dobrze wymyści, recepcjonista był ulizany jak tyłek. Dał mi klucze do pokoju na sto siedemdziesiątym trzecim piętrze.

Gdy weszłam do apartamentu, zajęłam się trochę dzieckiem, aż usnęło, i wtedy zaczęłam kartkować książkę telefoniczną w języku niemieckim. Szukałam domów sierot na uboczu, opuszczonych siedzib na polanach, piwnic w obskurnych miasteczkach. Znalazłam kilka. Zapakowałam dzieciaka do dziurkowanej walizki, i wyszłam na lejący deszcz zatrzymać taksówkę.

Deszcz bębnił po mojej stukniętej głowie, bębnił po walizce, wpadł do środka i zmoczył dzieciaka, który bez przerwy kichał. Przeklinałam, że nie ma tu

moich rentgenów, trzasnęłabym mu zdjęcie nerek, by zobaczyć, czy czegoś nie złapał.

Kierowcą taksówki był jeke-poc¹¹. Obrzydliwe stworzenie, że chciało mi się rzygać przez tego podczłowieka. Krytykował sposób, w jaki trzymałam mojego niemowlaka. Nie odpowiedziałam mu w ogóle. Kiedy doczekam dnia, w którym Niemiec zrobi mi uwagę, którą się przejmę – kogutom wyrosną zęby. Ten idiota strofował mnie dalej, a ja powstrzymywałam się. To moje dziecko, i moje prawo wychowywać go po mojemu. Chciałam go nauczyć tego, czego mnie nie nauczili – żyć w swoich czterech ścianach.

Wjechaliśmy do lasu i zaczął padać śnieg. Po trzydziestu minutach jazdy błotnistymi ścieżkami, obok samotnego domu, starego i prawie upadającego, zwolniłam kierowcę i zastukałam w zardzewiałe żelazne drzwi.

Byłam podenerwowana i spięta. Chciałam już z tym skończyć, wrócić do domu w Dolly City. Nie mogę tak się poruszać w wielkim świecie. Otworzyła mi czarnawa młódka, która powiedziała, że nazywa się Stefani Poldark, i że jest nimfomanką, ale czy to w ogóle ważne.

Nie trzeba być wielkim mędrce, by wiedzieć, że Stefani Poldark to fałszywe nazwisko. Podała mi wspaniały sernik z bitą śmietaną i dodatkami. Wyborne. Kiedy wykończyłam trzy kawałki – te żółte tabletki przeciwdępresyjne wywołują pragnienie słodkiego – zapytałam ją po angielsku, czy jej dziadek ze strony mamy był oficerem SS.

„Nie”, odpowiedziała. „Mój dziadek ze strony ojca był oficerem SS”. Tak się tego wstydzę, nie masz pojęcia! To jest powód dla którego poświęciłam moje życie innym”, powiedziała i ucisnęła troje podopiecznych dzieci, które pospiesznie schroniły się pod jej skrzydlami. Ale ich nerki nie interesowały mnie. Szukałam kogoś w wieku syna.

„Chcę przekazać pod twoją pełną poświęcenia opiekę tego niemowlaka”, powiedziałam jej i wyciągnęłam Bena z walizki. „Należy do pani. Mam go już dosyć”.

„Zatem daj”, powiedziała, „On jest Żydem? Jak to widać!” Poglaskała go delikatnie i pocałowała w paluszki – do czego ja nigdy się nie skłoniłam.

„Ale przede wszystkim”, zastrzegłam, „Chcę spędzić tutaj kilka dni, by zobaczyć, czy wszystko idzie dobrze...”.

„Tak...”, powiedziała Stefani Poldark, ale widać było, że jest pograżona w myślach. „Czasem pytam samą siebie”, powiedziała pograżona w grubej chmurze myśli, „Jak długo? Jak długo będę poświęcać swoje życie innym? Kiedy

¹¹ Jeke-poc – (jid.) lub jeke, pogardliwe określenie niemieckiego Żyda.

w końcu będę mogła się pieprzyć z kim mi przyjdzie ochota? Jak długo zechcę dźwigać karę, którą sobie zadałam? Chcę żyć wolna! Wolna od poczucia winy. Już dłużej nie mogę". Umilkła, a jej łzy spłynęły na twarz mojego dziecka.

"Stefani Poldark", powiedziałam nagle, bo wiedziałam, że ta otwarta rana jest bardzo szeroką bramą, "Chcę mieć wolny dostęp do nerek twoich dzieci w wieku do sześciu miesięcy".

"Wszystko, co zechcesz", powiedziała. "Tylko zrób mi uprzejmość. Jeżeli już je otwierasz – otwórz także głowę. Sprawdź, jaki olej przytrafił się nam, Niemcom".

Powiedziałam jej tak, tak, ale w ogóle nawet przez chwilę o tym nie myślałam. Co w ogóle pomoże wiedza, że Niemcy mają głowy pełne gówna?

Pracowałam całą noc. Zbadałam nerki wszystkich czterdziestu niemowląt w wieku do sześciu miesięcy, jakie były w domostwie. Część zmarła mi w rękach, ale nie zwracałam na to uwagi, bo myślałam co to jest wobec... Wszystkie miały wnętrzości na wierzchu, a ja zrobiłam sobie przerwę na kawę.

O piątej rano wszczepiłam dziecku nerkę, zszyłam go, a z nici, które mi zostały zrobiłam innym dzieciom parę szwów w motylki, ale motylki, zamiast zatrzymać upływ krwi, tylko wyfrunęły od razu na zewnątrz, i dzieci zdychały, jedno po drugim.

Nie było mi szczególnie przyjemnie wobec Stefani Poldark, która podejmowała nas naprawdę znakomicie. Nie wiedziałam jak jej powiedzieć, że kilkadziesiąt dzieciaków odeszło. Ale ona była w porządku i powiedziała mi oschle, że nie powinnam mieć ani odrobiny skrupułów.

Transplantacja przebiegła spokojnie, przeszczep przyjął się, i wszystko trafiło w dziesiątkę.

Odjechałam od Stefani i jej niemieckich dzieci i polecałam z powrotem do domu. W drodze powrotnej też pytali, czy jest lekarz na pokładzie, i wstała jedna, Judy. Jeśli ona jest lekarzem, to ja jestem doktor Żiwago. Ale byłam cicho. Jeśli masz dom zbudowany ze szkła, nie rzucaj kamieniem w sąsiada.

Pięć minut po wejściu do domu – poczułam, że szaleństwo znów nadchodzi. Mam na myśli te wątpliwości, to drżenie. A co, zapytałam samą siebie, co, jeśli dziecku nerki wcale nie brakowało? I co, jeśli nie widziałam dobrze i teraz ma trzy nerki? Pytałam znów i znów. Przecież jestem zwykłym śmiertelnikiem – to prawdopodobne, że się pomyliłam.

To raczej oczywiste, że ja się pomyliłam, niż, że Bóg błądzi.

Ta chmura, czarna i ohydna, wdarła się do mojej duszy i wypełniła ją sadzą.
– Operować! – powiedziałam. – Operować. Sprawdzić! Upewnić się!

Liczyłam ponad tysiąc razy. Raz wychodziły mi dwie, raz trzy. Raz wyszło mi cztery, innym razem – jedna. Mogłam, zdaje się, pójść do normalnego lekarza, żeby sprawdził. Ale nie wierzyłam nikomu, i co zrozumiale, nie chciałam demaskować się. Jeśli tak, to w co wierzyć? Ile dziecko ma nerek? Ile nerek ma moje dziecko? Postanowiłam zostawić to, i powrócić po przerwie.

Wstrzyknęłam mu środek nasenny i zostawiłam otwartego, na komodzie, jakby był słuchawką telefoniczną, i wyciągnęłam się na dywanie. Nie zdołałam zmrużyć oka. W końcu zapukałam do sąsiada Icyka, który właśnie wyżymał jednej dziewczynie lechtaczkę, i powiedziałam mu:

„Na rany, potrzebuję dodatkowego oka. Nie czuję się za dobrze. Czy byłbyś gotów przyjść i policzyć nerki mojego dziecka?”.

„Masz dziecko?” zdziwił się. „Z kim?”.

„Co to znaczy z kim?”, szczeknęłam i zmieniłam temat. „Bałagan, bałagan. Nie wiesz jaki bałagan”. Weszliśmy do windy.

„Ale powiedz”, rzekł, „Jak ja mam wiedzieć, które to nerki? Jak mogę wiedzieć, że to nie wątroba?”.

„Powiedz mi co liczysz – a ja powiem, ci co to jest”, powiedziałam oschle.

Icyk czarodziej naliczył trzy nerki, a ja zemdlałam. Myślał, że zmarłam i zamierzał wyrzucić mnie przez okno, ale na szczęście otworzyłam oczy przed czasem. Odesłałam go, i pośpieszyłam, by grzebać w ciele dziecka. Zaczynał tracić krew, a ja z głupoty, zapomniałam która to nerka, co ją przeszczepiłam, nie umiałam odróżnić między nią, a jego własną. W końcu zadziałałam na śmierć i życie i wyrwałam mu nerkę. Jeśli dane temu dziecku umrzeć na stole operacyjnym – cóż mogę zrobić? Daję z siebie maksimum.

Zamknęłam go, pozszywałam łatę skóry, którą wycięłam z mojego uda, i wyciągnęłam się na dywanie, żeby przeczytać wiadomości tygodnia w Dolly City, ale nie mogłam się skupić. Czułam się ciężka, jak pojazd pancerny, i odczuwałam silne pragnienie, by zmienić wszystko od podstaw. Pragnęłam zostawić Dolly City, opuścić to miasto, oddalić je od siebie, jak wypędza się chorego psa, który się uczepił człowieka. Dolly City przerosło mnie.

Z nadmiaru rozpaczy, nawet zaprzestałam nękania pilotów, prób ustalania tożsamości dziadka i córki, i likwidowania ich.

Wyglądałam przez okno, ale jak długo można wyglądać przez okno na galopujące pociągi? I dokąd one galopują? Wszystkie pociągi w Dolly City galopują do Dachau i z powrotem. To nie jest tamto Dachau, ale po prostu

deska, na której jest napisane, że to Dachau, rodzaj monumentu. Ile czasu można dać oczom, żeby rozbiegane wyrabiały nadgodziny?

Musi być jakieś rozwiązanie.

Czerwiec, lipiec, sierpień, szwat, adar, nissan¹², wrzesień, już były za mną. Dziecko miało dziewięć miesięcy i niebezpieczeństwo, że umrze przedwcześnie, zmniejszyło się. Wciąż robiłam mu rutynowe badania, i od czasu do czasu kosmetyczne operacje, próbując wygładzić mu blizny. Opracowałam pomysł, patent, dużo lepszy, żeby zamiast otwierać i zamykać go od nowa przy każdej operacji, można zainstalować mu rodzaj żaluzji, w miejscu strategicznie zagrożonym, i za każdym razem kiedy potrzeba, po prostu otwierać troszkę szczeliny.

W dniu, w którym dziecina wstała na nogi, mając rok, i zaczęła chodzić, a ja widziałam przed sobą malego człowieka, ale człowieka – przyszła mi do głowy świrowata myśl, że może dostał raka. Strach przed rakiem jest największy. Rak był według mnie najbardziej beznadziejną chorobą, jaką udało się wynaleźć aniołowi śmierci. Ta choroba, to jednak wielka pułapka, tak dla lekarza, jak chorego, ponieważ nigdy nie można wiedzieć z całą pewnością, czy ona zaczęła już kiełkować w ciele pacjenta. Zlokalizować raka w rozkwicie, to jak złapać ptaka podrywającego się ku niebu. Nawet, jeśli go złapiesz jeszcze w powietrzu, spadniesz nosem na ziemię, pogruchotana, w najlepszym razie, z roztrzaskaną szczęką.

Podczas moich badań, prowadzonych od lat, naprawdę próbowałam z całej mocy znaleźć lekarstwo na tę chorobę – ale gdzie. W trakcie doświadczeń zawsze pociągały mnie inne sprawy. Skrzydła wyobraźni niosły mnie ponad raka, do badań-dla-badań, i tak doszłam do kawałkowania wszystkich rodzajów zwierząt, tak sobie.

I tak, pomimo, że dziecko nie miało raka, nie miało raka, pomimo, że nie miało raka, zdecydowałam mimo to poddać je zabiegowi chemoterapii, i wielkim dawkom witaminy A.

Chciałam iść na pewniaka.

Dziecko chudło, wypadły mu włosy – ale ja wiedziałam: musimy walczyć z tą straszną chorobą, musimy ją zatrzymać.

¹² szwat, adar, nissan – nazwy miesiące kalendarza żydowskiego, odpowiadają przełomowi miesięcy styczeń-luty, luty-marzec, marzec-kwiecień.

Nie spałam po nocach. Wcześniej wszystkie pociągi i droga szybkiego ruchu doprowadzały mnie do szalu. Z biegiem lat populacja Dolly City wzrosła, i wypełniła się wszelkiego rodzaju wynaturzonymi ludźmi i podludźmi, którzy żądali coraz więcej środków transportu, coraz więcej ulic i torów kolejowych. Z braku wyboru, położono nowe wielopoziomowe szosy i tory, i teraz zgrzyt pociągów wzmógł się straszliwie jak nigdy, a czasem ten jazgot, tak był zintegrowany z moim bytem, że myślałam, iż jest wytworem mojej wyobraźni.

Ale za każdym razem, gdy tak myślałam, trudziłam się, by wstać i upewnić się. I znów upewnić. I znów upewnić. I znów upewnić. Aż byłam pewna zupełnie zupełnie zupełnie, że pociągi, które widzę w dole, zderzające się wagony, zgiełk nowoczesnego świata, rzeczywiście jest tam, rzeczywiście jest. Echo zawiadnęło wszystkim, tak że nie umiałam rozróżnić pomiędzy nim, a prawdziwym głosem.

Te ataki mojej choroby, choroby nieskończonych możliwości, pewność wątpliwości, dotyczyły także dziecka. Czasem, w szczególnie trudnych chwilach, nadawałam SOS do mamy, by powiedziała mi, co ja widzę, by użyła swego doświadczenia. Ona mawiała: to jest stół, Dolly, to jest krzesło, to salon, to telewizor cały czas włączony, włączony. Ja jestem mama, a ty Dolly, a to dziecko. Jakie piękne dziecko! Jakie słodkie dziecko!

Co za regres! Co za katastrofa! W wieku lat trzydziestu paru... Przyszła staruszka i usiłowała przekonać mnie, że kula jest okrągła, że kula jest czerwona, że kula jest zielona i skacze.

Ten, kto zyskiwał na tych wszystkich, zbędnych wyjaśnieniach, to małe dziecko. Słuchało mojej mamy czarnymi, szeroko rozwartymi oczami. Miało taką małą głowę, jak piłka tenisowa, aż czasami chciałam wałnąć nią pierwszego serwa.

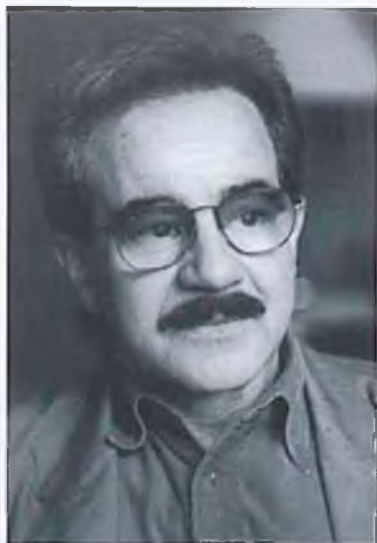
Zanim będę kontynuować, chcę coś zaznaczyć: to dla mnie ważne, by nie powstało wrażenie, że wzięłam dziecko i zmarnowałam je. Chciałam je tylko bronić przed złymi rzeczami. Chciałam, żeby żyło do stu dwudziestu¹³, i co w tym złego? Chciałam mieć pełną kontrolę, i co w tym złego? Skąd taka obłuda? W pewnych środowiskach można zmusić człowieka, żeby przegryzł zębami łechtaczkę swojej siostry – a mi nie wolno żądać prawa do obrony mojego dziecka?

Orli Kastel-Blum

tłumaczył z hebrajskiego Tomasz Korzeniowski

Rozdział powieści *Dolly City* (Dolly City), Tel Awiw: Zmora Bitan, 1992.

¹³ do stu dwudziestu – w judaizmie tradycyjne życzenie długości życia. Sto dwadzieścia lat żył Mojżesz.



Fot. Elżbieta Lempp

Henryk Grynberg

Słowa

Słowa stworzyły nas i wyгнаły
z miłosiernej nieświadomości

i Kain dobrze wie co czyni
od początku człowieka

ma wybór i wybiera
ciągle to samo

a Bóg to dobre pytanie
ukrywa się między słowami

ukazuje się w twarzy Innego
lecz tylko optymistom
(takim jak Lévinas z Kowna)

jest Słowem które nie może
niczemu zapobiec

lecz powtarza się i reinkarnuje
bo skuteczniejszego nie ma

już matce Samsona objawił
oto poczniesz i urodzisz syna
który też padł od zdrady

lecz jeśli wstąpi w niebo trujący grzyb
to diabli wezmą wszystkie przekłete
miejsca święte i świątynie słów

i któż je będzie podziwiał
zapyta Dawid

Pisarz

Próbował żyć ale nic z tego
więc został pisarzem

pisarz może poprawić błędy
a człowiek nie
więc lepiej być pisarzem

pisze tylko gdy musi
ale przeważnie musi
więc coraz mniej mówi

ma tylko dwoje oczu
i patrzy w małe litery
ale za dużo widzi

zasłania się tekstem
podtekstem pretekstem
jest tylko w słowach

które oddalby za to
żeby nie trzeba było pisać
tego co pisze

Dom

Dęby we wszystkich oknach
pilnują dzień i noc
nawet śpią na stojąco jak konie

a szumią tak przejmująco
że może słuchać całą noc
i żyć sto lat
bo Bóg nie liczy tych godzin

ale coś trzaska w ścianach
fundament się ciągle zapada
więc musi wciąż siebie poganiać

Miłość

Ta miłość jest naturalna
prawdziwa i na zawsze

zawsze należał do nich
i nikt mu nie jest tak bliski
zwłaszcza dziś

przez niedopatrzenie
błąka się po tej stronie
śmierć naprawdę jest końcem rozłąki

Ciężar

Za dużo mu zostawili
na jedno życie
ugina się pod ciężarem

a musi jeszcze znaleźć
ostateczne rozwiązanie dla siebie
z godnością o którą znowu niełatwo

i pamiętać wszystko i uczyć
dzieci i wnuki
żebyście już więcej nie mogli
być tym czym jesteście

Seans

Ten seans się kończy
wnet trzeba wyjść
i już nic nie widzieć

piękny gdyby nie ludzie
tylko oni są straszni
tylko od nich trzeba zbawienia

piękny że aż żal
straszny że aż nie żal

Henryk Grynberg



Fot. Günter Prust

Piotr Szewc

Skubanie koguta

Był czas kiedy nawet cieszył oko ale nie pora teraz na takie wspomnienia
dumny gospodarz podwórka
z grzebieniem metalicznie lśniąca kryzą skrzydłami i ogonem
pianiem potwierdzający swoje istnienie i należne prawa
To co leży na trawie bez głowy i sparzone gorącą wodą słabo go przypomina
obok niego przykucnięta kobieta z zakasany fartuchem
skupiona i zafrasowana mimo że to dla niej nie pierwszozna
Rośnie kupka wyrwanych piór z którymi jak zwykle kłopot bo trzeba je uprząć
Palce kobiety bezbłędnie trafiają na właściwe miejsce
odsłonił się brzuch koguta i krwawo zwieńczony kikut szyi
– Aleś twardy – powiedziała ni to do koguta ni to do siebie
mocując się z lotkami
Nie wiadomo czy taka jest pośmiertna zemsta koguta
W słowach kobiety brzmi szacunek
zwykła bowiem szanować wszystko co jest przedmiotem jej starania

2003

Nad Bałtykiem

Od kilku dni nad kurortem zalega mgła
otula wzgórze i jak cukrowa wata owija się o stare sosny
słońce przeziera przez nią jak mleczna lampa
Z mgły wynurzają się fale i uderzają o brzeg
z wnętrza morza wynoszą daninę mazutu i morszczyków
wzrok z trudem wylawia wypływające na połów łodzie
a potem godzinami czeka na cud powrotu
Pod wieczór fale łagodnieją
nie wyrzucają niczego na brzeg i o nic się nie upominają
Kurort mógłby usnąć gdyby nie światła i muzyka pubów
– No chodź już jak długo mam czekać – niecierpliwi się młoda kobieta
odpowiadają jej psy i stukot nadbiegających butów
a potem przekleństwo i pisk opon na głównej ulicy
Przed trzecią nad kurortem przechodzi krótka burza
zaraz po niej nieznany mi z nazwy ptak
przeciągle obwieszcza że to również jego teren
po czym nastaje cisza którą z rzadka śmie zakłócić
auto przejeżdżające w tę lub w tamtą stronę

2003

Tylko o tym

– Pisz do mnie tylko o tym, kto ze znajomych zmarł i gdzie go
pochowali. Reszta mnie nie obchodzi.

(prośba starej kobiety skierowana do drugiej starej kobiety)

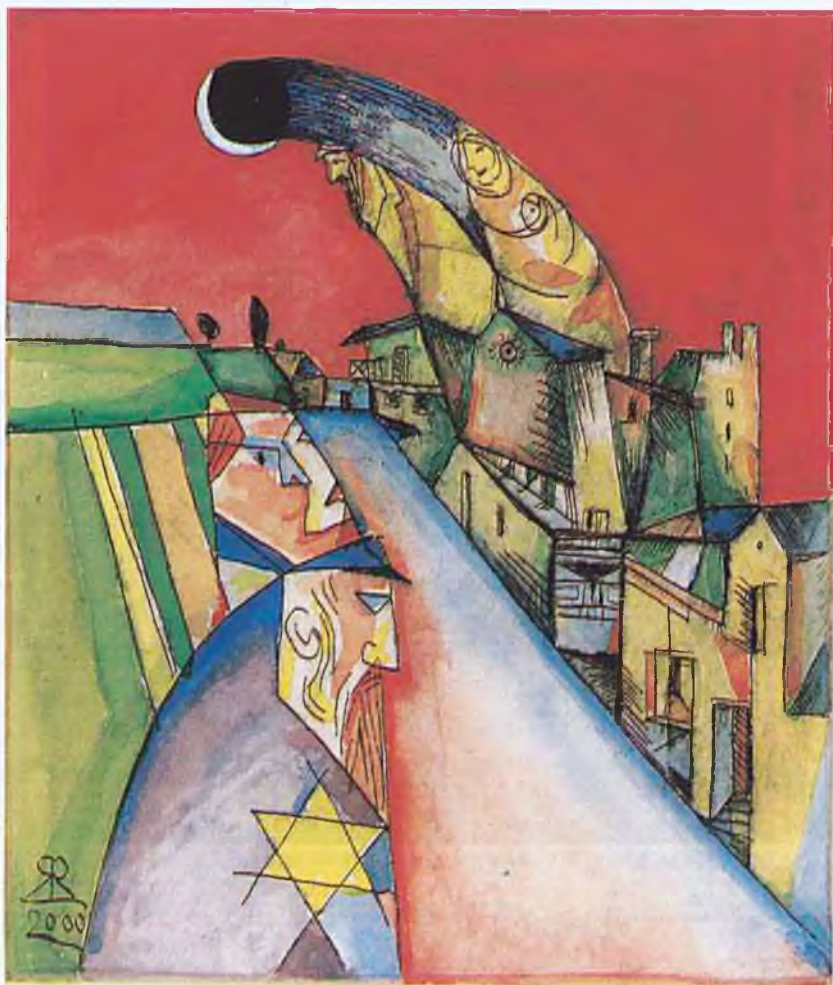


Leszek Rózga, *Sztatele*, 2000, akwafora, akwarela, 11x9,8 cm

Leszek Rózga, *Sztatele*

Zawsze było małe a teraz zszarzało i popękało ze starości
 tu świat zaczyna się i kończy
 żelazna studnia kilka latarni bóżnica szczypta sobotnich marzeń
 popatrz mówi do ściany ściana z naprzeciwnika
 posłuchaj szepcze przedsionkom i strydom zaułek
 historie rozwijają się jak towar łokciowy w budce grubej kupcowej w rynku
 raz do śmiechu kiedy indziej do zadumy lub płaczu bo tak to jest w życiu
 ktoś na piętrze przyciąga okiennicę milkną kroki w bramie
 jednokonna furka terkocze na nierównej drodze
 musi zdążyć zaraz zmierzch okryje miasto gołębim skrzydłem

2004

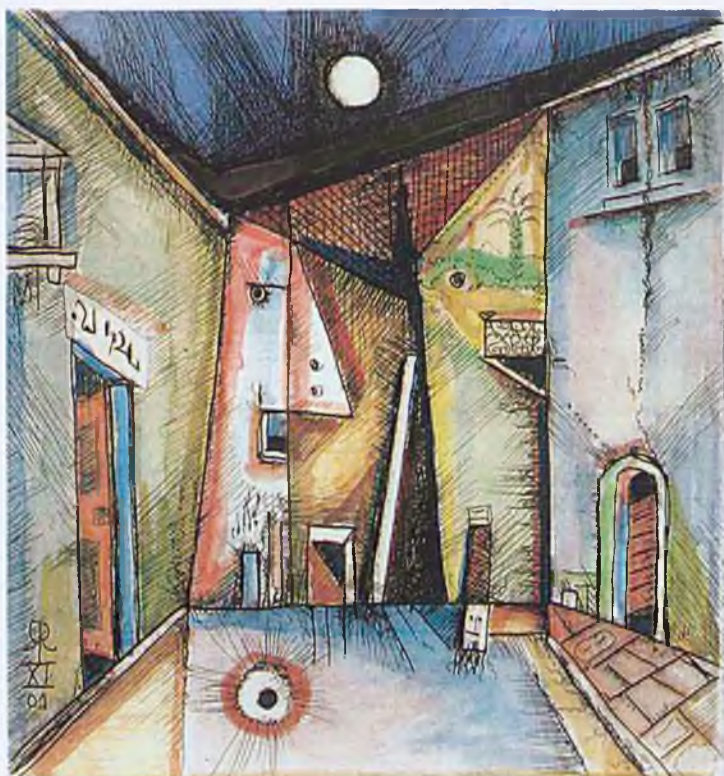


Leszek Rózga, *Exodus*, 2000, akwaforta, akwarela, 16x14 cm

Leszek Rózga, *Exodus*

Zgasło słońce i znieruchomiało nad miastem na czerwonym niebie
 naznaczona żółtą gwiazdą ulica dom za domem ucieka za horyzont
 trwa exodus i zza drzwi okien z podwórek rozlega się lament
 kilkoro oczu wypatruje po okolicy by każdą jej częśćkę zabrać ze sobą
 dwa drzewa niemi świadkowie przystanęły na skraju pól
 jeszcze chwila i je też zagarnie długi jak wieczność warkocz komety

2004



Leszek RóŹga, *Podwórk*, 2001, akwafora, akwarela, 10x9,5 cm

Leszek RóŹga, *Podwórk*

Ktoś tu był ktoś tu mieszkał ale kto i kiedy
 dla kogo nad balkonem kołysze się jeszcze ta wyblakła palma
 i pod palmą sypie się sypie sypie jak w klepsydrach piasek
 w dzień spoza dachów wzrok zapuszcza słońce nocą księżyc niedowiarek
 wiatr wybił szyby zdmuchnął świece odpadł tynk ze strachu pękła ściana
 pusto i cicho po sieniach kryją się spłoszone widma
 tłoczą się jest ich wiele dają jakieś znaki
 może ten czas przeczekają da Bóg wytchnienie
 w załomie muru na pustynnym piasku pod palmowym liściem

2004

Piotr Szewc





Autoportret z maskami, Nowy Jork 1983



Łóżko, Ancona 1979



Stól, obrus, Arles 1986



Para na kanapie, Nowy Jork 1970



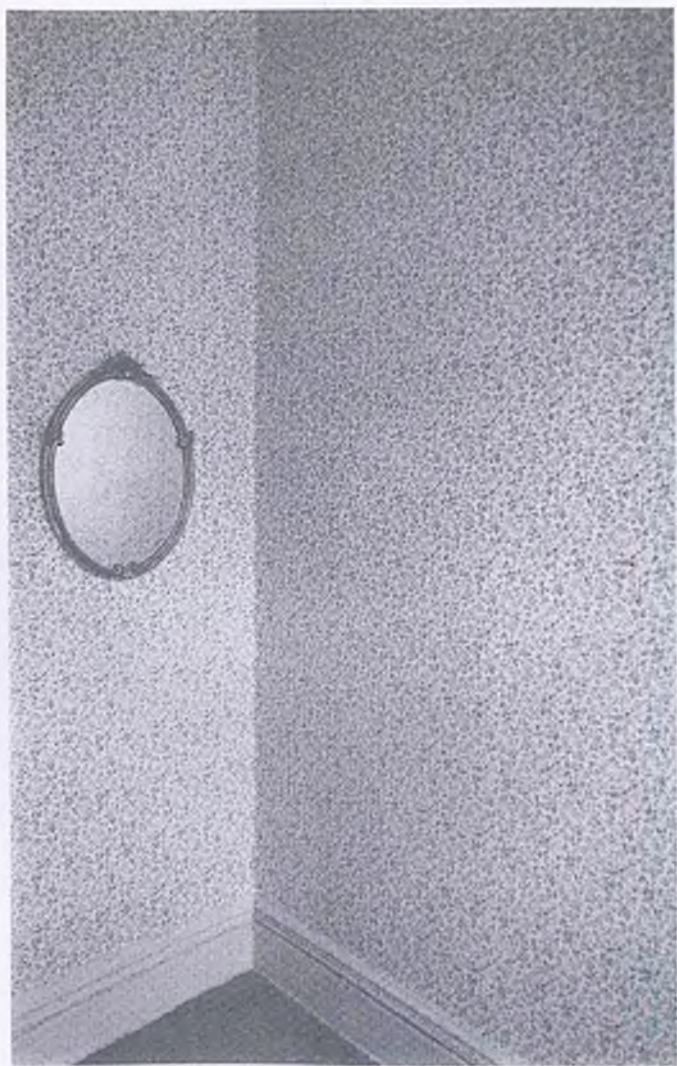
Poddasze, Vermont 1983



Perspektywa, Sabionetta 1973



Cela Van Gogha, Arles 1984



Lustro w rogu, Nowy Jork 1971



Łóżko w lustrze, Rhode Island 1972



Siedząca naga kobieta, Rhode Island 1972



Krzesło, kaloryfer, Maine 1978



Naga kobieta, owal, Nowy Jork 1969



Kuchnia Urszuli, Warszawa 1984



Plecy M., 1984



Noël w lustrze, Użes 1988



Kobieta w szpitalu, Kenntucky 1972

Eva Rubinstein: anatomia kątów, anatomia fałd

W pracach Ewy Rubinstein rzuca się w oczy ich niezwykła konsekwencja: wszystkie skomponowane są na zasadzie przeciwieństwa miękkości i stabilności form. Zasada ta obowiązuje tak w obrębie całego cyklu, jak i na pojedynczych fotografiach. Charakterystyczne uporządkowanie czarno-białych przedstawień opiera się na starannym ustrukturyzowaniu linii oraz uważnym operowaniu światłem. Nic nie jest przy tym ustawione; Rubinstein przyłapuje jedynie codzienność. Taki rodzaj obrazu fotograficznego zdolny jest wydobyć niezwykłość z najbardziej zwyczajnych przedmiotów. *Łóżko* (1979) w swym niepokładaniu nie tylko nosi ślady życia, ale kłębiąc się, samo przyjmuje charakter żywej materii. Światło wnika w fałdy, kładzie się na prześcieradle, penetruje każde załamanie białej pościeli. Fotografia staje się rysunkiem, którego tematem jest anatomia fałd, z całą gamą linii – od dyskretnych, ledwo widocznych, poprzez krótkie i grube aż do ciężkich, opadających, pociągających za sobą resztę materiału. Pościel zdaje się wysypywać z łóżka, wypadać poza ramy. Miękkość fałd jest jeszcze bardziej namacalna w kontekście stykających się pod kątem prostym listew parkietu. W *Stole z obrusem* (1986) elementem dominującym są kąty ostre. Surowość fotografii złagodzona zostaje jedynie przez ornamentalny układ brzegu obrusa w dolnej partii. *Stół* przypomina malarskie przedstawienia *Ostatniej Wieczery*, z tą różnicą, że w tym wypadku brak protagonistów. Ten, tak istotny kompozycyjnie przedmiot, zawsze spychany na margines na rzecz apostołów, jest u Rubinstein kolejnym „banalnym” przedmiotem, który staje się jedynym motywem – bohaterem przedstawienia. Wyabstrahowany z przestrzeni, pozbawiony jakiegokolwiek punktu zaczepienia (niewidoczne są nogi, a kształt blatu daje się odczytać jedynie z załamań obrusa) nabiera on cech surrealistycznych. Pomimo wrażenia zapadania, wyraźnego ciężenia ku dołowi, kompozycję cechuje absolutny spokój, pozwalający na dostrzeżenie najdrobniejszych zranień w fakturze obrusa: dyskretnych pofałdowań i śladów po cerowaniu, działających niczym pęknięcia w zwartej strukturze. Ostra linia zagięcia obrusa, przecinająca stół w poprzek, stanowi przeciwagę dla usytuowania blatu i wobec horyzontalnego formatu zdjęcia. Tym, co łączy fotografie *Łóżko* i *Stół*, jest specyficzny punkt widzenia – z góry, po skosie, charakterystyczny również dla innych prac Rubinstein. O ile jednak w przypadku pierwszej pracy motyw zajmuje cały plan, o tyle stół przesunięty jest ku górnej krawędzi fotografii. Podobne przeniesienie ciężaru kompozycji ku górze cechuje *Parę na kanapie* (1970). Kierunek zbiegu, wyznaczony przez pionowe deski podłogowych, zostaje tu ścięty przez ciasny, horyzontalny układ splecionych ciał, zbudowany z serii krótkich ukosów – nóg, linii pleców i ramion. Z innym rozwiązaniem, choć opartym na analogicznym sposobie budowania przestrzeni, mamy do czynienia w przypadku *Poddasza* (1983). Tutaj perspektywa zbieżna, powstająca – podobnie – ze wspinających się linii desek podłogowych, zamknięta jest ścianą strychu z oknem w kształcie trójkąta. Kierunek zbiegu podkreśla układ skrzyni, ustawionych wzdłuż ścian pomieszczenia. Dodatkowo opadające linie belek w kon-

strukcji dachu stanowią *pendant* wobec podłogi. Ścisła symetria tego ujęcia scala wieloelementową kompozycję.

Ze swoistą – wyważoną – asymetrią mamy za to do czynienia w ascetycznych fotografiach *Lustro w rogu* (1971), *Łóżko w lustrze* (1972) oraz *Cela van Gogh'a* (1982). Dla wszystkich trzech charakterystyczne jest kontrastowanie owali (kształtu luster i biegu podłogi) z kątami prostymi, wytyczonymi stykiem ścian bądź formą odbitego w lustrze łóżka. Analogiczny sposób myślenia o obrazie fotograficznym daje się odnaleźć także w przedstawieniach figuralnych. W przypadku *Siedzącej nagej kobiety* (1972) opadające ramiona, zaokrąglone plecy i pośladki znajdują swe przeciwieństwo w ostrych formach okna oraz prostokącie łóżka, na którym siedzi widziana od tyłu postać. Podział na plany (dalszy z oknem, środkowy z figurą kobiecą i bliższy – łóżko) zostaje w percepcji zawieszony i podporządkowuje się czytaniu form: fotografia podzielona jest wyraźnie na część lewą, z ostrymi kątami okna i prawą, z okrągłościami figury kobiecej. Pionowe linie okna znajdują przy tym swój odpowiednik w linii kręgosłupa. Rodzajem przeciwwagi dla okna jest, jak ono jasna, zbudowana z przebiegających pionowo fałd, pościel.

W przypadku fotografii *Plecy M.* (1984), odcinającej się od ciemnego tła jasnej postaci odpowiada po lewej stronie jasna zasłona. Analogie świetlne wspierane są przez analogie form. Postać określona jest przez dominantę pionową: kręgosłup znajdujący swe przedłużenie w linii pośladków i ud przecina fotografię na całej długości i wraz z widocznym fragmentem zasłony zaprzecza poziomemu formatowi zdjęcia. Uważniejsze przypatrywanie się figurze pozwala zauważyć, że muskulatura przedramienia prawej ręki odpowiada układowi fałd zasłony. Grubości fałd odpowiadają zaś rozczapierzone, opierające się o pośladek palce. Z podobnie konsekwentnym komponowaniem obrazu fotograficznego mamy do czynienia w jednej z ostatnich prac Rubinstein – *Noël w lustrze* (1988). Płaszczyznowe czytanie zdjęcia dominuje znów nad trójwymiarowym. Tutaj podział na dwie równe części wyznaczony jest przez naroża ściany. Prawa partia jest dodatkowo podzielona przez wprowadzenie lustra, w którym odbija się postać mężczyzny. Jaśniejszej partii ściany po lewej odpowiada jaśniejsze pasmo na ścianie po prawej, zacienionemu fragmentowi na ścianie po lewej natomiast – ciemniejsze lustro. Oprócz takiego ścisłego uporządkowania w obrębie całości, zachodzi też zgodność w szczegółach: perełkowanie ramy lustra znajduje na przykład swój odpowiednik w pępku mężczyzny, będącym rodzajem kontrapunktu na jasnym korpusie.

Ta iście matematyczna logika kompozycji wszystkich fotografii Rubinstein jest wyróżnikiem jej stylu. Tak, jakby przypatrywała się rzeczywistości muzycznym okiem – wszystko opiera się u niej na zasadzie kontrastów, na wznoszeniu i opadaniu. I na harmonii.

Daria Kolacka

Tropy obecności: wnętrza Evy Rubinstein

Robienie fotografii to odkrywanie czegoś ze mnie w tym, co na zewnątrz. Eva Rubinstein jest przekonana, że to, co fotograf „chwytą” na kliszy, jest w gruncie rzeczy wyrazem tego, co znajduje się w jego umyśle. Już sam wybór środków technicznych, rodzaj stosowanego obiektywu – tyleż powie o fotografującym, co o fotografowanym świecie. A to, co zostało sfotografowane, nieraz dopiero później odsłania dodatkowe konotacje, tak jak buty w sierocińcu, które na zdjęciu układają się w formę krzyża.

Wybór kadru to izolowanie z tego, co nas otacza, tego, co chcę zobaczyć i (nawet jeśli o tym nie wiem) tego, co ma związek ze mną, mówi Eva Rubinstein. To, co jest na zewnątrz, jest „uchwytnie” dla wszystkich, ale ona, przez krótki czas uczennica Lisette Model i Diane Arbus, interpretuje je na własny sposób.

Lisette Model twierdziła, że aparat jest narzędziem odkrywania. „Fotografujemy nie tylko to, co znamy, ale i to, czego nie znamy.” Choć takie jej cykle jak *Legs* (nogi przechodniów na nowojorskich trotuarach), *Reflections* (odbicia w oknach sklepów), czy *Shadows* (cienie na jezdniach i chodnikach) nie mają w sobie nic agresywnego – ba, można je dziś uważać za niemal liryczne – częściej komentuje się jej portrety, w których uderza krytyka społeczna (Model zdobyła rozgłos po opublikowaniu na łamach komunistycznego pisma „Regards” fotografii bywalców nicejskiej Promenade des Anglais z 1934 roku). Używała Rolleiflexa do frontalnego ataku na ludzi. Była pionierem fotografii z fleszem w świetle dziennym, tak by ich „wylapać”, splaszczyć i oddzielić od tła. Wprawdzie wołała nie ingerować w fotografowane sceny i często była oddalona na bezpieczną odległość, ale lubiła kadrować odbitki, wycinając swe ofiary i podsuwając je pod nos oglądającego jak trofeum.

We frontalnym ataku celowała również uczennica Lisette Model, Diane Arbus, która wyrzekała się manipulowania kadrem po wykonaniu zdjęć, ale „ustawiała” ludzi przed naciśnięciem na spust migawki. Arbus od świata mody przeszła do fotografowania freaków, transwestytów, rosyjskich i meksykańskich karłów, żydowskich gigantów, a nawet upośledzonych umysłowo. Idiosynkrazje w portretach ludzi z marginesu mogły zrównoważyć w jej późniejszych pracach tylko ikonoklastyczne portrety nienormalnej normalności, owych niedobrych par w nowojorskich parkach, nieporadnie pozujących rodzin w obozach nudystów, dzieci płaczących w tandetnych wnętrzach. Model i Arbus uważały, że mają prawo do eksploatacji swych „przedmiotów”, „obiektów” swych przedstawień, do nadużywania ich inności i intymności, pokazywania tego, co ulomne – w imię sztuki. Nie przypadkiem znaczna część ich dorobku przywołuje otwarcie sferę seksualności. Dla Arbus seks to najszybsza, najpierwotniejsza droga kontaktu z inną istotą ludzką. Można by powiedzieć, że migawka jest jeszcze szybsza.

Dla Evy Rubinstein aparat nie jest narzędziem napaści, choćby w imię sztuki. Już samo patrzenie przez wizjer aparatu oddziela patrzącego od rzeczywistości – jak w czasie ulicznych walk w Irlandii Północnej, uwiecznionych na jej fotogra-

fiach. Widząc scenę w okienku celownika, czuła się poza nią, po drugiej stronie. Fotografując, jest poza sobą – jak wtedy, kiedy – wspomina – patrzyła w lustro, niczym „kibic”, w czasie porodu syna. Jednakże to był „jej” poród – trudno o bardziej oczywisty dowód niż własne dziecko. Unika manipulowania materiałem (oryginalny kadr jest tylko nieznacznie większy od eksponowanej później pracy), unika też bezpośredniej konfrontacji z ludźmi fotografowanymi na ulicy (robiąc tzw. portrety swobodne czuje się raczej nieswojo).

Porusza ten temat w wywiadzie z fotografikiem Frankiem Horvatem. Fotografując ludzi, powiada, muszę wyjść z siebie – po to, by pozwolić komuś wyjść ku mnie. Fotografia jest efektem takiego spotkania. Fotografujący musi się odsłonić, niejako narazić fotografowanemu – w tym samym stopniu, w jakim odsłania drugiego. Inaczej będzie uprawiał swego rodzaju *voyeuryzm*. Fotograf ochrania siebie, a z racji swej funkcji ma nad „uwiecznionymi” na zdjęciu osobami władzę – lub choćby przewagę. Eva Rubinstein nie chce niczego od nich brać bez ich zgody. Opowiada, że kiedy robi komuś zdjęcie bez jego wiedzy, jakby prosiła o karę. Fotografia zrobiona ukradkiem jest fotografią komuś skradzioną. Do sfotografowania staruszki w szpitalu w Kentucky (to jedna z jej najbardziej poruszających prac) miała prawo moralne. Po uszkodzeniu kręgosłupa, zmuszona prowadzić samochód, dotarwszy do szpitala sama przeżywała agonię, ta fotografia była więc aktem solidarności z inną chorą.

Nie tyle uwiecznianie ją interesuje, ile zatrzymanie w czasie. Fotografowanie czasu – czegoś niepowtarzalnego. Jeśli można byloby to powtórzyć, nie byłaby to sztuka. Kiedyś zrobiła dwa zdjęcia pokoju, będącego sceną spotkania kochanków, jedno natychmiast, drugie, kiedy ponownie weszła do pustej sypialni po kilku dniach, w zdawałoby się identycznych warunkach. To pierwsze wyraźnie różni się od drugiego, ponieważ, zdaniem autorki, ma taki ładunek emocjonalny, że odgadną to natychmiast również oczy postronnych ludzi.

Wybór ludzkiej postaci na zdjęcie to izolowanie jej w przestrzeni, wynik decyzji o przedstawieniu jej w izolacji. Choćby światłem. Aparat izoluje ludzi, oddziela od siebie często nawet wtedy, gdy mają oni z sobą fizyczny kontakt. A jednocześnie fotografia potwierdza ludzką obecność. Ta, bez względu na to, czy u Rubinstein mamy do czynienia z portretem, sceną, martwą naturą (martwa natura nie istnieje!) czy pejzażem, zawsze się na nich dyskretnie, niemniej łatwo wyczuwalnie zaznacza. Jeśli pójść śladem wypowiedzi samej autorki, przyjąć logikę przestrzennej metafory (wyjścia naprzeciw temu, co się fotografuje, spotkania), jeśli na jej zdjęciach wewnątrz spotyka się z zewnętrżnością, to szczególnego znaczenia nabierają motywy przechodzenia na drugą stronę, przekraczania progu.

Rubinstein często fotografuje schody, przejścia, pasáže. Wejścia i wyjścia. Korytarze bez ludzi. Drzwi i okna, na tle których jest uchwycona – lub nie – ludzka sylwetka. Na fotografii w Fontvieille z 1989 roku dwaj chłopcy wychodzą na zewnątrz z ciemnego wnętrza, oddzieleni białą półprzeźrystą zasłoną, jeden z nich znajduje się już po drugiej stronie. Lub inny chłopiec wbiegający z ulicy w pustkę otwartych na czernię drzwi (Nowy Jork 1970). Ludzką obecność sygnalizują „rekwizyty egzystencji”: to, co pośredniczy między zewnętrżnością a ciałem, co ma z nim kontakt, owe metonimiczne „przedłużenia” ciała: płaszcze, marynarki, inne ubrania, pantofle, pościel, wszelkiego rodzaju nakrycia, płótno, którym się owija,

w ogóle przedmioty, którymi się owija, jak plastikowa folia wokół kamienia nagrobego (który sam w sobie niejako zawarł już martwe ciało), obrusy. Łóżka, bez względu na to, czy w nich – lub na nich – ktoś siedzi lub leży. Oprócz przedłużeń ciała, pojawiają się też „zastępcy” w istnieniu – maski, lalki, rzeźby. Lub choćby fragmenty, obiekty, na których pęknięcia łatwiej (szybciej) zauważyć niż u portretowanych ludzi. I skrzyżowanie żywego z martwym, jak gra plam na pniu platana w Arles (1984), na który nałożone są oczy z częściowo zdartego plakatu.

We wspomnianej rozmowie Rubinstein zwierza się Horvatowi, że fotografując, chciałaby wytworzyć taką relację z przedmiotem, jak jej ojciec miał z graną przez siebie muzyką. On „stawał się” muzyką, a przez to wystawiał się na niebezpieczeństwo. I tu następuje ewokacja jednego z głównych tematów artystki. Kontrola, technika – owszem, ale trzeba je przekroczyć, wyjść poza nie, iść dalej. Artur Rubinstein jako muzyk odsłaniał się, stawał się podatny na zranienie, wystawiony na niebezpieczeństwo. „Podatny na zranienie?” – może idę trochę za daleko, „vulnerable” w potocznej mowie to chyba nieco mniej. *Vulnerant omnes...*

Konstrukcja, kompozycja, mimo że, jak podkreślają krytycy, tak wyszukana, nie jest przecież celem. Sama niejako pojawia się w celowniku Nikona (ulubione obiektywy autorki: 28 i 85 mm). Rubinstein chętnie wprowadza rozróżnienie między fotografowaniem prawym a lewym okiem. Siebie widzi zdecydowanie pośród prawoocznych. Analogicznie do lewo- i praworęczności – kiedy patrzymy na rzeczywistość, dominuje lewe lub prawe oko. „Ludzie lewooczni są często zainteresowani formą, ich obrazy odznaczają się zawsze wzorową konstrukcją i kompozycją, ale czasami nie ma w nich głębszej treści. (...) Prawooczni bardziej się chyba skłaniają ku treści, powiązaniom emocjonalnym i ekspresji.” Jeśli lewe oko jest domeną kompozycji, a prawe emocji, to przecież emocja nie wyklucza kompozycji, tylko inaczej ją ustanawia. Może idzie tu również o związaną z warstwą emocjonalną intuicję, która w mgnieniu oka rozstrzyga, co skadruje obiektyw aparatu.

Oko Ewy Rubinstein nigdy nie jest natrętne czy obcesowe. To oko współczujące. Nawet wtedy, kiedy fotografuje puste i surowe wnętrza.

Marek Kędzierski

Eva Rubinstein, córka Anieli Młynarskiej i Artura Rubinsteina, urodziła się w Argentynie, do wojny wychowywała się w Paryżu, potem w Kalifornii („w wieku siedmiu lat mówiłam w trzech językach”) i Nowym Jorku, gdzie w latach pięćdziesiątych próbowała szczęścia w balecie klasycznym. Jako aktorka występowała na Broadwayu m.in. w *Trzech siostrach*, *Dybuk*u i w sztuce na podstawie *Dziennika Anny Frank*, a po rozwodzie ze znanym obrońcą swobód demokratycznych, pastorem Coffinem, w 1968 roku zaczęła uprawiać fotografię. Miała niemal sto wystaw indywidualnych, jej albumy ukazały się w USA i we Włoszech, a ostatnio wydała dwa tomy w Polsce.

Prace Ewy Rubinstein przedstawiamy w wyborze Autorki.

Niektóre z nich weszły do tomu *Fotografie 1967-1990*, Wydawnictwo Kropka, Wrzesnia 2003. Rozmowa z Frankiem Horvatem w: *Entre Vues* Editions Nathan Images, Paris 1990. Informacje od Autorki z rozmów maj – październik 2004.



Fot. Elżbieta Lempp

Ewa Sonnenberg

Elementarz powitania świata

„Z tego królestwa pochodzą wszystkie muszelki”

Marco Polo

To najprzyjemniejszy moment

Zastanawiać się od jakiego wersu zacząć wiersz

Mów zawsze z zamkniętymi oczami

Mów szeptem

Mów niepostrzeżenie

Mów mój świecie przeobrażony w inny świat

Świat nietknięty ręką człowieka

Dziękując przyrodzie

Dziękując ptakom i drzewom

Że są że były obecne

Cisza –
Postępuj podobnie

To najpiękniejsza chwila
Nie wiedzieć od jakiego słowa zaczyna się świat

Otworzyło się niebo i ujrzała czas, który śpieszył na spotkanie Drogi

Co to znaczy dostrzec Nauczyciela?

Ujrzeć go w każdej przyczynie?
Umieć policzyć niepoliczalne?

Do końca życia nie wypowiedzieć ani jednego słowa?
Stać się sobą zadziwiając własne myśli?

Co byś chciała o mnie napisać?
Co bym chciał ci opowiedzieć?

Stałam nad brzegiem rzeki, którą wiatr zamienia w morze.
Nad rzeką, w którą zostałam zamieniona, raz jeszcze opowiadam o Tobie
i raz jeszcze
Płynę z jednego brzegu na drugi; w tym momencie stałam
nad wszystkimi rzekami ziemi.

Naraz wszystko stało się niewystarczające, nieme,
Tak jakby uczucie mogło przerosnąć to, co zastane.

Niebo jest nieskończenie rozległe
Każdy znajdzie pod nim schronienie

O drugiej nad ranem pod drzwiami zjawił się konik polny
Przeskoczył na moje błękitne sandały

Sandały, w których wciąż idę do Ciebie

Myślała, że jest w połowie Drogi, w pewnym momencie zdała sobie sprawę,
Że jeszcze nie jest na jej początku

Nadlatują czarne ptaki z gwiazdą w dziobach
I wtedy staje się dzień

Dni zamierzone i dni niezamierzone
Łatwość niedopowiedzeń i trudność tego, co powiedziane wprost

Każdy dzień poniżej, każdy dzień wywyższa

Jesteśmy więźniami?
Ale są to takie kraty przez które mogą przefrunąć ptaki

Odzyskać siebie by przypomnieć o sobie innym
Odnaleźć siebie by przywołać z najdalszych stron Ciebie

Jeśli to nie Ty
Niech zatrzymają się zegary
I zaczekają chwili
Gdy to będziesz Ty

Jeśli to nie Twoje słowa
Niech zamilkną strony książek
Ich liczba przybierze kształt zera
Okrągłe i gładkie jak kamień na dnie jeziora

Chmury z zamkniętymi powiekami powędrowały za nami
Te chmury mają imiona: Delikatny Wiatr, Błyszcząca Magnolia
Taniec Snu i wiele innych imion, których znaczenie rozumie niewiele osób

Wierzchołki drzew są jak twoje koniuszki palców
Rozpędzają się by pochwycić odrobinę wiatru
Rozplątać przeszłość w jasne i przyjazne Teraz

Rozmawiam z tobą słowami innych ludzi
Im więcej marzeń tym dłuższe rozmowy

Pokrzywy zostawiają na ciele mapę niebezpiecznych ścieżek
Jaskółka zawieruszona w powietrzu pilnuje twojej Drogi

W oddali cykanie świerszcza podpowiada co dalej
Deszcz świetlików leczy bezsenne oczekiwanie

Czym jest bezsenność?
To łapanie motyli bez siatki na motyle

Która bezsenność jest lepsza?
Który motyl jest ci najbliższy?

Gdy po raz pierwszy odważyła się o nim powiedzieć
Jej serce znów wybiegło mu na spotkanie

Nie umiem Cię kochać i nie umiem nie kochać
Nie potrafię Cię pragnąć i nie potrafię nie pragnąć
Nie umiem być z Tobą i nie potrafię być bez Ciebie

Są gesty, które mieszczą całe piękno świata
Są chwile, które są całym światem

Kim jest odczarowany promień słońca?
Kim jest ten, kto umie wsłuchać się w każdą naszą myśl,
westchnienie, słowo, smutek?

Kim jest zaczarowany w błękitne światło świt?
Nazywa się Poetą, choć nie napisał ani jednego wiersza?

Jeśli umiesz wyobrazić sobie poranki, które są muzyką naszych ciał
Potrafisz napisać wiersz, który leczy dusze

Słyszę dźwięk spadających kwiatów
Drzewa odsłaniają serce i ukazują Twarz

Jeśli to wiosna to znaczy, że należymy do siebie
Opisujemy każdy drobiazg, który przypomina nam o naszym istnieniu

Jego ręce: dwa kruki karmiące oczekiwanie
Dwie lampy, którymi oświetla dzień po dniu

Lub może dwa lampiony płynące wolno po rzece
Jej palce tak jasne, że zawstydziły słońce

Spoglądamy do wewnątrz na wiele dziwnych słów

Czegoś szukamy, ale nie wiemy czego
Coś odnaleźliśmy, ale nie wiemy co

Czy stawiać znaki zapytania?

W każdym zdaniu ukrywa się inne zdanie
W każdym słowie jest niezliczona ilość nie zapisanych książek

Rysunek na szkle:
Pojedyncze kolory i wielokrotność kształtu
Samotność stanu i wielorakość motywu
Jedno tłumaczone na wiele sposobów i języków

Ogród: rozsypane płatki róż
Mężczyzna opowiada o kobiecie:
Jej głos. Usłyszałem go dopiero wtedy gdy zgasło światło
Wtedy dopiero ją rozpoznałem

Dlaczego tęskni się za kimś, kogo się właściwie nie zna?
Żdźbła traw poruszają się. Nieustannie

Wieje wiatr
Czy to zagadka?

Odgadują miasto ci, którzy w nim nie mieszkają
Wypowiadają imiona tych, których nigdy nie spotkali

Co powie o nas świat wyssany z mlekiem matki?

Kto zna odczucie liścia
Zna odczucie korzenia

Kto usłyszał nadlatujące ptaki
Zna ciężar każdego z ich skrzydeł

Kto usłyszał
Ten czyta ze spojrzenia zwierząt

Niebo i przyroda zawsze prawdomówne
Do bólu szczere i do najwyższego szczęścia bezpośrednie

Przez to, co nieoswojone możemy ośwoić to, co w nas najtrudniejsze

Czym różni się umowność od prawdy?
Bycie mądrym to wiedzieć zbyt wiele czy nic nie wiedzieć?

Im więcej ma się do powiedzenia tym mniej się o tym mówi

Cykanie świerszczy to fakt czy prawda?
Czy wiesz o czym cykają świerszcze?

Czarna ważka pośrodku miasta to rzeczywiste czy nierzeczywiste?
Czy wiesz kto ją tutaj zaprosił?

Wierzbry płaczące to poetki zamienione w drzewa
Czy wiesz, że niekiedy może pomóc zaledwie jeden liść

Czy wiesz, że niekiedy może pomóc jeden wiersz

Z twojego głosu wypływam na wolność
Jego brzmienie jest jak kwitnące osty
Rysują obłok ciała i sprowadzają na ziemię
I słuchasz siebie zdziwiony, że zamieszkałam
W każdym Twoim słowie

Zresztą będzie inaczej:

Dla ciebie zostanę złodziejem

Złodziejem twoich dni i nocy

Wykradnę złotawą biel jaśminów

Ukryjemy się w zapachu przemienieni w wiosnę

Zaskoczy cię piękno wypowiedziane w przedziwnie prosty sposób

Pocałowałem dziś powietrze bo pachniało tobą

Pocałowałam kwiat magnolii był jak Twój uśmiech

Niekiedy kolory są głośniejsze od słów

Przyjaciół to ktoś, kto pozwala ci być takim jakim jesteś

I nie pozwala ci upaść

Nie zmiata pyłu sprzed twoich stóp.

Ale razem z tobą stąpa po tych samych przeszkodach

Czy już spotkałeś tak ciche, a jednocześnie otwarte serce?

Obojętne a jednocześnie żarliwe?

Który deszcz o tym nuci?

W którym z deszczów rozpuściłeś barwę Swojego głosu?

Co bardziej upomina się o bliskość:

Dusza czy ciało?

Czy wiesz, że noce spędzane przy pisaniu są również nocami miłości?

Tyle kartek pod stopami, żeby choć na jednej z nich odnaleźć

To jedno słowo od prawdziwego Ciebie

Pisać by lepiej się poznać?

Rozmawiać by lepiej poznać rozmówcę?

A może odwrotnie

Pisać by poznać tego Kogoś
Rozmawiać by lepiej poznać samego siebie

Kto podarł sekretny liścik?
Kto napisał Elementarz Powitania Świata?
Kto powitał świat?

Czy umiałbyś odnaleźć mnie na tym odległym skrawku ziemi?

Twoje usta przeglądają się we mnie
I upodabniają coraz bardziej mnie do Ciebie

Z muszli Twojego ucha wychodzę na brzeg słowa

Kochane dobieranie słów, w których za każdym razem mam pewność Ciebie

Jeśli coś zostanie to tylko te słowa
Układane dla zabawy, dla zabawy bardziej poważnej niż świat.

Ewa Sonnenberg

CYTATY Z KWARTAŁU

„23 III 1958

Najgorsze jest w moim życiu – a zwłaszcza na starość – to, że nie mam się do kogo przymierzyć. Niewątpliwie jestem postacią na miarę największą. Ale wyrosłem jak olbrzymia pieczarka przykryta małym słoikiem, stąd wszystkie zniekształcenia. Zamiast pięknego, wielkiego grzyba, szklanka napełniona białą masą. Potrawę z tego można zrobić, ale bez smaku. Kiedy się widzi postać Goethego, czy nawet postać Gide’a rozumie się, że oni mogli rosnąć swobodnie. Podczas kiedy moja indywidualność cierpi zawsze na jedno: na prowincjonalizm. Na to, co mi nie dało wykształcenia, na to, co i nie dało wykorzystania wszelkich moich możliwości. U Goethego jest ta cudowna równowaga pomiędzy człowiekiem i artystą. Gide poświęcił wszystko dla swojej twórczości literackiej, którą uważał za najważniejszą rzecz na świecie. Nawet Tolstoj mógł dać swobodę swojej potrzebie moralizatorstwa, tworzenia zespołów moralnych – porzuciwszy sprawy estetyczne; zawsze i w jednym i w drugim skrzydle swego życia odpowiadając na pytanie: co robić? Dlaczego moją indywidualność muszę uważać za zmarnowaną? Dlatego, że dla mnie nie ma nic naprawdę ważnego. Nie wierzę jak Tolstoj, jak Gide, iż w moim dziele będę żył wiecznie. Wiem, że moje dzieło jest przemijające – gdyż nie może być podstawą żadnej wiary (...) Po prostu pustka wewnętrzna mnie zmarnowała. Wyrosłem jako pieczarka – później okazało się, że purchawka. Nie Gide, nie Tolstoj, ale Iwaszkiewicz. A to jest bardzo mało.

Czy mogłoby być więcej? Gdybym był Anglikiem, albo jak Conrad pisał po angielsku? Gdybym po rewolucji został w Rosji i pisał po rosyjsku? Prawdopodobnie nie. To jest jakiś brak wewnętrzny i te zewnętrzne niesprzyjające okoliczności tylko ten brak podkreśliły.

Jakiś brak siły (moralnej?), jakiś brak doskonałości (wewnętrznej?) są jak pęknięcia na kryształach moich «dzieł». Jak w dniu jubileuszu, tak i dziś mam żalotne uczucie, że nic nie napisałem.”

Jarosław Iwaszkiewicz, fragment *Dzienników*,
„Gazeta Wyborcza”, 11–12 września 2004

*

„Romantyczna koncepcja poety obnażającego swoje rany, opowiadającego o własnym nieszczęściu, ma dziś wielu zwolenników mimo przemian stylów i gustów literackich. Uważa się powszechnie, że świętym prawem artysty jest jego ostentacyjny subiektywizm, manifestowanie obolałego «ja».

Gdyby istniała szkoła literatury, jednym z podstawowych ćwiczeń powinno być opisywanie nie snów, ale przedmiotów. Poza ręką artysty rozpościera się świat ciężki, ciemny, ale realny. Nie należy tracić wiary, że można go ogarnąć słowem, wymierzyć mu sprawiedliwość.

Bardzo wcześnie, bo prawie na początku mojej pracy pisarskiej, doszedłem do przekonania, że muszę zdobyć jakiś przedmiot poza literaturą. Pisanie jako ćwiczenie stylistyczne wydawało mi się jałowe. Poezja jako sztuka słowa doprowadzała mnie do ziewania. Zrozumiałem także, że nie mogę długo żywić się wierszami innych. Musiałem wyjść poza siebie i poza literaturę, rozglądnąć się po świecie, by zdobyć inne sfery rzeczywistości.

Filozofia dawała mi odwagę stawiania pytań pierwszych, zasadniczych, podstawowych: czy świat istnieje, jaka jest jego istota i czy jest poznawalny. Jeśli można z tej dyscypliny zrobić jakiś użytek w poezji, to nie tłumacząc systemy, ale odtwarzając dramat myśli.

Do historii zwracam się nie po to, żeby czerpać z niej łatwą lekcję nadziei, ale aby skonfrontować swoje doświadczenie z doświadczeniami innych, aby zdobyć coś, co nazwałbym uniwersalnym współczuciem, a także poczucie odpowiedzialności za stan sumień.

Stare jest marzenie poety, aby jego utwór stał się przedmiotem konkretnym jak kamień czy drzewo, by tworzony w podlegającej ciągłym zmianom materii języka, uzyskał byt trwały. Jednym ze sposobów wydaje mi się wyrzucenie go daleko poza siebie, zatarcie związków, jakie łączą go z twórcą. Tak rozumiem zalecenie Flauberta: «artysta powinien ukrywać się w swojej twórczości, podobnie jak Bóg nie ukazuje się w przyrodzie»."

Zbigniew Herbert, *Dlaczego klasycy?*

„Zeszyty Literackie”, nr 3/2004 (87)

*

„25 września 1957 roku

(...) Jeśli się nie wierzy to: nie wierzy się rano i wieczorem, przy obiedzie i przy warsztacie pracy, na spacerze i na zebraniu, w pociągu i samolocie, po obiedzie i przebudzeniu, przed zaśnięciem. Nie wierzy się ciągle, bez przerwy. Czytając i pisząc. Nie wierzy się – rozmawiając i planując podróż. Przy wyjeździe i przy powrocie. Obierając jabłko. Nie wierzy się wiosną, latem, jesienią i zimą. Nie wierzy się, pomagając ślepcowi przejść przez ulicę, dając żebrakowi złotówkę. Piszę podanie o wyjazd, robię zdjęcia, obiecuję napisanie czegoś tam – i nie wierzy się. Ciągle, nieustannie. Niewiara siedzi nie tylko w głowie. Jest też w sercu, w rękach, nawet w nogach. Otacza, otacza, zaciska. Płaczesz i śmiejesz się, gniewasz się – bez wiary. A więc pusty, biedny (...) Ci, którzy otrzymali dar wiary, są bogaczami.

31 marca 1958 roku

(...) U spowiedzi byłem ostatni raz w roku 1938 (chodziłem do czwartej klasy gimnazjum «nowego typu»), a może w 1939... nie pamiętam. Przestałem wierzyć w «grzechów odpuszczenie» i przestałem chodzić do spowiedzi (...)

Wszystko, co piszę, krąży tylko dookoła. Nie mogę otworzyć. Nie mogę wejść. Czyżby wejście było zarezerwowane tylko dla mistyków i szaleńców, dla dzieci? Jestem fałszywym dzieckiem. Nawet jeśli mam najlepsze chęci. Dzieci, wariaci, żołnierze – wejście za pół biletu.

Nie. Nie mogę tak! Nie mogę. Jest w tym coś złego. Coś się zepsuło. Czy świat? Czy ja?

Dalej. Wstawaj. Rusz się. Służ.

Ale oni mieli Pana. My jesteśmy bez Pana. Możemy służyć i możemy odejść? Gdzie?

Chciałem napisać kilka wyzwisk pod swoim adresem... ale wystarczy, że często je powtarzam. Teraz też.

Chciałbym być uczciwym i dobrym człowiekiem, M. w Paryżu powiedział mi: «Właśnie kiedy chcemy być uczciwi, często popełniamy największe świństwa...». Wiem, co miał na myśli, kiedy tak mówił. Biedny. Ale czy właśnie nie był uczciwy, że tak postąpił? Czemu się tłumaczy? Przed kim?

Stare, zeszlowieczne historie. Wypełniaj obowiązek! To jedyna rada. Wypełniaj swój obowiązek.

22 kwietnia 1958 roku

(...) Chcę jeszcze przepisać te słowa, chcę je utrwalić w sobie:

«... a gdy pościcie, nie bądźcie smutni jako obłudnicy, którzy wyniszczają twarze swoje dla oka ludzkiego. Powiadam wam: wzięli już zapłatę swoją. Ale ty, kiedy pościsz, namaść głowę twoją i umyj oblicze twoje, aby twój post nie ludziom był znany, ale Ojcu twemu, który jest w skrytości: a Ojciec twój, który w skrytości widzi, zapłaci tobie...».

Ależ i jedna, i druga postawa jest niezbyt moralna. Ta druga oczywiście trudniejsza. Ale obydwa wezwania są zwrócone do wierzących. Ja nie wierzę. Współcześni ludzie nie wierzą.

Oni myślą, że wierzą (...) Moja sytuacja jest taka: mogę pościć w skrytości, mój post nie będzie znany ani ludziom, ani Ojcu. Nie mogę liczyć na to, że Ojciec mi zapłaci.

Moi znajomi skłonni są dużo mówić o tym, że poszczą. Mówią o swoich trudnościach, kłopotach, krzywdach, mówią o tym, jak się męczą... wyniszczają swe twarze dla oka ludzkiego, robią tak, ponieważ nie wierzą w Boga. Nawet o najmniejszym cierpieniu, niedostatku trąbią na cały świat, «cierpienie» opłaca się im. Cierpienie w ukryciu. Nie. Chcą osiągnąć korzyści z cierpienia, z postu.

Jaka jest sytuacja człowieka, który nie wierzy w Boga, ale jest człowiekiem... wierzącym?

Jest człowiekiem, który pragnie wiary. Przez wszystkie lata niewiary pragnę wiary. Dążę do wiary. Muszę pościć w ukryciu. Dążę do tego. Jedynym człowiekiem, przed którym odkrywałem swoją smutną twarz, była Matka. Czasem J. Doszedłem do wniosku, że i Jerzemu powinienem ukazywać twarz pogodną. Mam u znajomych opinię pogodnego, a nawet wesołego człowieka. To dobrze. To świadczy, że poszczę w ukryciu. Poszczę w ukryciu, nie licząc na zapłatę. I nie ma w tym wielkiej zasługi. Czy mam siedzieć przy czarnej kawie i opowiadać o swoim «męczeństwie»?"

Tadeusz Różewicz,

*Jak powstała moja „poetyka” (Kartki z gliwickiego dziennika),
„Odra” nr 7-8/2004*

*

„Czesław Miłosz: Przyznam się, że moje odczytanie w zakresie teologicznym czy religijnym jest bardzo duże i jakoś tak empirycznie doszedłem do wniosku, że wszystko to, co się sprzeciwia chrześcijaństwu, wszystkie te ruchy są skazane na zniszczenie. To nie jest z mojej strony optymistyczne stwierdzenie, tylko ja tak empirycznie w życiu przekonałem się, że tylko prawda ma trwałe życie. Kłamstwo, prędzej czy później, ginie, rozpada się. To jest niesłychanie optymistyczne, ale tylko z pozoru, dlatego że zwycięstwo kłamstwa może trwać lat 500. Dzisiejsza sytuacja chrześcijaństwa! Ja bym raczej sądził, że pod wpływem nacisku na ludzką wyobraźnię nowoczesnej nauki, trudności wierzenia są tak ogromne, że chrześcijaństwo musi się cofać dlatego, że te masy, które do niedawna były albo jeszcze są analfabetami, dostępując kulturalnego wtajemniczenia, to znaczy ucząc się czytać, pisać i mogąc jakieś teorie na najprostszym poziomie zrozumieć, te masy nie są potencjalnie materiałem dla chrześcijaństwa. Właściwie mówiąc, to co się stało w Rosji, czy w dużym stopniu we Francji z powodu innych czynników, to wydaje mi się jakieś wzorcowe dla całej planety, być może. Natomiast po osiągnięciu pewnego pulapu, pewnego przygotowania, to jest dość długi proces na wyższym poziomie intelektualnym, widać nicość tych wszystkich doktryn, które na poziomie popularnym są tak ponętne, całego tzw. naukowego poglądu na świat. Widać pustkę tego.

Ks. Józef Sadzik: (...) Gdzie jest dwóch albo trzech w imię moje zgromadzonych, tam Ja jestem pośród nich. To jest ta podstawa do rozmyślań Pawła w *Liście do Rzymian*. To spojrzenie na Kościół jako na Ciało Chrystusa. W pewnym sensie ludzie nie należą do Kościoła, ale tworzą go. Jeżeli tego się nie rozumie, a niestety często się nie rozumie, to wtedy się stara zgromadzenie liturgiczne upodobnić do jakiegoś pikniku, zabawy czy rozrywki. Wtedy się tworzy cyrk dramatyczny, który jest zawsze na krótką metę i nigdy nie zdaje egzaminu. To jest bardzo ciekawe, że zawsze wszystkie te eksperymenty ekstrawaganckie bardzo szybko ludzi nudzą, że jest jakiś instynkt w człowieku wierzącym, który sprawia, że go to nie interesuje.

Czesław Miłosz: Myślę, że wielkie mityngi polityczne, „partajtagi” na przykład hitlerowskie czy też wielkie mityngi komunistyczne są parodią i ten parodystyczny, diabelski charakter tego jest dokładnym przeciwieństwem liturgicznej jedności. Nasz XX wiek między tymi biegunami być może jest rozpięty. To jest moje własne doświadczenie jakiejś potrzeby. Bo

tak – ja jestem szalenie indywidualistyczny, egoistyczny, stale skłócony ze wspólnotą na tle ogromnej wybredności i tej *exigence*, która jest zawodowym zboczeniem i ja, gdybym nie miał tego drugiego bieguna, tego zrywania się rano i chodzenia – jakbym był dewotem – co niedziela do kościoła i gdybym nie miał tego poczucia bycia tu z tymi ludźmi, przez chwilę może poza tym obrębem nie moglibyśmy się zupełnie dogadać albo porozumieć, to bym jakoś ugrzązł w tej swojej izolacji i samotności. Być może jest to problem ogólny ludzi nowej, techniczno-przemysłowej cywilizacji, ludzi izolowanych (...)

Jeżeli jest prawdą, że upodobanie do tajemnicy jest znamieniem poezji, tak jak mówił Oskar Miłosz, to tutaj (w Biblii) miałem samą tajemnicę. Poezja – wtedy to się nazywało rymowany, metryczny wiersz, a tutaj raptem tego brak. Tego może nie nazywałem poezją, ale mnie to fascynowało. I myślę, że jakaś wrażliwość językowa mnie do tego bardzo ciągnęła. Tak, że ja tam zresztą widzę źródła moich poetyckich natchnień. Właśnie w Biblii i, jak napisałem w *Rodzinnej Europie*, w *Nieszporach* szczególnie, w majowym nabożeństwie. Później zetknąłem się z Oskarem Miłoszem, który wywarł na mnie znaczący wpływ. On przecież był absolutnie człowiekiem Biblii. Cała jego twórczość to ciągle obcowanie z Biblią, ciągle komentarze, egzegeza Biblii. Czyli – Biblia dla mnie, łącznie z tymi formami literackimi, które z Biblii pochodzą, ciągle była niesłychanie atrakcyjna. Jeżeli weźmiesz moją poezję, nawet przedwojenną, to tam bardzo silne są biblijne konotacje (...) Dzięki Oskarowi Miłoszowi zetknąłem się z całą interpretacją symboliczną Biblii (...) Dla mnie Biblia była bardzo ważna. Zresztą poezja moja o tym świadczy.

Ks. Józef Sazdik: Ale «chwycimy byka za rogi». Czy istotnie uważałeś, że w Biblii następuje pewne radykalne odkrycie czegoś, czego nie ma gdzie indziej? Mówiąc trywialnie: czy sądziłeś, że Pan Bóg coś tam przekazał dla człowieka? Czy tylko fascynowała ciebie forma literacka, sakralność tej księgi?

Czesław Miłosz: Nie, raczej to pierwsze. Znowu odwołuję się do lat formacyjnych, młodościowych, gdzie Oskar Miłosz mówił i pisał, że nie ma żadnej innej księgi, która by mogła Biblii dorównać. Bo jest to księga sakralna, jest to księga z natchnienia Bożego. Wszelka inna poezja jest o ileś tam stopni niżej. On bardzo wysoko cenił *Fausta* Goethego, Dantego, ale to są wszystko stopnie niżej, nic nie mogło się równać. Więc ja, bardzo będąc wrażliwym na jego nauki, przyjmowałem to już jako młody człowiek.

Ks. Józef Sazdik: Ale przyjmowałeś z przekonania, nie z autorytetu Oskara Miłosza?

Czesław Miłosz: Nie, z potrzeby hierarchii, ponieważ u mnie była bardzo duża potrzeba hierarchii i autorytetu (...) Uważałem, że tylko Biblia najwyższej, a potem są wszelkie inne gatunki mowy.

Ks. Józef Sadzik: Tak sądziłeś?

Czesław Miłosz: Tak sądziłem. Nie znaczy to, że u mnie jasno łączyło się z poczuciem, że to jest księga, gdzie to jest Słowo Boże (...) Jeszcze w związku z Biblią. Wydaje mi się, że problem czasu, rozmyślanie nad czasem ludzkiego życia i nad czasem historii jakoś i pchają do Biblii i tam znajdują pokarm. Bo to jest sprawa mijania tych pokoleń jednych po drugich. Kwestia względności czasów w tym sensie, że to co się nam wydaje długie, jest właściwie krótkie. Dostatecznie dużo czytałem i mogę powiedzieć, że banalnie, teologicznie jest to sprawa historii świętej, całej historii, jako tej tkaniny metafizycznej. To, co Dostojewski tak doskonale rozumiał (...)

Ks. Józef Sadzik: Mówiłeś i pisałeś wielokrotnie, że w twoim życiu liczyła się tylko sprawa największa. Szkoda ci było czasu, nie zwracałeś uwagi, byłeś napięty ku czemuś, co jest największe (...)

Czesław Miłosz: To niezupełnie jest tak dlatego, że wszystko to co napisałem, co piszę, ja odczuwam jako margines, jako funkcję jakiejś pogoni. To nie jest to.

Ks. Józef Sadzik: Tak? Oczywiście, ale musisz gonić.

Czesław Miłosz: Muszę gonić, ale to za czym gonię, jest prawdopodobnie tym samym, co ciebie rozplómenia. Przecież ludzie mogą pod rozmaitymi nazwami gonić to samo (...) Skala ludzka jest ogromna, od najgorszego do najlepszego, od pełnej słabości do gigantycznej siły – rozpiętość kolosalna (...) Jedyne sens odkupienia, tak ja to rozumiem – może się mylę – to jest przyjęcie, że w Chrystusie zrealizowała się natura ludzka w swojej największej skali. Czyli nastąpiła realizacja natury ludzkiej w swoim maksimum. Czyli, jeżeli natura ludzka raz się zrealizowała w swoim maksimum, to znaczy, że zbliżanie się do maksimum jest możliwe.

Ks. Józef Sadzik: Że wszyscy jesteśmy na tej drodze, chociażby bardzo daleko i słabo.

Czesław Miłosz: Oczywiście wątpliwości. Ja jestem w porównaniu z tobą na pewno dziesięć razy słabszy, dziesięć razy bardziej wątpliwy, dziesięć razy gorszy, ale absolutnie dla mnie jesteś ty właśnie elementem stabilności świata, przyjaźń z tobą. Mówisz o poszukiwaniu wartości. Ludzie, ci, którzy niby nie należą do uniwersalności Kościoła, szukają pod rozmaitymi nazwami, są wstydliwi, nie mają języka. To jest sprawa przede wszystkim języka.

Jest ta całość laicka, która się strasznie kompromituje, w XX wieku coraz bardziej, ale ludzie są objęci językiem. Przemawiają w jej języku. Czy słowo, czy muzyka, czy farba, kolor, rzeźba – wszystko jest objęte tym językiem świata. To, co święty Paweł nazywa: świat. To jest świecki ten świat. Ale pod tym kryją się te aspiracje, jak powiada Oskar Miłosz, mas pracujących, pełnych wewnętrznej udręki, poszukiwanie wartości (...) Jeżeli nie będę postulować sensu moralnego w świecie, to to co piszę, nie ma żadnego znaczenia, to co robię, nie ma żadnego znaczenia (...) Jeżeli uważam się za chrześcijanina, to myślę, że z powodu mojego głębokiego, absolutnego pesymizmu. Z twojego punktu widzenia nie wiem, jak to ocenisz, możesz to ocenić bardzo negatywnie. To znaczy, że doszedłszy na przykład do dna rozpacz, człowiek mówi sobie, to wszystko jest tak bolesne i tak skazane na zniszczenie, tak podminowane, że w tym zostać nie można. Zawsze dla mnie okrucieństwo natury było podstawą. Okrucieństwo natury i całego naturalnego ludzkiego sposobu życia. Przecież pomiędzy ludzką filozofią i aspiracjami ludzkiego umysłu jest tak ogromna przepaść, olbrzymia. Pomiedzy świadomością i pomiędzy funkcjonowaniem fizjologicznym. Dla mnie dualizm, który ma rozmaite objawy w ciągu wieków, jest ugruntowany głęboko w samej naturze rzeczy. Moje instynkty są bardzo manichejskie, niewątpliwie. Ale ten podział na ciało i duszę, którego dzisiaj tak się nie lubi, jest – że tak powiem – umotywowany empirycznie (...) Dla mnie ten bunt przeciw naturze, przeciwko temu, czym jest życie ludzkie łącznie z upływem czasu, łącznie z czasem, który nas niesie do śmierci, że dla mnie ucieczka od tego, nie w tym sensie, że oczekiwanie palmy w niebie, inny świat, świat dusz wyzwolonych z ciała, nie o to chodzi. Tylko budowa nad tym światem natury innego świata, który niech będzie nazwany światem kultury, ale ponieważ dla mnie świat kultury żyje tylko światłem pochodnym, nie ma w sobie sam światła, to stąd u mnie jest religia (...) Co kultura, co jakieś tam wiersze. Naprawdę, to są marginesy. Człowiek coś tam robi, ale wie, że to nie jest to, ściga coś, idzie za czymś, szuka czegoś. To jest ważne, co mówię, że niemożność zgodzenia się na ten zasadniczy absurd ślepej konieczności fizjologicznego istnienia człowieka, więc w górę. Ale ta sfera, w której niektórzy ludzie żyją i znajdują: więc kultury, więc nauki, więc sztuki itd., to jest dla mnie oczywiście sfera zależna. Czyli musi się dalej, wyżej (...) Miałem często poczucie, że jestem myszą w ogromnym serze. To znaczy ten gmach kultury ludzkiej, te niezliczone ilości książek, idei, pomysłów, obrazów, cała historia intelektualna ludzkości – to jest ten olbrzymi budynek, ten wielki ser. Tylko,

że jeżeli jest oświetlony jakimś światłem, to jest szczególna mysz, która chce, żeby ser był wewnątrz oświetlony w dodatku. Światło to nie bije z samego siebie. Tu dochodzimy do ciekawych i istotnych rzeczy. Wszystko to jest wspaniałe, ten cały ser, jeżeli jest rozumiany jako dążenie, jako bezustanne dążenie, aspiracja, a nie stworzone dzieła, książki, rzeźby, bo jeżeli tak patrzeć na to, to one są martwe (...) Ja dzielę wszystkie zjawiska kultury na takie, w których jest respekt i w których brak respektu. Ja bym powiedział, że mam skłonność znów manichejską, dualistyczną, dzielenia na dobrych i złych, dobre duchy i złe duchy. Rozumiem, że Sartre musiał wypaczyć Heideggera, bo u niego nie ma krzty respektu. Respektu dla bytu, dla tajemnicy, dla sakralności (...) Dla mnie wszystkie dzieła, które są pozbawione tego wymiaru, są zdecydowanie jakieś podrzędne (...) Wyobraźmy sobie, że wszystko co przekazuje Biblia, jest złudzeniem, to twoja rola jako księdza katolickiego jest najwyższa w świecie kultury, jeżeli wszystko odrzucić. Jeżeli – jak powiada Dostojewski – Chrystus umarł i nie zmartwychwstał, ludził się – no, w każdym razie, jeżeli weźmiemy cały gmach kultury, to i tak twoje miejsce jest «nad». Bo to co mówi Heidegger, niewątpliwie jest prawdziwe – poszukiwania tego bytu. Cały świat kultury istnieje tylko przez to, a ty jesteś tym pasterzem, pasterzem bytu, to i tak jesteś wyżej niż wszyscy razem poeci i malarze.”

Wywiad pochodzi z *Teki księdza Sadzika*, został zarejestrowany na taśmie magnetofonowej i opublikowany w internetowym czasopiśmie „*Recogito 30*” pod tytułem *Obecność chrześcijaństwa*, patrz: www.recogito.pologne.net.

Anna Błasiak

Cykl niedzicki

1.

Za oknem wciąż ten sam
wiatr od gór,
a na ścianie wciąż ta sama
dama w czepku biedermeier.

Nawet gdyby wpadł do środka
nie przewiałby jej ze ściany.

2.

Stojąc na wzgórzu koło Celnicy
dostrajałam się do drzewa.

Anna Błasiak, ur. 1974, historyk sztuki, tłumacz; publikowała w „Więzi”. Mieszka w Londynie.

Nie pomagał jęk pily z oddali
a jednak.
Strach pomyśleć jak byłoby w ciszy.

3. ROKOKOWE ŁOŻE

Kościstą biel
przełamała mięsistymi złoceniami ręka szaleńca.
Nie bój się, mówiłam,
to tylko łóżko.
W nim się śpi.

4.

Zaświeciło nagle słońce nad tobą
a teraz kropi.

Nie znasz dnia ani godziny
Celnico.

5.

A gdyby tak wspiąć się do góry
spiralnie toczoną nogą fotela?
Dokąd prowadzi
zawiłość złożonego rocaille'a nad głową?
I miękka linia zwieńczenia kredensu?
Co to wszystko znaczy?
Zachodzę w głowę odchodząc
w sen.

6. POKÓJ NR 8

Krzywizna oparcia kanapy
od kształtów przewieszonych
panien. Jedna wyżej.
Przy trójnożnym stole
trzy osoby. Jak wiadomo.

A parawan ma cztery skrzydła,
nie wiedzieć dlaczego.

Łóżka z nogami kręconymi
(zawrót głowy).
Lustro nowe.
Niestety. Odbija.

7.
Krzywizna wycięcia zaplecka –
– twoje ciało.
Małżowinowa brodawka.
Rocaille urastał w palce tklive.

Czułam je
leżąc w łóżku.
Chcę tu zawsze
spać.

Anna Błasiak

Jacek Karolak

Konstancja Mozart szuka grobu Wolfganga Amadeusza

Przeczuwałem, że nie było to zwykle zamówienie.
Te dukaty dziwnie brzmiały w moich dłoniach,
jakbym słyszał strojenie instrumentów,
a może to moje kości rozpoczynały
wieczny odpoczynek?

Zdawało mi się, że zimowy, ciemny Wiedeń,
majączył za oknem jak zacierające się rysy
młodej, kobiecej twarzy i słuchał
mojej modlitwy.

Jacek Karolak, ur. 1970, autor trzech tomików wierszy, ostatnio: *Źródło* (2002). Mieszka w Warszawie.

Lepkimi płatkami śniegu powtarzał:
Chryste zmiłuj się nad nami,
Panie zmiłuj się nad nami.

To tylko pobielony sufit pokoju i głosy
przyjaciół, a ja słyszałem
monumentalny, niebiański Dzień gniewu,
jednak było w nim coś pocieszającego,
może nawet radosnego?
A Dzień płaczu?
To szesnaście ostatnich taktów,
szesnaście ostatnich lat
Konstancjo.

Joanna d'Arc

To nie drewniany krzyż, już niemodny,
jednak spłonąć mógłby równie szybko
jak stos. Nawet pora roku była ta sama,
wiosna!

Plomienie inaczej ranią niż gwoździe.
Może to szybszy sposób przekonywania,
szkoda tylko, że ostateczny,
nie można już nawrócić się.

Jedynie odwrócić głowę lub spojrzeć
do góry, na zgrzebny habit chmur,
którym okryją już po drugiej stronie,
tej wietrznej, węgielnej.

Podobno to kara, za zapatrzenie się
w Boga, prosty język miecza
i pancerz okrywający piersi
zamiast odzienia chłopki.

A może za czary i rozpustę,
te krótko ścięte włosy jak u mężczyzny,
choć syn cieśli miał długie
i nie nosił miecza.

Retrospekcja

Tymi uliczkami wyciętymi wśród gęstych krzewów
okrytych lejącym się, zielonym sukniem
z żółtymi i białymi girlandami kwiatów;
uliczkami ulepionymi jak z szarej plasteliny
wśród rdzawych domów, spacerował twój ojciec
w dżinsowej kurtce, którą tak bardzo lubieś.
Tam była droga do domu – ciepłego i bezpiecznego.
W twoim pokoju wierne zabawki o wytartych futerkach
strzegły dzieciennego snu o dorosłości.
Zimą po śliskich schodkach wdrapywałeś się
na wiadukt, z którego unosił cię do przedszkola
ośnieżony tramwaj jak srebrny statek kosmiczny.
W pobliżu, za szachownicą podwórka, gdzie
zimowały figury drzew, huśtawek i drabinek,
biegły tory kolejowe – granica twojego świata,
której strzegła mama z kuchennego okna.
Teraz, gdy jedziesz tramwajem i zwracasz głowę
w drugą stronę wiaduktu widać jeszcze rozmazaną
sylwetkę cmentarnego kościoła, i w tle
spłoszone, przygnane z dziwnych krajów
żyrafy żółtych bloków.

Jacek Karolak

VARIA

Michał Głowiński

Małe szkice

Mała kreska pośrodku

Ileż tajemnic kryć może mała kreska, umieszczona między datami, wskazującymi lata życia, ileż zawierać bogactw i niezwykłości, jak wiele skupiać zdarzeń i czynów. Z reguły niewielka, a oznacza całe *curriculum vitae* – niezależnie od tego, jak kształtowała się biografia i jak się formowała rozpiętość życia, a jest ona wysoce zróżnicowana: od zmarłych u progu istnienia dzieci po tych, którym przychylny los pozwolił przetrwać całe stulecie. Pomyślałem: co by się stało, gdyby wielkość owej kreski między cyframi zależała od trwania życia, gdyby miniaturowa ona była w przypadku powołanych w zaświaty młodzieńców, potężna zaś wówczas, gdy odnosi się do tych, co osiągnęli wiek matuzaleмовy. W sferze tej panuje jednak równość, mała kreska nie potężnieje i nie kurczy się w zależności od tego, jaki szmat czasu obejmuje. A w niektórych publikacjach informacyjnych wydawcy wstawiają kreskę także tam, gdzie można podać jedną tylko datę, skoro bohater biogramu żyje. To czytelnik ma wprowadzić datę drugą w odpowiednim czasie, a mała kreska wraca do swej tradycyjnej funkcji i pełnej formy. Mieści się w niej cała życia zawartość.

Przy cmentarnej bramie

Jedna z koleżanek opowiedziała mi przed laty o wydarzeniu, w którym za sprawą przypadku uczestniczyła. Wychodząc z cmentarza, zauważyła przy bramie eleganckiego, nobliwie prezentującego się starszego pana, z którym wyraźnie działo się coś złego. Podeszła do niego i zapytała, czym może pomóc. Nieznajomy wyznał, że fatalnie się czuje i poprosił o wezwanie pogotowia. Moja koleżanka bezzwłocznie pobięła do automatu (telefonów komórkowych jeszcze wtedy nie było). Zapytała o nazwisko, by podać, do kogo

pomoc wzywa, spotkała się wszakże z odmową. Usłyszała je kilka minut później, gdy sanitariusz wypełniał formularze. Jej zdumienie nie miało granic: zdała sobie sprawę, że ów starszy, dobrze wychowany i uprzejmy jegośmoć był szarą eminencją reżimu w jego najstraszniejszym okresie, w latach szalejącego terroru, zbrodni sądowych, fingowanych procesów, często kończących się wyrokami śmierci. To on ponosi odpowiedzialność za różnego rodzaju wyczyny, których nic nie może usprawiedliwić. Znała, oczywiście, jego nazwisko, nie wiedziała wszakże, jak wygląda, bo jego zdjęcie rzadko pojawiała się w prasie. Nie żałowała, że mu pomogła, a być może nawet wzywając pogotowie uratowała życie; powiedziała mi, że uczyniłaby idealnie to samo, gdyby od razu pojęła, że niespodziewanie trafiła na człowieka, mającego na sumieniu zbrodnie, człowieka, który budził strach, a jego nazwisko stało się złowrogim symbolem. O śmierci tego osobnika gazety powiadomiły kilka lat później.

Oczyszczenie

Leżę wyciągnięty na łóżku – i spostrzegam, że wyrastają ze mnie różne rośliny. Nie są zbyt dorodne, zapełniają jednak całą niemal powierzchnię mojej osoby. A między tą nieoczekiwaną florą zaznaczają swoją obecność różnego rodzaju krosty, brodawki, wypryski, czyli to wszystko, co jest naczynym dowodem nędzy i marności ludzkiego ciała. Ojciec pojął, co się stało i postanowił uwolnić mnie od tej hodowli, która na mnie spadła nie wiadomo skąd, Bóg raczy wiedzieć, z jakiego powodu. Odnalazł brzytwę, taką, jakiej kiedyś używano do golenia, (dzisiaj można zobaczyć ją już tylko w zakładach fryzjerskich) – i przystąpił do dzieła. Rośliny i narośle zdumiewająco łatwo poddawały się operacji, nie pozostawiały żadnych śladów i blizn, obyło się bez krwawienia, skóra odzyskiwała swą utraconą gładkość. W pewnym momencie Ojciec uznał, że zakończył pracę, kontent, że nie trwała długo i przebiegła bez oporów. Ale kiedy odkładał brzytwę, zauważył pod moim prawym kolaniem kolonię korniszonów. Rosły w niezwykłym ścieśnieniu – tak, jakby ktoś je upchał do puszki lub słoika; trudno było stwierdzić, w jaki sposób się trzymają, nie było w nich niczego, co by je przytwierdzało do powierzchni mojego ciała. Postanowił je usunąć, ale stawiały – w przeciwieństwie do całej reszty – opór tak duży, jakby przylutowane zostały na stałe. Przerażony i zdenerwowany, Ojciec powie-

dział: spójrz, są w najlepszym gatunku, doskonale się zamarynowały, od razu można by było je podać na stół.

Zamarłe słowa

Oryginalnie brzmiące słowo pojawia się nagle, przyciąga uwagę, zdobywa popularność – nawet gdy odnosi się do zjawisk dalekich od życia codziennego i wysoce wyspecjalizowanych. Przed półwieczem wypłynęło niespodziewanie, budząc niepokój i zaciekawienie, dziwne słowo „cybernetyka” jako nazwa tej dziedziny wiedzy, która niechybnie przemieni świat, odkryje nowe jego strony, zapewni dobrą przyszłość. W tej scjentystycznej fascynacji było coś irracjonalnego, towarzyszył jej wręcz metafizyczny dreszcz, jaki pojawia się niezwykle rzadko, gdy mowa o wydarzeniach naukowych, nowych teoriach i nowych dziedzinach wiedzy. Słowo stało się modne, o cybernetyce mówili i pisali także ci, którzy niezbyt dobrze pojmowali, o co naprawdę chodzi, rozprawiały na ten temat również osoby, jakim z trudem przychodzi zrozumienie, dlaczego dwa plus dwa równa się cztery. Wydawało się, że słowo weszło do mowy potocznej i na zawsze osadziło się w języku. Po dziesięcioleciach konstatuję, że tak jednak sprawy się nie ułożyły, zostało ono bowiem wyparte przez inne wyrażenia: w epoce, w której komputery stały się przedmiotami powszedniego użytku, o cybernetyce się nie słyszy. Pamiętają o niej zapewne historycy nauki, a także wielbicieli i znawcy dzieł Słowackiego, bo występuje ona nieoczekiwanie w jednym z jego utworów. Spojrzeć na historię intelektualną jako na dzieje słów wyłączonych z obiegu, zatraconych, zamarłych!

Pycha

Cesare Ripa tak przedstawia alegorię pychy: „Niewiasta piękna i wyniosła, dostojnie odziana w czerwień, w złotej koronie, przystrojonej obficie klejnotami. W prawej ręce trzyma pawia, w lewej zwierciadło, w którym się przegląda i kontempluje”. Moje wizje tej przypadłości charakteru łączą się z czym innym, ucieleśniły się w postaci pewnego kompozytora, który zajmuje się również kapelmistrzostwem, z tej racji mogłem kilkakrotnie obserwować w trakcie koncertów jego zachowania. Nie, nie przypomina

w niczym pawia, nie mieni się barwami, odziany jest bowiem we frak wciąż obowiązujący artystów na filharmonicznych estradach. Muzycy rozmaicie wchodzą na scenę, niektórzy wbiegają, by natychmiast zabrać się do dzieła, inni posuwają się krokiem normalnym, chciałoby się powiedzieć: codziennym, jeszcze inni pojawiają się tak, jakby nie byli w stanie ukryć zdenerwowania. Dyrygent, który stał się dla mnie uosobieniem pychy, wkracza na scenę w ten sposób, jakby był królem mającym za chwilę przyjmować hołdy poddanych, bije z niego pewność i zadowolenie, wstępny ukłon, nieodzowny składnik koncertowego rytuału, sygnalizuje stosunek do publiczności: wyświadczam wam łaskę, że zechciałem przed wami wystąpić! Jeszcze silniej jest to odczuwalne po oklaskach końcowych: ukłony nie są podziękowaniem, stanowią niejako potwierdzenie władzy nad tymi, którzy się zebrali, by spełnić swój podstawowy obowiązek, czyli wysłuchać tego, co Mistrz zechciał wyprodukować. W końcu symbolizujący dla mnie pychę artysta o minie Jowisza schodzi z estrady. Pycha nader różne przybiera postacie, może nawet odziać się we frak.

Michał Głowiński

Aleksander Jurewicz

Samotnia (2)

Jutro miała tutaj przyjechać i jej nieobecność pozostanie już na zawsze – na wcześniejsze lub późniejsze zapomnienie – kolorową obwódką z wykrzyknikiem przy dacie w kalendarzu. Nie liczyłbym dni właśnie do tego pustego jutra, gdybym ten widok na drugi dzień po przyjeździe od razu wziął za znak złego przeczucia. Ale ja momentalnie, w jakimś raptownym porywie pragnienia albo czulego zatęsknienia, zacząłem ten kaszubski landszafcik, który roztoczył się przede mną, a potem przybliżał coraz wyrażniej, więc zacząłem zapępniać go przyszłymi dobrymi chwilami, wspomnieniami, projekcją przyszłości, której już nie poznam, nie odgadnę, nie zapamiętam.

Gdy w przerwie między kolejnymi deszczami poszedłem wzdłuż lasu, potem połączyłem drogą pomiędzy łąkami żyta, w których mieniły się niebieskie oczka chabrow (kwiatów mojego dzieciństwa) i kiedy zatrzymałem się na niewielkim pagórku, roztoczyła się przede mną pięknie lekko zamglona panorama jeziora Sudomie. Tak, w takim momencie chciałoby się przemienić

w polny kamień, pozostać na zawsze na tym miejscu, nigdzie nie wracać, niczego już nie pragnąć, na nikogo ani na nic nie czekać...

Przy wpółdzikim brzegu zobaczyłem dwie opuszczone drewniane łodzie, kołyszące się na wodnej toni. Nieopodal z szuwarów wypłynęła para czubatych perkozów. Ten widok i wszystko dookoła – kępy olszyn pochylonych nad jeziorem, gęstwina sitowia, mokry zapach skoszonej trawy, żółte jaskry (ale kaczeńców już od lat nie spotkałem!), niebo i cichy, ledwo wyczuwalny wiatr, wszystkie przysze zachody słońca, zawieszane nad Sudomiem księżycy, poziomki rosnące wokół leśnego domku nigdy nie będą tym, czym miały być; być może czymś tak ważnym jak dla zmęczonego sen, alkohol dla pijaka, jak knot dla płonącej świecy.

Teraz, może właśnie w tych chwilach, jacyś inni – rozumiesz, już nie my – stoją na skraju jeziora, patrzą tym samym spojrzeniem w bezkresną jeziorną i nocną dal; jeszcze nie wiedzą, że gdzieś już czeka na nich jakieś samotne jutro; jeszcze nie wierzą, że kiedyś będą pragnąć jak najszybciej i jak najmniej boleśnie zapomnieć, że są na tym samym świecie i w tym samym czasie. Jeszcze zabraniają sobie zapominania czegokolwiek – i tego, dlaczego znaleźli się razem nad brzegiem jeziora pośród przepastnych kaszubskich lasów, i tego, gdy czując nadciągający nowy deszcz, zostawiają pośpiesznie brzeg jeziora, co będzie w następnych chwilach, godzinach, dniach, tygodniach...

Cóż, w końcu przeznaczenie zamienia nasze uczucia w popielniczkę przepełnioną niedopalkami papierosów wypalanymi w bezsenności, w krótką pomyłkę pamięci, wyrzuca niepotrzebne kamyki zabierane dla pamiętania o wspólnych miejscach, w których zdążyliśmy jeszcze razem być, płyta z dławiającą krtąń prawie do bezdechu fado Amalii Rodrigez może już nigdy albo nieprędko zostanie włączona, a zdjęcia porwane i wrzucone do przypadkowej kratki ściekowego kanału.

Ćmy (a jednak są jeszcze na świecie ćmy!) dobijają się do wielkiej szyby, wabione narkotycznie światłem lampy na stole; a co się dzieje, gdy czasami zapalę starą naftową lampę, jakże wtedy ćmy szaleją, płonące ćmy. Na zegarze już zaczęło się niespełnione jutro, tak tutaj cicho – żadnego szumu drzew, ani *stacatto* deszczu o dach, żadnej spadającej szyszki na deski werandy. Niedługo las zacznie odsłaniać się z ciemności, wkrótce zacznie się rozwidniać i ćmy wreszcie odfruną od okna i przysną w szparach dachu, a pierwsze przebudzone ptaki zagłuszą ciszę, samotność odbijającą się w ciemnym jeszcze oknie (ileż to już lat w różnych momentach i miejscach życia powraca ten nieśmiertelny wers z *Dru-giej Duinejskiej* – i wytrzymacie tęsknotę przy oknie...), pies wybiegnie na chłód-

ny wilgotny mech, z którego słońce szybko zetrze rosę i jak zawsze wczesnym przedpołudniem na pobliskim modrzewiu będą hasały dwie prawie zadomowione wiewiórki. Ale jeszcze nowy dzień nie wstaje i wciąż niechciane wspomnienia nie mogą się uciszyć, przepłynąć niczym obłoki, które szybko przepływają nie wiadomo dokąd, nie wiadomo dlaczego. Czy tylko dlatego, że pragną jak najciszej i jak najszybciej przeminąć, odpłynąć z tego życia, ominąć – bez zatrzymania się ani na ułamek chwili – jeziora, lasy, spłoszoną samą, daleki kościelny dzwon wybijający południe, mokradła ze stadkiem żurawi, co może przyfrunęły tutaj za mną z moich dziecięcych łąk, kogoś oddalającego się od świata w wytartej zielonej kurtce połąną drogą z psem, przyjeżdżający z pobliskiego miasteczka autobus, z którego nikt nie wysiadł.

Kaszuby, lipiec 2004

Aleksander Jurewicz

Leszek Szaruga

Lekturnik (13)

BYĆ MOŻE Andrzeja Falkiewicza (słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2002) – już od dawna nie czytałem książki, która sprawiłaby mi tyle satysfakcji, co ten cykl eseistyczny (opatrzonego podtytułem: *Być – w stu trzydziestu czterech odślonach* – swoisty „teatr”), który jest pierwszą od wielu lat książką literacką o wysokich ambicjach filozoficznych. Pomyślałem nawet, że właściwie niemal zaginął w naszym współcześnie wyspecjalizowanym świecie pisarskim zmysł filozofowania, tak przecież niezbędny w budowaniu przestrzeni dialogu idei. Nie ma już takiego dialogu – wyparty został przez monologowy słowotok nazywany czasem elegancko logoreą. A przecież, gdy sobie to przypomnieć, jeszcze niedawno jakoś inaczej bywało.

Dziś wszakże, gdy chodzi o poszukiwanie idei, w polskim życiu intelektualnym rzecz została powierzona zajmującym się owymi ideami specjalistom, filozofom. A sprawa zdaje się zbyt dla naszego życia ważna, by mogli o niej decydować zawodowi myśliciele. Ważny jest sposób widzenia, przede wszystkim zaś sposób mówienia o ideach, który zapewne uznać można za amatorski, wolny jednak od profesjonalnej rutyny. Tak działo się w polskim życiu intelektualnym w okresie międzywojennym – wcześniej również – gdy na przykład Witkacy podejmował filozoficzne dysputy z Chwistkiem, zaś jego *Pojęcia*

i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia były książką, choć zapewne nie bardzo popularną, lecz prezentującą oryginalny koncept poznawczy, nie odległy zresztą poszukiwaniom lwowskiej szkoły logiczno-matematycznej. Dziś prawdopodobnie te pokrewieństwa lepiej są widoczne niż wówczas.

Przypominam o tym choćby dlatego, że w sferze idei bardziej może niż w sferze literatury myśl polska ma charakter plagiatowy, niesamodzielny, odarty z oryginalności. Czy będą to poszukiwania filozoficzne, czy literaturoznawcze, ich punktem wyjścia we współczesności są pomysły sprowadzane z zewnątrz. W żadnej mierze, oczywiście, nie oznacza to ich nieprzydatności, wręcz przeciwnie nawet – tym właśnie pomysłem owe dyscypliny zawdzięczają w ogóle jakąkolwiek w Polsce żywotność. Wszakże przykrym jest fakt, że – poza bodaj Kolakowskim i do pewnego stopnia Walickim oryginalna myśl polska – nawet wzięwszy pod uwagę osiągnięcia warszawskiej szkoły idei z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, niewiele wniosła w dialog współczesnej humanistyki światowej.

Natomiast ta sama myśl polska z jakimś prowincjonalnym i bezkrytycznym zachwytem przejmując od paru dziesięcioleci wszystko, co pojawia się z zewnątrz: Sartre i Camus, Bachtin i Barthes, Derrida czy Rorty, by pozostać przy paru tylko głośniejszych nazwiskach. Do pewnego stopnia jest to zjawisko wytłumaczalne – nie chcemy pozostawać na uboczu najważniejszych debat współczesnej humanistyki, zaś spowodowane przez komunizm odcięcie od źródeł żywej myśli zachodniej sprawiło, iż demonstrowanie pozostawania z nią w związku było aktem intelektualnej odwagi, świadectwem oporu wobec narzucanej ideologii. Dziś już tym być nie musi i warto – miast jedynie manifestować owe związki – podjąć także z dochodzącymi z zewnątrz pomysłami i ideami żywy dialog. By był on wszelako możliwy – dla nas tutaj bardziej ważny niż dla nich tam – trzeba umieć dostrzegać to, co w naszej własnej myśli oryginalne, nowe i ożywcze.

Taką właśnie oryginalną i ożywczą książką jest *Być może* Andrzeja Falkiewicza. Pisze Falkiewicz: „Spora część naszej wiedzy jest nieopowiadalna – to znaczy nie dająca się wyrazić dyskursywnie, wyjawiać w sposób intersubiektywnie zrozumiały. Pewna część tej nieopowiadalnej wiedzy jest obrazowa bądź opowieściowa, a więc jednak wyrażalna – ale tego, co wiemy, nie wyrażająca wprost. To tworzywo religii lub szansa sztuki. Pozostaje jakaś odwiecznie niema reszta – która, być może, warunkuje wszystko tamto”. Ważne wydaje się kilka stwierdzeń dotyczących tego fragmentu. Po pierwsze – mamy do czynienia nie z twierdzeniem, lecz z hipotezą, przy

czym hipotetyczność wypowiedzi zapisanych w tym tomie podniesiona jest już w jego tytule. *Być może* wszakże to nie tylko – i to druga sprawa – sygnał hipotetycznego charakteru sądów tu wypowiedzianych, to także przypuszczenie dotyczące samego Bytu. Po trzecie – mamy tu do czynienia z wyrażoną, a nawet wyrazistą polemiką z tezą powiadającą, że istniejemy tylko w tekście, w tym, co opowiadalne. Po czwarte wreszcie – i na tym poprzestańmy – mamy tu ważne nawiązanie do fundamentalnych kwestii ze sfery filozofii języka, w szczególności kwestii wyrażanej w języku prawdy doświadczenia.

Dodatkowym ważnym ustaleniem wynikającym z hipotezy Falkiewicza jest uwolnienie podmiotu z uwięzienia w dyskursie. Podmiot staje się tu suwerenny wobec wszelkich aktów wypowiedzi. I to wydaje się kwestią fundamentalną dla prezentowanej tu filozofii osoby: fakt, iż „część naszej wiedzy jest nieopowiadalna” – a wydaje się to wszak zgodne z powszechnym doświadczeniem (nie da się – to jeden z często przywoływanych przykładów – „opowiedzieć” orgazmu czy mistycznego przeżycia: skazani tu jesteśmy na metafory i analogie) – sprawia, iż podmiotowość człowieka nie musi być uwięziona w języku, w tekście, w jakiegokolwiek narracji, w szczególności w narracji „intersubiektywnie zrozumiałej”. Taka manifestacja – nie: wyrażanie – suwerenności osoby wydaje się mieć znaczenie nieprzecenione. Mówiąc dosadnie: Falkiewicz wszelkie poznanie czyni poznaniem osobowym, indywidualnym, jednostkowym i niepowtarzalnym. Język staje się w jego koncepcji obszarem i jednocześnie narzędziem wymiany doświadczeń: zawsze niedoskonałym i tym samym zawodnym.

Mam coraz mocniejsze przekonanie, iż formuła powiadająca, że „wszystko jest tekstem” to nieroztropne uruchomienie mocy, których opanować nie sposób. To zakłęcie wypowiedziane przez przepełnionego pychą Ucznia Czarnoksiężnika. Że jest to oczywisty spadek po tradycji oświeceniowej, zdaje się nie ulegać wątpliwości: wyraźna jest tu tonacja kartezjańska, sama w sobie zresztą przyjemna, choćby przez swą harmonijność – polska poezja wiele jej zawdzięcza, nie na końcu znakomite rymy Franciszka Karpińskiego czy *Odę do młodości* Adama Mickiewicza. Ale zimna logika Rozumu nie zawsze się przecież sprawdza w naszym doświadczeniu, choć zapewne warta jest kultuwowania i rozwijania, pozwala bowiem wytworzyć narzędzia poznawania i rozumienia świata. Nie sprawdza się też – co należy tu przy okazji podkreślić nie wchodząc w dalsze szczegóły – logika Rozumu w sferze doświadczenia religijnego: tu obowiązuje wciąż nierozpoznana i tajemnicza logika Objawienia.

Lecz poza poznawaniem i rozumieniem jest jeszcze – być może jedna z wielu – sfera pojmowania podporządkowana logice jakiegoś innego rodzaju. Jest to logika współlistnienia. Z zasady jest ona pozajęzykowa czy granice języka przekraczająca, nie dająca się w pełni w języku wyrazić, choć dająca się w nim zasygnalizować. Jeśli bowiem, pisze Falkiewicz, że mamy tu do czynienia z „wiedzą opowieściową”, to wskazuje na jej wymiar estetyczny przede wszystkim, nie do końca pochwytny, uruchamiający owej wiedzy wieloznaczność. To samo dotyczy zresztą i „wiedzy obrazowej” – tu także o jej walorach decyduje wymiar artystyczny.

Rzecz jednak szczególna: o powieść Falkiewicza pozornie wyzuta jest z wartości estetycznych. Nie jest to bowiem utwór, który by owe wartości eksponował, nawet przeciwnie – zdają się one być przemyślnie ukryte. Gdyby zaś szukać wzorca tego typu opowieści, będzie nim bez wątpienia wzorzec Księgi. Trafnie pisze Ludwik Flaszen: „Księga jest bezwzględna. Albo jest czyniona i wtedy zmienia ona całe twoje życie, albo nie jest czyniona i słusznie odpowiadasz na powitanie: wszystko po staremu. I szukasz pocieszenia w myśli, żeś najlepszy ze wszystkich albo równy najlepszym, albo że jest wielu gorszych od ciebie. Masz w końcu niezły zawód: jakoś się żyje. Cóż, że cały prestiż swego zawodu zawdzięczasz temu, iż pośród ludzi żyje jeszcze niejasna pamięć i przeczucie Księgi”.

Można zasadnie założyć, że to, co nazywa Falkiewicz ogarnianiem „wiedzy opowieściowej” jest z grubsza rzecz biorąc tym samym, co Flaszen określa jako „czynienie Księgi”. To ważne słowo: czynienie. Wergiliuszowe „*sunt lacrimae rerum*” z *Eneidy* wyklada się wszak jako: „lzy są czynami powodowane”.

Bez wątpienia należy Falkiewicz do tych myślicieli, dla których „niejasna pamięć i przeczucie Księgi” mają znaczenie fundamentalne. Księga wyznacza sens doświadczenia, jest jednak zarazem zapisem czegoś, co owo doświadczenie przekracza, co osadza je w rzeczywistości transcendentnej. Nie nazywając tego w ten sposób notuje Falkiewicz: „Ale nieuchronnie ludzka droga szukania sensu sprawia, że za każdym, nawet tym najobszerniejszym, znalezionym przeze mnie istnieniem ukaże się obszar niepojęty, nad którym nie zapanuję, którego poznawczo nie ogarnę. Jak rozumiem ten obszar, jako przyrodzony czy nad-, jakim imieniem własnym go oznaczę i czy będę oznaczał w ogóle – to wydaje się mniej ważne i przesądzone jest w dużej mierze przez dziedziczną kulturę”. Ten „obszar niepojęty”, nieuchronnie obecny w każdym doświadczeniu, nie ukaże się jednak bez obecności horyzontu Księgi, który określa przestrzeń opowieści i który – co jest

oczywistą cechą każdego horyzontu – w miarę zbliżania się doń, wciąż się odsuwa.

W obszarze języka – a właśnie to jest obszar, w którym znajduje wyraz „wiedza opowieściowa” – pełnię sensu uzyskuje się przez osiągnięcie doskonałości, przez taką więc organizację wypowiedzi, której system napięć estetycznych uwalnia jej wieloznaczność. Rzecz w tym, że w doskonałej opowieści, jaką jest Księga, owe walory estetyczne pozostają niepochwytne. Więcej nawet: przestają być istotne, gdyż stają się podstawą działania, czynienia.

I szkoda, że ta książka przeszła niemal bez echa. Jest niezwykle inspirująca, ale też wymagająca lektury pogłębionej, odsyłającej i do rozważań Tarskiego dotyczących prawdy (zwłaszcza uwag o nie tylko formalnych jej wyznacznikach), jak poszukiwań współczesnej psychologii, teorii komunikacji czy, oczywiście, filozofii. Już tylko to pytanie wymaga podjęcia zasadniczej dyskusji: „Dlaczego nie uwierzę, że moje subiektywne doświadczenie Całości, doświadczenie dokonywane za sprawą zmysłów wewnętrznych, przeżywane «wewnętrznym ciałem», własnym ciałem czutym i posiadanym od wewnątrz, jest tylko złudzeniem – ludzkim złudzeniem «całościowości», «jedności», «niepodzielności»?”.

Leszek Szaruga

Zbigniew Żakiewicz

Ujrzane, w czasie zatrzymane (21)

RÓŻNIE BOLI, A JAK SIĘ Z TYM MAMY PO BIBLIJNEJ SIEDEMDZIESIATCE?

„Miarą naszych lat jest lat siedemdziesiąt,
lub, gdy jesteśmy mocni, osiemdziesiąt;
a większość z nich to trud i marność:
bo szybko mijają, my zaś odlatujemy.”

(P'salm 90, 10)

Zgłosiłem swój udział w kolejnej sesji, która jak co roku ma się odbywać w szacownych murach Ratusza Staromiejskiego w Gdańsku, pod skrzydłami Nadbałtyckiego Centrum Kultury, wpisując się w temat listopadowych spotkań, tym razem pt. BÓL.

A skoro BÓL, to ten najprawdziwszy BÓL, wiążący się z miarą naszych lat, lat siedemdziesięciu, które nie tak dawno przekroczyłem. Okazało się jed-

nak, że nie tak łatwo jest zbliżyć się do siebie samego, już ponad siedemdziesięcioletniego, bo rzeczywiście, odczuwamy, że nie jesteśmy tacy mocni, sprawni i odważni. Zaczyna nas gnębić daremność tego trudu i nużyć marność, która rychło nas oczekuje. Czujemy się też, jakbyśmy stanęli zbyt blisko panoramy, wielowątkowej, którą utkał na swych nieubłaganych krosnach nie żaden mistrz, ale samo nagie życie.

„Tkwiąc we wnętrzościach Lewiatana – jakie mogę mieć wyobrażenie o morskich przestrzeniach?” – oto pytanie, które stawia przed nami nasz los i nasza czcigodna senilność. Dotychczas obserwowałem starość innych: moich rodziców, dziadków, przyjaciół, znajomych, i wiedziałem o niej niby wiele, aż sięgnęła ona po mnie.

„Nigdy przecież nie byłem stary, jeśli pamięć i duchowa wrażliwość mnie nie zawodzą – zawsze byłem albo dzieckiem, albo młodzieńcem, albo dojrzałym mężczyzną; chociaż, tak naprawdę! – to byłem i jestem dzieckiem i coraz dotkliwiej w tej karuzeli czasu przenoszę się na swoje «wilcze łąki» dzieciństwa...”

Po tych epistemologicznych uwagach, świadom swego ograniczenia, pokuszę się, aby rzec słów parę o tym, jak boli siedemdziesięciolatka.

Zacznijmy od rzeczy oczywistych, że nagle odkryłem tę dziwną i gorszącą niesprawność w chodzeniu, ten ustawiczny ból, dajmy na to w lewym stawie biodrowym, w kręgosłupie, no i kolana! – Te wspaniałe stawy kolanowe, które nosiły mnie przez tyle lat po wszystkich polskich górach (z wyjątkiem Beskidu Śląskiego), nie chcą teraz służyć przy wejściu na głupie pierwsze piętro! Patrząc na szparko chodzących ludzi, niekoniecznie młodych, ale też nie obciążonych biblią siódmką i zaczynam cierpieć. Duchowo. Przecież dopiero co zbiegałem po schodach, piorunem, w podskokach, łąziłem po Orlich Perciach, Jaworzynach, Babich Górach, przecież prawie wczoraj prze-wędrowałem pieszo z Jędrkiem przez całe Kaszuby, poczynając od Orłowa a kończąc na Czarnej Wodzie.

Zostawmy ten ból niezrozumienia nas przez młodych i sprawnych: mamy przecież nad nimi tę przewagę, że widzimy i doceniamy ich młodość; przeżyliśmy i doświadczyliśmy tego, czego oni nie są w stanie docenić i ujrzeć, zostawmy więc ten ból, a przejdźmy do rzeczy poważniejszych.

Oto patrząc na swoje życie niejako bezstronnie i matematycznie, mam w najlepszym wypadku jeszcze tych lat naście... A będą to lata coraz bardziej w trudzie i marności błyskawicznie mijającego czasu. Na litość boską, teraz wiem, że rację miała moja matka, dziwiąc się nieustannie, że to wszystko tak szyb-

ko minęło. „Nie zdążyła ja jeszcze się nażyć, nie zdążyła” – powtarzałyby za ciotuleńką Ewelina Puciatową. Ano właśnie... Nie zdążyłem, nie wiedziałem, nie doceniałem. Tak niedawno odkryłem tę prawdę, że – „chwila żyje wiecznością”, że w każdej mijającej chwili mojego dzieciństwa, młodości, wieku męskiego, jakże tradycyjnie z polską wieku kłęski – krył się bezmiar wieczności: w kropli rosy kryło się morze, w śnieżynce miliardy niepowtarzalnych, nigdy takich samych, wyrafinowanych koronkowych gwiazdek, które na swych szydełkach wiązały anioły niebieskie.

Docenić czas, gdy ten czas minął! I to boli...

Czas minął i minęli też bliscy mi ludzie. Trudno tę prostą prawdę przekazać tym, którzy mają wokół siebie mnóstwo rówieśników a nad sobą pokolenia dziadków, ojców, wujów i ciotek. Nie wiedzieć kiedy wokół mego domu, w tym pokoju, w którym zamieszkuję od 36 lat, zaczęły krążyć duchy tych, co tu bywali, poczynając od ludzi, którzy trafili do literackich słowników i encyklopedii, a kończąc na szarych wróbelkach codzienności. Po prostu – wokół mnie staje się coraz bardziej pusto. Już po raz któryś odkładałam do szuflady notesy z nazwiskami i adresem tych, co umarli. Już nie mam do kogo zadzwonić, gdy ogarnia mnie chandra tatarska, albo gadulstwo i euforia wieczornego rauszu, i to boli...

Każdy z nas, piszących, skłamałby, gdyby dziś rzekł, że tworzył bez myśli, iż wkracza w dziedziny nieśmiertelności. Na początku widział się obok największych, którzy go pociągnęli w te duchowe strefy zakazane: Bolesław Prus, Lew Tołstoj, Fiodor Dostojewski, Tomasz Mann, Iwan Bunin – skoro ich rozumiem, współodczuwam z nimi – stanę się im równy. Z czasem trochę się spuszczało z tonu, ale wkroczywszy na swoje niepowtarzalne ścieżki, odkrywając swój temat, język i to coś, co się nazywa stylem – nabierało się przekonania, że zdobyłem swoje miejsce na Parnasie. Wystarczyło jednak parę dekad, parę skrętów historii, szczególnie odczuwanych w tym kraju wciąż na nowo się stającym, że – i owszem – miejsce zdobyte na Parnasiku pozostało, ale zabrakło tych, którzy chcieliby o tym pamiętać. Król nie jest nagi, szaty nadal go zdobią, ale nie ma tych, którzy raczyliby zerknąć na tę śmieszną dla nich postać niegdyśszego mistrza. I to dotyczy całego pokolenia twórców. I to boli...

Może właśnie dlatego, ten już na dobre siedemdziesięcioletek ma przysłowiową szufladę psutą i boli go serce oplecione wieńcem źle dokrwionych żył. – Bo i po co to wszystko? – zapytuje on siebie. Jeśli nawet tworzy coś od siebie i wcale nie dla siebie – to będzie musiał szukać, długo i uporczywie,

sponsora. A to nawet nie boli, to po prostu jest ponad bólem, gdyż to, co poniżej nie boli, lecz obezwładnia...

Powtarzam: odeszli bliscy, odeszli rówieśnicy, i nawet ci – o wiele młodszy. Dlaczego została mi dana ta biblijna siedemdziesiątka, a im nie? Ich życie czasami widzę spełnione, szczególnie dotyczy to przyjaciół i ludzi, którzy zapisali się w księgach kultury. Jakże często jednak życie to zostało urwane nagle, pozostawiając nas w osłupieniu, bez jakiegokolwiek sensownego punktu, z wielokropkiem niedopowiedzenia, z tą zagadką nagłej i niespodziewanej śmierci, o której mówi się w litanijskim zaśpiewie jako o nieszczęściu równym morowemu powietrzu, pożarom i wojnom.

Gdy ich los rozpatruję porównując ze swoim – tajemnica mojego dalszego istnienia pogłębia się. – Czy ich odejście jest ostrzeżeniem? – A może konieczne było to dokochanie przyjaciół i bliskich dopiero po ich śmierci, gdyż przedtem zbyt się nie spieszyliśmy, aby ich pokochać, czy chociażby docenić – więc teraz powracają w snach, nieprzyzwoicie żywi i bardziej obecni niż kiedykolwiek na jawie?...

A gdy się budzę – to boli.

Od zawsze, od kiedy pamiętam, o czym już była mowa, długo odkrywałem tę prawdę, że w moim „teraz”, w każdej chwili, tkwi wieczność. Zawsze spieszyłem się, sam siebie wyprzedzając, niecierpliwy, wychylający się poza horyzont dnia, miesiąca, roku, jak wędrowiec ze średniowiecznej ryciny rozchylający sfery niebieskie, aby ujrzeć co się kryje za płaskością Ziemi. Był w tym swoiście pojęty optymizm: „jutro będzie lepiej”. Dotyczył on zarówno mojego losu chłopca, młodzieńca, męża i ojca, jak też obywatela tego doświadczanego kraju, gdzie się dekady nazywało od imienia sekretarzy rządzących z cudzego nadania. Wciąż jednak wyczekiwałem dnia jutrzejszego, pragnąłem go jak kania dżdżu – i oto teraz wiem, że już na pewno nie będę na ślubie swych paroletnich wnuczek, nie ujrzę jak się ułożą w dorosłości losy moich wnuków, nie pojedę autostradą Północ-Południe, tą od dawna oczekiwaną via Baltica, ani też nie ujrzę rezultatów zjednoczenia mojego kraju z Europą.

Dla mnie, rzeczywiście, czas ma krótkie nogi, a przyszłość jest tylko na wyciągnięcie ręki. I to boli.

I tak spiesząc się doszedłem do tej krechy, o której wiedzieli ze swojego wielopokoleniowego doświadczenia biblijni psalmiści, że „miarą naszych lat jest lat siedemdziesiąt”. Jest to sąd nieubłagany, nieodwracalny, jakby dany człowiekowi do wiadomości z boskiego nakazu: „Adamie i ty Ewo – jabłko z drzewa wiadomości otworzyło przed wami prawdę o kresie wa-

szego bytowania. I wskazuję wam ten próg, który wasza biologia może przekroczyć. Co dalej? – Dalej już będzie tylko schodzenie w dół. A tym progiem jest siedemdziesiąt obrotów waszej ojczyzny wokół życiodajnej gwiazdy – Słońca!”.

Śmierć nie jest już czymś w domniemaniach, w przypuszczeniach, stanie się z tobą niesłychane Miłoszowe TO, ta rzecz wielka, niebywała, ten upadek „na miarę upadku państwa potężnego, które miało wybitne armie wodzów i proroków (...) A teraz nie przyjdzie nikomu z pomocą. Z nikim nie zawrze przymierza (...) /Jego powołanie zapomniane, język utracony./ Dialekt wiojski, gdzieś daleko w niedostępnych górach” (Czesław Miłosz).

I TO stanie się w całkowitej samotności, choćby wokół ciebie zebrało się nie wiedzieć ilu ludzi, i ci najbliżsi, gdyż będzie to twoja ostatnia walka. Ty będziesz musiał sam być tym agonistykosem, tym nadającym się do walki, czy chcesz tego czy nie chcesz.

Myślę teraz o tych, którzy wzięli udział w tej ostatniej walce, o wielkich i znanych, i o tych maluczkich, o najbliższych, i o Tej, która przy mnie wydała trzy głębokie wydechy, jakby z ulgą wypuszczając z siebie duszę udręczoną światem i tymi swoimi osiemdziesięcioma latami życia. – Ale ta wspólnota wyrывa mnie spod władzy mojego *ego*. – Ta gorycz umierania dotknęła lub dotknie wszystkich żyjących i w jakiś sposób staje się dla mnie bolesnym ukojeniem. – Jestem w tej nieogarnionej wspólnocie skazanych: przede mną były epoki i pokolenia, i tych biblijnych proroków, i moich praociców, dziadów i ojców, po których dziedziczę te geny, język, pamięć, kulturę i historię.

I to – mniej boli.

W tym samym 90 psalmie, przypisywanym mężowi Bożemu Mojżeszowi, zanoszone jest błaganie: „Naucz nas liczyć dni nasze, abyśmy osiągnęli mądrość serca”. Pamiętam to nagle olśnienie, które było mi dane w dniach śmierci mojej rodzicielki i ta pewność, że jej całe życie: cierpienia, poniżenia, ciężka praca, miłość i gorzki los wygnańca – nie mogą pójść na marne. Inaczej wszystko byłoby wielkim absurdem, śmierć, a wraz z nią koniec wszystkiego – wielką niesprawiedliwością, bezsenssem, wręcz kosmiczną katastrofą. A ponieważ działo się to w Wielki Wtorek, w kwietniową wiosnę, gdy na Srebrzysku wśród ledwo zieleniejących krzewów i drzew uwijały się zwinne, małe, pięknie upierzone ptaki, które swym szczebiotem, pogwizdywaniem, krótkim trelem napelniały wzgórza – odpowiedź była dana wprost. – Nic nie może zginąć, powstanie co upadło, odrodzi się co umarło, zazieleni się co uschło. Bo czyż człowiek nie jest na Boską miarę? Ten sam Mojżesz wyraził

to jasno: „W proch każesz powracać śmiertelnym, i mówisz: «Synowie ludzcy wracajcie!». Bo tysiąc lat w twoich oczach jest jak wczorajszy dzień, który minął niby straż nocna. Porywasz ich: stają się jak sen poranny, jak trawa co rośnie: rankiem kwitnie i jest zielona, wieczorem więdnie i usycha” (Ps 90, 3–6). Pytamy więc – w proch każesz wracać? – Odpowiedź: „Panie, Ty dla nas byłeś ucieczką z pokolenia na pokolenie. Zanim góry narodziły się w bólach, nim ziemia i świat powstały, od wieku po wiek Ty jesteś Bogiem” (Ps 90, 1–2).

Kiedys dziwili mnie, jeśli wręcz nie śmieszyli, ludzie, którzy przekroczyli granicę wieku dojrzałego, sami dojrzewający do ostatecznych żniw, ze swą niestrudzoną i pewną wiarą, że wkrótce spotkają swoich najbliższych. Że z roku na rok zbliża się koniec ich samotności, bo tamci są tuż, za niewidzialną zasłoną, że ich obecność trwa w jakimś bliskim wymiarze, wystarczy tylko przekroczyć próg.

Dziś już temu się nie dziwię. Już widzę ten próg, liczę na to bliskie spotkanie trzeciego stopnia. I może dzięki temu z mniejszym lękiem i zgrozą wstąpię w tę ostatnią walkę. A cóż ból? I po cóż ból?...

Zbigniew Żakiewicz

RECENZJE

Krzysztof Myszkowski

W środku przezroczystej kuli

Te same dążności i te same tonacje w kolejnych odnowieniach-wcieleniach – przemiany i metamorfozy i prawdziwa jedność w tej różnorodności. Ciało i duch: potrzeby ciała i potrzeby ducha, i poszukiwanie formy („formy bardziej pojemnej”) dla tej podwójności. Raj i Piekło, i cała ziemia („Gdyby nie było ziemi, czy byłoby Piekło?”). W środku przezroczystej kuli, którą trzyma w ręku Syn Boga.

Nieobjęta ziemia (1984). Co jest Rzeczywiste? Jak wyrazić to, co się czuje i myśli? Skąd zło? (*Unde malum?*) Jaki jest sens świata? Niepokojące pytania, które są jak wejścia do labiryntu: „Labirynt. Budowany co dzień słowami, dźwiękami muzyki, liniami i barwami malarstwa, bryłami rzeźby i architektury. Trwający wieki, tak ciekawy do zwiedzania, że kto się w nim zanurzy, nie potrzebuje już świata, warowny, bo założony przeciwko światu. I największy chyba dziw: że kiedy nim się delektować samym w sobie, rozchwiewa się niby pałace utkane z mgły. Gdyż podtrzymuje go tylko dążenie do wyjścia poza, dokądś, na drugą stronę”.

Poszczególne i Ogólne – sekret przemiany Poszczególnego w Ogólne i Ogólnego w Poszczególne: „cała nasza okrągła ziemia” i czarny wysoki bór, dwór w Kiejdziach i jego tajemnicza pani czy „prawie wszystkie moje podróże” i jazda bryką z Raudonki przy trakcie Wilno-Jaszuny na kiermasz do Turgiel po piaszczystej drodze z koleinami, ciągle to w dół, to w górę. Portal katedry i dotyk szorstkich oskarpowań muru. I „wrzask ptaków za oknem, kiedy witają ranek,/I na podłodze jarzą się pręgi, tęczujące, światła,/Albo horyzont z linią falistą u styku brzoskwiniowego nieba i ciemnoniebieskich gór”. „W każdej rzeczy na ziemi światłość wiekuista.” Czyż nie jest to jak tajemnica: „Niby tajemnica, która, jeszcze chwila, a nagle się odsłoni”? Feeria świata w kalejdoskopie czasu, konsystencja dotykanej a niepojętej rzeczywistości, „biegnące jedna za drugą klatki ogromnej taśmy”, obrazy przechowywane w pamięci i w pamięci wewnętrznej, do której dostęp jest tylko w błyskach chwil i w „podwójnej przeróbce”. Lament nad niewystarczalnością języka.

„Ja w nadmiarze, płynny, duch dziwnie wędrujący, teraz tu zatrzymany.” Poznawanie dobra i zła: „Poznanie dobra i zła jest nam dane w samym biegu krwi”, mówi Miłosz: „dobro jest jasność, zło ciemność, dobro jest wysokość, zło niskość”. Cudowne piękno świata. Nienasycenie, ogromne zdziwienie, upór i wiara. Ciekawość, dążenie, pasja. Udręka grozy. Po co ten cały trud? Z miłości. „Nienazwana potrzeba ładu, rytmu, formy, które to trzy słowa obracamy przeciwko chaosowi i nicości.” Pisanie wierszy, składanie raportu, sprawozdania, spisywanie kroniki, rejestru: budowanie, bo literatura powinna być budująca. Największa literatura jest budująca (patrz: Homer, Dante, Cervantes). A dziś piszą, tak jak piszą i ma to wartość taką, jaką ma.

Powinniśmy myśleć nie tylko o codziennym życiu, ale o naszych grzechach i o Sądzie Ostatecznym, o Zmartwychwstaniu: „Zmartwychwstanie. Wszystkie rzeczy dotykane, materialne, jak to się mówi, zmieniają się w światło i tam ich kształt zostaje przechowany. Po końcu naszego czasu, w metaczasie, wracają jako światło stężone, choć nie stężone do stanu poprzedniej materii. Niepojętą mocą są to wtedy same esencje. I esencja każdej ludzkiej istoty bez tego, co na niej narosło, bez wieku, choroby, szminki, przebrań, udawań”.

Wiersze, przekłady (m.in. z D.H. Lawrence’a i Whitmana), epigrafy, zapisy prozą, listy od przyjaciół; w cytatach m.in.: Biblia, Goethe, Baudelaire, Oskar Miłosz, Simone Weil, Pascal, święty Augustyn, Martin Buber, Lew Szesztow, Władimir Solowjow. Zdania jak wykute z metalu, zdania świetliste; rytmy wersetów, rytmy ciała. Ocalone i ocalające.

W wypowiedzi w formie wiersza dla „Kultury” paryskiej z 1985 roku pt. *Literatura polska* Miłosz mówi, jaka była i jaka powinna być współczesna literatura polska:

Z uporem dąży do siebie, tej, którą ciągle nie jest.
Rodzi się coraz mocniejsza, ponieważ jest niemożliwa.

Jest to bardzo realistyczna, praktyczna oraz prorocza, wizyjna wypowiedź. Dlatego jest w formie wiersza.

Jak bronić się przeciw nicości? – tak brzmi główne pytanie *Kronik* (1987). Trzeba uważnie patrzeć, mówi Miłosz:

Być samym czystym patrzeniem bez nazwy,
Bez oczekiwań, lęków i nadziei,
Na granicy, gdzie kończy się ja i nie-ja.
(*To jedno*)

I w rytmicznych zakłęciach zaklinać to co rzeczywiste w formy, te niepoli-
czone żywoty, które ledwo migną, już znikają, niezliczone rzeczy, widoki,
krajobrazy:

Czego chcę? Żeby było. Co? Czego już nie ma.

(Trylony)

„Rejestr bólu, pogodzenia, błogości, grozy i ekstazy”, te głosy, które przez
niego mówią, „moje i nie moje, słyszane z daleka”, „predylekcja do linii
krętej, wysokie spirale przeciwieństw, płomieniopodobne”, ja i nie ja, w cza-
sie, w bezgranicznym, niewyczerpanym, niewysłowionym świetle form.
Dążenie poza wyraz, ruch naprzód, ćwiczenia stylu, „przygotowujące osta-
teczną wersję, która nie nastąpi”. Fragmenty, wycinki prasowe, ustępy
z książek, osobiste wspomnienia, reminiscencje z lektur, wykłady, przypo-
wieści, sny, wiersze, wiersze, wiersze. Zatrzymane w „rzece czasu” Hera-
klita. W pierwszej, w drugiej i w trzeciej rzeczywistości, czyli najpierw w tej
surowej, „która nas rani, obezwładnia, zwodzi obietnicami”, potem w tej
już oczyszczonej, piękniejszej, może takiej „jaką widzą duchy bezcielesne”
i wreszcie w tej, „którą znajdujemy utrwaloną w języku ludzkiej mowy czy
obrazów”, zawsze niepełnej, rozbitej na okruchy, fragmenty i składanej na
nowo wedle prawa selekcji, czyli formy. W krainie wyobraźni, świadomo-
ści i wiary. W krainie literatury. W przezroczystej patoce. Z jasności, z wy-
sokości.

W *Dalszych okolicach* (1991) Miłosz mówi: „Do tego byłem wezwany:/Do
pochwalania rzeczy, dlatego że są” – w hymnie, poemacie, melopei. Buduje
świat, wrywa z nicości i z nieistnienia. „A słońce wschodzi i słońce zacho-
dzi./A słońce wschodzi i słońce zachodzi.” Nie jest jak Syzyf, ale jest jak
Apollo lub Orfeusz, albo jak Dawid – w napięciu, w sprzecznościach przed
Majestatem. „Kołyszę się na fali i patrzę w obłoki.” Lotne, celne frazy i wer-
sety. Poluje na niedosiężny sens świata, modli się o światło, „o wnętrze wiecz-
nej perły, *aeterna margarita*”. Stara się, usiłuje osiągnąć słowami to, co naj-
ważniejsze i widzi, jak przegrywa, może nie z kretelem, ale przegrywa jak
nikt inny, tak jak najwięksi. *Esse est percipi* (Być to znaczy być postrzega-
nym). Krótkie, ulotne życie i niezrozumiałe święto świata. Poeta („Dobry
człowiek nie nauczy się podstępów sztuki”) i literatura („Turniej garbusów”).
Jakiś wielki w tym wszystkim sens: pod gwiazdami, w kołowym galaktyk
i o świecie, kiedy światło prześwieca z obłoczków rannej mgły, czy czegoś co
jest do mgły podobne, jakby wzięte z błękitu, „w mieście, które było jak

oratorium/Strzelające strojnymi wieżami ku niebu/W obłoki". „Niewidzialne dotychczas zwiedzam okolice."

Prowincjusz i obywatel świata. Uczestnik, opisywacz i guślarz. Następca, poeta i sługa Pana. Alchemik i mag, sztuk-mistrz. Fantazjujący, wyobrażający i wierzący (Pascal: „Przeczyć, wierzyć i całkowicie wątpić jest tym dla człowieka, czym bieg dla konia"):

Jeżeli Bóg wcielił się w człowieka, umarł i zmartwychwstał,
Wszelkie ludzkie zajęcia są godne uwagi
Tylko w tym stopniu, w jakim od tego zależą,
To znaczy zyskują sens przez to wydarzenie.

Powinno się myśleć o tym w dzień i w nocy,
Co dzień, latami, coraz mocniej i głębiej,
A już najbardziej o tym, że historia ludzkości jest święta
I każdy nasz uczynek jest jej częścią.
Zapisany na wieki, i nic nie przepada.

(*Albo-albo*)

Krzysztof Myszkowski

Czesław Miłosz, *Wiersze tom 4, Dzieła zebrane*, tom 21, Wydawnictwo Znak, Kraków 2004.

Krzysztof Myszkowski

Kilka słów o poezji

Sześć wykładów wygłoszonych przez Czesława Miłosza na Uniwersytecie Harvarda w roku akademickim 1981/1982 to rzecz niewielka objętościowo, ale ważna i cenna jako świadectwo i wytyczenie drogi.

Miłosz zaczyna od swojego zakątka na granicy Rzymu i Bizancjum („biała plama na mapie Europy"), który go ukształtował i któremu pozostał wierny. Litwa, Wilno – ukształtowanie krajobrazu, architektura, doznany tam nacisk Historii, religia, ludzie, język – krąg w kręgu Rzymu. Podaje tematy: dziwne losy wyobraźni religijnej i poezji w XX wieku, klasycyzm, język, jako propozycja pewnego tonu i pewnej wrażliwości. Powtarza, że jest uczniem Adama Mickiewicza, najważniejszego polskiego poety i mówi, że poezja romantyczna stanowi rdzeń literatury polskiej, której główne dzieło – *Pan Tadeusz* jest „książką podręczną każdego polskiego poety". Główną cechą i głównym tonem poezji polskiej jest nadzieja, zadomowiona w niej od renesansu, a nawet od średniowiecza (*Bogurodzica*), czyli od

samych jej początków. Natomiast głównym twórcywem poezji w XX wieku jest „wszelkiego rodzaju pesymizm, sarkazm, gorycz, zwątpienie”, a jej główną tonacją – tonacja minorowa. „Niektóre stany ducha – mówi Miłosz – nie są normalne w tym sensie, że obracają się przeciwko bynajmniej nie urojonym prawom ludzkiej natury. Człowiek nie może czuć się dobrze, jeżeli ma świadomość, że nie wolno mu posuwać się naprzód po linii prostej, bo wszędzie natrafia na mur, zmuszający go do skręcenia w bok i powrotu do punktu, w którym swój marsz zaczął, czyli do chodzenia w kółko. Jednakże już uświadamiając sobie, że poezja dwudziestego wieku świadczy o poważnych zaburzeniach w percepcji świata, robimy pierwszy krok ku autoterapii.”

Żeby wyjść z tego tak schematycznie zbudowanego labiryntu, trzeba uzyskać dystans do tego, co go kształtuje i tworzy, wykazać nieufność do reguł i prawd, które narzuca. Można przez cały czas wpatrywać się w czarne korytarze i takie korytarze tworzyć, tylko po co? Miłosz szkicuje genezę tej XX-wiecznej ponurości: Baudelaire, Rimbaud, Mallarmé i symboliści francuscy, spór bohemy z *bourgeois*, zwycięstwo światopoglądu naukowego, triumfalny pochód techniki oraz „nihilizm europejski” (Dostojewski i Nietzsche). Przeciw tej ponurości był mistrz Miłosza – Oskar Miłosz, który wiek XX nazywał wiekiem „szyderczej szpetoty”.

Miłosz cytuje i analizuje ważny szkic Oskara Miłosza – *Kilka słów o poezji*, znany nam z *Prywatnych obowiązków*. Poezja, która jest „namiętną pogonią za Rzeczywistością” i „sakralną sztuką słowa” doznała „zubożenia i zwężenia”, została ograniczona do „zamkniętego kręgu subiektywizmu”, a to jest tak, jakby orla zamknąć w ciasnej klatce. Przeciętni poeci piszą przeciętne wiersze, a przeciętni krytycy wychwalają je, ile potrafią, tworząc towarzystwa wzajemnej adoracji. Ten stan rzeczy kończy się, gdy pojawia się naprawdę natchniony poeta taki jak Homer, jak Dante, czy Szekspir. Poezja, wiersze to nie „towarzyskie” adoracje i wprawki, ale „wewnętrzne operacje”, które osobiste doświadczenia przetwarzają w wartości uniwersalne, dostępne dla wszystkich. Ilu jest w każdym pokoleniu, w każdej epoce natchnionych poetów? Najwyżej kilku! A tak, pisujący wiersze i wierszyki grupują się w jakieś forty, porty, stowarzyszenia i okolice i tak zakleszczeni nawet nie próbują wykroczyć poza swoje małe „ja” (*spectral*, jak mówi Blake).

Oskar Miłosz jest także przeciw poezji „czystej”, a za poezją „nieczystą”. „Poezja czysta” wyłącza poza swój zakres religię, filozofię, naukę, politykę, ograniczając się do wąskiego terytorium. „Czy poezja czysta – pyta Oskar

Miłosz – to bój Odyseusza z zalotnikami, zejście do piekieł Eneasza, Niebo w *Boskiej Komedii*, *Ballada i modlitwa*, *Sen nocy letniej*, piąty akt *Bereniki*, zakończenie *Fausta*? Czy też może *Ullalunie*, *Elegia do Diotimy*, *Popołudnie fauna*? Albo prościej, może to poezja naszych czasów pozbawiona publiczności, poezja «nie uznanych», poezja przeciętnych, jakimi jesteśmy wszyscy bez wyjątku, nie czytający nawet jedni drugich?” Większość z nich nie chce znać prawdy. „Świat od niemal stu lat – mówi Oskar Miłosz – nie wydał ani jednego poety, to znaczy prawdziwego poety, godnego, by go przyrównać do jednej z tych wielkich rzek życzliwych zarówno berlinkom, jak złocnym galerom, toczących majestatycznie w swoich burzliwych i głębokich wodach gorsze i lepsze, ale zawsze według władczego rytmu, zawsze w nurcie, który razem dawał nam obraz stałości rzeczy boskich i przemijania pokoleń. Co zostało z parnasizmu i symbolizmu? Co zostanie za dwadzieścia lat z olbrzymiej i pustej produkcji poetyckiej naszych dni?”

Czesław Miłosz jest już jednym z ostatnich z tej pięknej plejady wielkich poetów XX wieku? Co dalej? Uzbrojmy się w cierpliwość. „Nie same wydarzenia, ale duchowe konsekwencje wydarzeń powołują natchnionych ludzi. (...) Formą nowej poezji będzie zapewne forma Biblii: swobodnie płynąca proza wykuta w wersach”, mówi Oskar Miłosz. I choć brzmią w jego wypowiedziach nuty katastroficzne, to przecież przepowiedział poezję Czesława Miłosza, która jest nadzieją i zakorzeniona w Biblii tworzy Ruch, czyli przemianę, spełnia funkcję „przewodnika”. Dlatego z niesmakiem, ale i ze spokojem patrzę na lansowaną ze względów komercyjnych literaturę, która służy upadłaniu człowieka, na tych pozał się Boże „szyderców i ironistów” i na tych, którzy ich wysyłają.

To lata dzieciństwa przesądzą o wszystkim, o całej osobowości człowieka, o ukierunkowaniu jego myślenia. Miłosz w *Ziemi Ulro* mówi: „Gdyby mnie zapytano, skąd pochodzi moja poezja, odpowiedziałbym, że z dzieciństwa, a więc z kolęd, z liturgii nabożeństw majowych i niespornych – jak też z Biblii gdańskiej, jedynej wtedy dostępnej”. Zaraza nihilizmu rozprzestrzenia się w świecie i kto wie, czy teraz nie jest większe zagrożenie niż w stalinowskich czasach, na które przypadło moje dzieciństwo. Wtedy byłem ukryty w wileńskim domu moich Dziadków, który przenieśli (przecież nie w materialnym sensie) do Torunia. Jakie są „kryjówki” dla dzieci w dzisiejszych domach wyposażonych w najprzeróżniejsze środki masowego przekazu? Zanieczyszczenie umysłów dorównuje zanieczyszczeniu środowiska. Najlepiej mają się (*the survival of the fittest*) przystosowani i wdrożeni do

kłamstwa, złodziejstwa, cynizmu i pogardy w zorganizowanym dla nich wysiłku szczurów. Sztuka staje się płaska i wulgarna. Najchętniej zapomnieliby o Archipelagu Gulag, o Oświęcimiu i o Holokauście, o terroryzmie na masową skalę w wykonaniu ZSRR, którego współpracownicy zasiadają jeszcze do dziś na najwyższych stanowiskach bez wyznania win i bez rachunku sumienia. „Stan dzikości, który zdawał się być odsunięty w zamierzczłą przeszłość, powrócił jako plemienne rytuały państw totalitarnych. Obóz zagłady stał się centralnym faktem stulecia, a drut kolczasty jego emblematem”, mówi Miłosz. Ciekawą rzeczą jest przeczytanie zamieszczonych w nocie wydawcy ingerencji cenzury PRL-u dokonanych w pierwszej edycji krajowej tej książki z 1987 roku.

Wydaje się, że nikt za nic nie ponosi odpowiedzialności, a już najmniej za słowa, których użycie jest przecież dla każdej epoki decydujące. Miłosz przywołuje Simone Weil: „Jestem zdania, że pisarze okresu, który się zakończył, są odpowiedzialni za nędzę naszego czasu (...) Zasadniczą cechą pierwszej połowy XX wieku jest osłabienie i prawie zanik pojęcia wartości (...) Takie słowa, jak spontaniczność, szczerość, samorzutność, bogactwo, wzbogacenie, słowa, które zakładają niemal całkowitą obojętność na przeciwstawienia wartości, pojawiały się częściej pod ich piórem niż słowa odnoszące się do dobra i zła. Zresztą ten ostatni rodzaj słów uległ degradacji, zwłaszcza te, które odnoszą się do dobra”. Miłosz mówi, że przemiana, odrodzenie się z tej zapaści jest możliwe („gruntowna przemiana u samego źródła”).

Wykład czwarty dotyczy klasycyzmu („raj utracony” dla poety XX wieku, za którym tęskni), konwencji literackich, *topoi*. Miłosz przypomina spór czy zderzenie dwóch tendencji: klasycyzmu i realizmu i mówi, że konflikt ten nigdy się nie zakończy, że „pierwsza tendencja zawsze, w takich czy innych odmianach, góruje, podczas kiedy druga jest głosem sprzeciwu”. Przygląda się przemianom form, w których przecież sam uczestniczy (poszukiwanie formy bardziej pojemnej) i mówi, że „wizja pozbawiona nadziei często bywa nie więcej niż *cliché* wspólnym dla poezji wielu krajów”. Raz jeszcze występuje przeciw formule: „Nie my mówimy językiem, ale język nami mówi” (absurd strukturalistów, po których już prawie nie ma śladu!), przypominając, że „każdy poeta w momencie pisania dokonuje wyboru pomiędzy nakazami poetyckiego języka i wiernością wobec tego, co rzeczywiste”, i snuje wspaniałe, ważne rozważania tych zagadnień dotyczące. Mówi także o znakach i o odcyfrowywaniu (odszyfrowywaniu) znaków, przywołując przykłady z Platona i Dostojewskiego.

Rzeczywistości i poezji II wojny światowej dotyczy wykład piąty. Hierarchia potrzeb wpisana jest w samą rzeczywistość. W czasie największych nieszczęść najważniejsze są chleb i słowo, przy czym język odzyskuje swoją najprostszą funkcję – narzędzia służącego celowi. Rozpada się wszystko, a więc także i cały system wartości, podział na dobro i zło, prawdę i kłamstwo. Żeby opisywać taki świat, potrzebna jest forma, a więc dystans, oderwanie, chłód. Miłosz rozpatruje to na przykładzie wierszy Różewicza, Świrszczyńskiej, Białoszewskiego, Herberta, mówi o wyobcowaniu człowieka, o redukcji wiersza do słów niezbędnych i redukcji do mikrokosmosu, o *via negativa* i o tym, że brak hierarchii w ocenie zjawisk jest po prostu brakiem realizmu.

Już w 1886 roku w piśmie „Le Decadent” wydawanym w Paryżu pisano, że: „Religia, obyczaje, sprawiedliwość, wszystko chyli się ku upadkowi”. „Wszystko zależy od dwudziestego wieku”, powiedział Dostojewski. Czy były to czcze słowa? Totalizmy, takie czy inne demokracje, cele i źródła władzy – to już znamy i jest tylko pytanie, co z tą wiedzą uczynimy. „Teraz, kiedy stulecie dobiega końca – mówi Miłosz – dostatecznie jasno ukazał się charakter pasożytniczy państwa opartego na monopolu posiadania i władzy. Karmi się ono tym, co pozostało żywe z organicznie kiedyś rosnącej i jeszcze nie całkowicie wypłenionej przeszłości, albo importowaną techniką, nauką i sztuką.” Ludzie sztucznie trzymani są na niższym poziomie przez telewizję i kolorowe magazyny. Ale, nie lękajmy się! Żywiołem Miłosza jest nadzieja. Wróży, że w XXI wieku nastąpi radykalny odwrót od światopoglądu naznaczonego przede wszystkim przez biologię i zapowiedź tego znajduje w poezji XX wieku. Podobne intuicje znalazłem u Wittgensteina w tomie pt. *Uwagi różne*. „Poznajemy z litością i grozą kondycję ludzką nie ogólnie, ale zawsze w odniesieniu do miejsca i daty, w tej a nie innej prowincji, w tym a nie innym kraju”, mówi Miłosz, nawiązując do początku pierwszego wykładu. Jest nadzieja! „Każdego dnia można widzieć znaki świadczące, że teraz, w tej chwili, rodzi się coś nowego, dotychczas nigdy nie znanego w tej skali: ludzkość jako żywioł świadomy swojej nieprzynależności do Natury – ponieważ tylko człowiek otrzymał w dziedzictwie ten skarb, jakim jest pamięć, czyli historia.”

Krzysztof Myszkowski

Czesław Miłosz, *Świadectwo poezji. Sześć wykładów o dotkliwościach naszego wieku*, *Dzieła zebrane*, tom 22, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004.

Leszek Szaruga

Palenie Króla Ducha

Drugi tom *Utworów zebranych* Tadeusza Różewicza przynosi opowiadania i reportaże, także fragmenty dziennika (nawiasem mówiąc nie obejmuje ostatnio publikowanych w „Odrze” zapisków, czego trochę żal). W *Dzienniku z partyzantki* pod datą 3 sierpnia 1944 notuje autor: „Spaliłem dzisiaj *Króla-Ducha*, leżał pod kotłem, w którym smażyła się słonina. To tylko ty, Januszu, zrozumiesz. Gość, który siedzi obok, gniecie gnidy”. Janusz, jak można sądzić, to brat poety, zamordowany pod koniec wojny przez gestapo. W liście do niego z wiosny 1943 pisał autor *Ech leśnych*: „Jeszcze teraz mi dokucza ten Twój «straszny» *Król-Duch*, tym bardziej, że ja w ogóle nie miałbym siły do niego się zabrać” (z tomu *Nasz starszy brat*).

Czy można powiedzieć, że wraz ze spaleniem *Króla-Ducha* noszonego w partyzanckim plecaku narodził się Tadeusz Różewicz, poeta? Nie wiem i zapewne wiedzieć tego nie mogę. Może zresztą nie powinienem. Ale czytając tę notatkę z dziennika zwróciłem uwagę nie tylko na fakt, że poeta spalił *Króla-Ducha*, ale także na to, iż dzieło Słowackiego posłużyło do ogrzania kotła ze smażącą się słoniną. I na to, że w jednym rzędzie z królem-duchem pojawił się gniotący gnidy współtowarzysz Różewicza. Coś jakby „wieprzowatość życia” starło się ze wzniosłością. A jednocześnie do głosu doszła troska o szczegół – ten, na który zwraca uwagę narrator dominującego w tomie opowiadania *Śmierć w starych dekoracjach* komentujący swe obserwacje poczynione w samolotowej toalecie: „Ponieważ nie jestem uczonym, więc mogę to tylko wyjaśnić i opowiedzieć własnymi słowami człowieka – wiem o tym – przeciętnego, który miał wprawdzie kiedyś inne ambicje... ale to nie ma nic do rzeczy... w każdym razie dla mnie samego stało się jasne, że nawet taki drobiazg jak ręcznik wpływa na nasze myśli oraz samopoczucie i może zmienić stosunek do otaczającego nas świata”. To ów „człowiek przeciętny”, mieszkaniec „małego miasteczka północy”, obdarzony „kamienną wyobraźnią”, który pojawia się na początku drogi twórczej Różewicza.

To człowiek zdystansowany wobec „poetyzmów” i wszelkiej wzniosłości, surowy świadek zjawisk otaczającego świata, konkretny do bólu, ale też prze-czuwający pod powierzchnią zdarzeń i pejzaży istnienie niepochwytnej ta-

jemnicy odsłaniającej się na mgnienie i zaraz znikającej z pola widzenia, nie dającej się pochwycić w słowa. Bodaj najpełniejszy wyraz odnajduje ta sytuacja w reportażu (?) *Niemowa w Mongolii*, w którym przeżycie tajemnicy przenika się z grą pozorów, gdy na podarowanym posążku mongolskiej bogini pewnego dnia odkrywa narrator napis „Made in Germany”: „Myślałem o zawitych drogach metafizyki. Posążek stoi na biurku (...) Bogini się nie gniewa, że czasem służy za przycisk. Uśmiecha się tajemniczo”. Ten uśmiech sprawia, iż mimo świadomości faktu, że zamiast oryginalnej, ukształtowanej przez ręce kapłanów figurki pojawia się seryjny produkt przemysłu pamiątkarskiego, coś jednak tchnie siłą w ów posążek. Co? Przede wszystkim doświadczenie wyniesione z podróży do dalekiego i egzotycznego kraju, którego dotknięcie dalekie jest od jego poznania. Podobnie dzieje się w opisie podróży do Chin zderzającej wiersze poety Tu-Fu z przemykającym za oknami pociągu obrazem chłopca uprawiającego w szczerym polu przepisaną przez władzę gimnastykę.

Co jest prawdą, a co pozorem? Kafkowska fascynacja chińskimi drzeworytami – chętnie zapewne przyjmowana przez Różewicza, ucznia autora pierwszej antologii dalekowschodniej poezji w Polsce, Leopolda Staffa (nawiasem mówiąc tomu – mowa o *Fletni chińskiej* – który stworzył w 1943 roku przestrzeń Miłoszowskiego *Świata*) – czy realne życie „państwa środka”? Jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości: w prozie Różewicza – zacierającej dość konsekwentnie międzygatunkowe granice – decydującą rolę odgrywa konkret, zaczep refleksji w żywej materii życia, jak choćby w takich miniaturach, jak *Elementarz* czy *Cmentarzyk okresu malej stabilizacji*.

Z różnych chwil i z różnych stron są te zapiski składające się na narracyjną mozaikę o świecie, w którym żyjemy. Opowiedziane „własnymi słowami człowieka przeciętnego” wprowadzają – chce on tego, czy nie – na „zawite drogi metafizyki”, na których wciąż się odnajduje i wciąż się gubi. Centrum owego świata stanowi doświadczenie wojny, której echa co chwila się powtarzają stanowiąc nieredukowalne tło życia, które wciąż się domaga swych praw i zdaje sobie sprawę z faktu, że „nie myśli się całą powierzchnią ciała”, jak twierdzi bohater *Starego młodego serca*. Ale może właśnie on się myli...

Leszek Szaruga

Leszek Szaruga

Wstyd być poetą...

„Jak wiemy, umarł już Bóg – co stwierdził Nietzsche – później (po różnych metamorfozach) umarł diabeł, jeszcze później umarł człowiek. Wreszcie – jak powiada Honegger – «zginął poeta». A my żyjemy!” – to słowa ze szkicu *Sezon poetycki – jesień 1966*.

Tak, nie da się czytać Różewicza bez wrażliwości na jego – często kosztowne, cierpkie – poczucie humoru, które dochodzi do głosu zwłaszcza w tych tekstach, w których zajmuje się on kondycją współczesnego artysty, poety odrabiającego w domu zadanie mające zaprzeczyć tezie Theodora Adorno mówiącej, że pisanie wierszy po Auschwitz byłoby barbarzyństwem. Tym zadaniem jest właśnie „tworzenie poezji po Oświęcimiu”.

Problem bowiem w tym, że Różewicz – choć potrafi się poetycko bawić, nawet poetycko „wyglupiać” – w poezję wierzy, wierzy w jej moc ocalającą, po prostu wierzy w jej moc. Nie przypadkiem porównuje fałszerzy poezji z fałszerzami pieniędzy. Wiarę w poezję potwierdza kolejna wersja *Przygotowania do wieczoru autorskiego* stanowiąca kolejny, trzeci tom publikowanych obecnie *Utworów zebranych* pisarza. Tom to ważny, ukazujący się w kontekście „uczonych” dywagacji o „końcu historii” i końcu przyszłości (koniec świata już był), w kontekście praktyk dekonstrukcjonistycznych i kwestionowania Całości oraz Centrum. Różewicz wobec tych stanowisk pozostaje w dystansie, choć przecież – o czym wie każdy czytelnik jego wierszy – nie uchyla się od dyskusji i polemik.

Nie znaczy to wcale, że się tym wszystkim aż tak bardzo przejmuje – ot, czasy są takie, jakimi im być przyszło: stąd „poezja”, stąd „poeci”, „redaktorki” – tak często w cudzysłowach. Bo przecież punkt odniesienia jest gdzie indziej: „Chłopiec z Radomska nie przeczuwał, że kiedyś będzie siedział z tym starszym bogiem poezji w barze «Pod Kuchcikiem», przy śledziu i «ćwiartce»... Bóg był bez fraka, gwiazdy i bez aureoli. Rekwizyty spłonęły w wielkim ogniu drugiej wojny światowej. Odziedziczył Staff po Kochanowskim nie tylko lutnię, ale i zmysł humoru”. Ani bóg poezji, ani lutnia nie są tu wzięte w cudzysłów, jedynie „ćwiartka”, zapewne nie bez powodu. Ważne wszakże jest owo poczucie humoru, dar pełni przeżycia – tylko dlatego może Różewicz skomentować tłumaczone przez Staffa frasz-

ki Kochanowskiego okrzykiem: „*Eviva l'arte!* Renesansowi ludzie! Niezwyczajni ludzie. Tą samą ręką pisali treny i fraszki. Szczęśliwi ludzie. *Nunc est bibendum!*”.

To Horacjańskie „Czas wypić!” powtarzam często w trakcie lektury *Przygotowania...* Od lat jest to jedna z tych książek – pełna „programowych” wypowiedzi, ale i anegdot wplecionych w gawędziarską narrację – po które sięgam w chwilach, gdy w sens poetyckiej pracy wątpię. Częściej na pewno niż do śmiertelnie poważnych i często mentorskich *Zapisków bez daty* Przybosa, też dla mnie skądinąd ważnych. Przy czym przywołuję imię autora *Miejsca na ziemi* nie bez powodu – to drugi wszak obok Staffa „mistrz” Różewicza, przynajmniej do czasu...

Ale – pozostajmy przy jednym tylko wątku – zastanawiające jest owo poczucie humoru Różewicza. Jak bardzo, o tym przekonuje lektura zamykającego tom opowiadania (?) *Sobowtór* – „A któż czeka na dzieło twojego życia i tak tysiące cegieł produkują członkowie tego nieszczęsnego stowarzyszenia a przy tym dziennikarze amatorzy hodowcy kanarków docenci asystenci generałowie o rany wszyscy piszą i piszą i piszą i tylko ciebie brakuje z twoim dziełem” – zakończonego „wierszem” będącym zapisem rozmowy z samym sobą, którego ostatnie wersy brzmią:

Spróbuj! Pośmiej się z samego siebie. To bardzo zdrowo.

Nie umiesz...

Czynię próby nieprzeliczone próby śmieję się jak zepsuta maszyna zgrzytam syczę to nie jest śmiech to jest

No właśnie, co to jest?

Leszek Szaruga

Tadeusz Różewicz, *Proza* (3), Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2004.

Piotr Michałowski

Dziennik myśli własnych i cudzych

Można do tej lektury podchodzić na dwa sposoby: albo nastawić się na różnorodność gatunkową i tematyczną, albo dociekać reguły uspoólniającej książkę – niejako wbrew manifestowanej w niej poetyce fragmentu. Pierwszy, zatomizowany styl czytania nie zaprowadzi w okolicę zbyt atrakcyjną;

dokonamy jakichś rozpoznaiń genologicznych albo inwentaryzacji form i przedmiotów wypowiedzi, stwierdzając za ledwie to, co widoczne się staje już od pierwszych stron. W książce znajdziemy bowiem przedzielone gwiazdką: wspomnienia i notatki, kartki z dziennika obok refleksji filozoficznej, zbliżającej się raz ku biegunowi poważnych „zdań” Mickiewicza lub Miłosza, kiedy indziej ku ironii bliższej Lecowi – z oferowaną przez autora *Myśli nieuczesanych* antysentencjonalnością, quasi-moralistyką i gątkową polimorfią, gdzie obok pseudonaukowych twierdzeń i definicji pojawiają się fabularne obrazki i anegdoty. Ale autorka nigdy nie bawi się odkrywaniem przez siebie absurdem, woli myśli poważne, unika paradoksów na poziomie języka, obce są jej kalambury i inne igraszki, w których swawola brzmień i znaczeń zwalnia podmiot z odpowiedzialności za poetycko wyzwolone słowo.

W tak zorientowanym (po Nietzscheańsku) procesie czytania jeszcze pozostaje ocena poszczególnych błyszczących kamyczków z niezrozumiałej mozaiki, która wylania się jako hipoteza całości ponad stustronicowego zbioru, zamkniętego przecież okładką, opatrzoną tytułem i znakiem własności intelektualnej.

Julia Hartwig, wcześniej autorka nominowanych do Nagrody Nike *Błysków* (2002), do swej kolejnej książki dokłada inny termin, brzmiący już o wiele bardziej tradycyjnie: „zwierzenia”. Wskazuje tym samym na własną dwubiegunową klasyfikację form jako podział nadrzędny. Nadając ten tytuł pozostawia czytelnika z tym jedynym kluczem interpretacyjnym do hybrydycznej zawartości swego zbioru. Warto więc go użyć, pytając najpierw o główną dystynkcję: co jest „zwierzeniem”, a co „błyskiem”? A potem: co się dzieje między tymi dwoma typami zdarzeń mentalno-piśmieniowych?

„Zwierzenia” zrozumieć łatwo: opanowane silnym upodmiotowieniem, mają źródło wewnętrzne, autobiograficzne. Są „czystą” ekspresją, autoryzowaną bez zastrzeżeń i traktowaną jako własność prywatna, mieszcząca się w konwencji intymistyki. „Błyski” wykazują natomiast charakter przygodnych olśnień, epifanii, których związek z biegiem życia nie daje się w prosty sposób wyjaśnić. A zatem to, co zasymilowane i wsparte osobistym doświadczeniem („sprawdzone sobą” – jak pisał Białoszewski), miesza się z tym, co zewnętrzne i tylko z lekka oswojone, napotkane przypadkiem i do końca nierozpoznane. Jest więc różnica nacechowania podmiotowego i genezy, jednak efekty nie ujawniają tak wyraźnej granicy, pozosta-

wiając czytelnikowi niekiedy zaledwie domysł co do statusu tekstu i jego modalności. Ponadto znaczna część zgromadzonych w tym zbiorze fragmentów nie mieści się w żadnej z dwóch kategorii, gdyż powstała w wyniku długich a niezobowiązujących przechadzek wzdłuż pólek prywatnej biblioteki. Są więc pisarze: Szekspir, Hölderlin, Schiller, Nerval, Baudelaire, Kafka, Joyce, Proust, Camus, Valéry, Aragon, Brodski i wielokrotnie Cendrars. Polskich autorów jest znacznie mniej: Liebert, Miłosz, Konwicki... Są myśliciele: Machiavelli, Foucault, Bataille, Barthes, Levinas, Wittgenstein, Tischner, Kępiński... Są kompozytorzy: Haydn, Mozart, Beethoven, Chopin, Brahms, Wagner, Szostakowicz, Lutosławski, Satie, Messiaen... W takim wyliczeniu wybór nazwisk nie wydaje się oryginalny, gdyż tworzy kanon współczesnego humanisty. Może więc większe znaczenie mają twórcy pominięci? Najbardziej selektywna jest grupa malarzy: Giorgione (w kontekście ostatniego zbioru Zbigniewa Herberta), Goya, ale najczęściej Delacroix, z którego *Dzienników* poetka czerpie najobficiej – jako ich tłumaczka. Można dokonać statystyki preferencji i uznać ją za szkic do psychologicznego portretu poetki, choć byłby to oczywiście szkic wystawiony na pokaz, a więc zawierający pewną dozę autokreacji. Otacza ją rozległa przestrzeń kultury, tradycja złożona z prywatnych upodobań, albo tylko przypadkowych spotkań w bibliotekach, filharmoniach i muzeach świata. Są wreszcie impresje z podróży po oswojonym dziedzictwie myśli i sztuki: Paryż, Italia, Ameryka...

Często zetknięcia z cudzym słowem rodzą formy właściwe słowom Miłosa: cytat alegacyjny, cytat skomentowany, polemiczna parafraza, konfrontacja dwu przytoczeń... Są także konstrukcje wielopiętrowe i szkatułkowe, jak cytat trzeciego stopnia:

Pobudzające do myślenia zdanie Marksa, cytowane przez Sartre'a:
„Wstyd jest uczuciem rewolucyjnym”.

Utrwalone głosy cudze wyjęte z książek i prasy. Wypisy słów skrzydlatych, ale i takich, które jako niezdolne do lotu zostały niejako w książce aresztowane i surowo przesłuchane. Są słowa pół-własne, oswojone, ale też dotkliwie obce i przez to prowokujące do sformułowania poglądów przeciwnych. A rozbieżność tematyczna z pewnością większa niż w *Lapidariach* Kapuścińskiego, oscylujących jednak ku fabularnej przedmiotowości reportażu. Okazjonalne refleksje o sztuce. Uwagi o epigonizmie i nowatorstwie. O fenomeń aktu twórczego i prawach recepcji. Marginalia z warsztatu tłumaczki.

Płynność granic własności w jakiś sposób potwierdza pantekstualistyczne intuicje dekonstrukcjonistów. Zorientowanie na dialog z tradycją ujawnia jedna z nielicznych mocnych maksym, którą można odczytać jako autokomentarz do podejmowanej tu procedury kolekcjonowania myśli sformułowanych dobitnie: „Bołą słowa, których nie można odwołać, bo już nie ma rozmówcy”.

Najprościej byłoby na tytułowe hasła nałożyć czytelną opozycję: biografia – bibliografia. Ale nie zawsze będzie ona miarodajna, gdyż między tymi udokumentowanymi źródłowo okruciami, których najwięcej, zdarzają się nieco na wyrost wskazane w tytule „błyski” – myśli „znikąd”, słowa o nieświadomej proveniencji, zbłąkane i samowolnie „przychodzące do głowy” a zapisane w niejasnym przeczuciu, iż niosą magiczną moc uogólnienia. Takie jak ta:

Są dusze niedokończone.

Albo najkrótsza:

Pamięć broczy.

Znajdziemy najbardziej zagadkowe zapisy snów i jawy. Te ostatnie układają się czasem w niedocieczoną konfigurację sensu, właściwą haiku:

Mroźna noc.
Bezdomny śnieg śpi na ławce w parku.

Upodmiotowienie można tu stopniować według stanu intelektualnej „obróbki”. Obok świadectw bezwładu percepcji pojawiają się bowiem oszlifowane stylistycznie i znaczeniowo ostre porównania, parabole, alegorie:

Każda burza po upalnym dniu, kiedy nagle zrywa się wiatr, niebo ciemnieje, drzewa gną się i szumią jak rozszalałe morze, to jeszcze jedna próba końca świata.

Albo:

Samotność jest jak płaskowyż, wystawiona na ruch obłoków, na posuchę i na burzę.

Zdarzają się szkice wierszy i gotowe miniatury poetyckie, które jednak rozproszone w tak niejednorodnym kontekście uchylają swój liryzm, pozostając niezobowiązującą próbą, zrelatywizowaną i zdystansowaną przez refleksje metapoetyckie:

Bądź sobą.
Jak mają się do tego moje wiersze?

Dominujące wrażenie z lektury podjętej pierwszym sposobem to konsternacja, dezorientacja w posezonowej wyprzedaży na straganie różnaitości, wobec którego próba krytycznoliterackiego komentarza zbliża się niebezpiecznie do sporządzania wypisów z wypisów. Natomiast drugi sposób czytania fragmentu, w duchu Hegłowskim, zawodzi, gdyż nie ma żadnego mikroladu w tym chaosie – zapewne poza kolejnością sporządzania zapisków. Może jakiś trop wskaże chociaż początek i koniec? Książka rozpoczyna się fragmentem, który trzeba uznać za „zwierzenie”, a jego uprzywilejowana pozycja w zbiorze wskazuje ponadto na autotematyzm:

Tęsknota największa, bo nieosiągalna, to dotknąć tej najczulszej chwili przeszłości. Dotknąć jej ciepła, barwy; dotknąć cielesnie.

Chodzi niewątpliwie o doświadczenie podmiotowe i osobiste, choć łatwo ową tęsknotę rozpoznać jako inicjalne pragnienie każdego pamiętnikarza. Tu jednak topos exordialny, wyznaczający postawę autobiograficzną, wprowadza w błąd, gdyż zostaje zdefunkcjonalizowany; nie otwiera bowiem żadnego pamiętnika, ale serię fragmentów, gdzie akurat autobiografizm stanowi jedynie migotliwe tło. Spójrzmy jeszcze na koniec książki, który nie chce być jej „zakończeniem”, gdyż ostatni akapit manifestuje formę otwartą:

Już Delacroix zamierzał napisać coś w rodzaju *Błysków*:

„Dlaczego nie miałbym ułożyć zbioru luźnych myśli, które od czasu do czasu przychodzą mi do głowy w gotowej formie, choć trudno by mi było powiązać je z innymi? (...) Czy trzeba koniecznie pisać książkę według wszelkich prawideł?”.

Chce się ripostować na ten cytat w cytacie, co jednak oznacza polemikę nie z cytatem wewnętrznym, ale z przytaczającą go autorką: to nieporozumienie, od dawna już nie trzeba pisać wedle żadnych prawideł, bo takie dziś nie istnieją. Dziwi jednak wybór autorytetu dla poetyki fragmentu, której nie wymyślił przecież ani Delacroix, ani w ogóle romantyzm, która ma starożytne korzenie i bogatą tradycję, a współcześnie wiele wariantów i filozoficznych uzasadnień, wypełniających cały horyzont nowoczesności. Natomiast w cytacie wewnętrznym wydaje się nieadekwatne słowo „ułożyć”. To już sugestia jakiegoś zamysłu kompozycji, którego nie dostrzegam – poza początkiem i końcem, które po raz kolejny manifestują formę otwartą poprzez klasyczne zamknięcie w edytorskiej ramie.

Gdzieś ze środka zbioru pamiętamy odmienną apoteozę fragmentu:

Wciąż coś innego, powtarzającego się lub nowego.
Gonitwa uczuć, obrazów, wspomnień, przypomnień,
fragmentów tego, czego dowiedzieliśmy się i nauczyli,
napór nagle poszerzonego świata, przerażenie, ból, obojętność.
Jak to wszystko pomieścić w sztuce?

Fragment jako determinacja czasu, wynikająca z ciśnienia egzystencji? Ale była jeszcze inna, najmocniejsza i najbardziej niepodległa motywacja wyboru tej formy:

Zachwycaly mnie arcydzieła.
Ale szkice rozpalaly wyobraźnię.

Szkice, które nie zaistniałyby nigdy na przykład w książce debutantki. Szkice, których wartość określa ich status niekoniecznego suplementu do wybitnego dorobku poetki.

Piotr Michałowski

Julia Hartwig, *Zwierzenia i błyski*, Wydawnictwo „Sic!”, Warszawa 2004.

Krystyna Rodowska

Hymny do rzeczywistości cudownej

Najnowszą, dziesiątą już książką poetycką, potwierdza Adriana Szymańska swoją rozpoznawalną – od pierwszych tomików – „ekstatyczną” tożsamość, zdumiewając zarazem konsekwencją ewolucji filozoficznej, co znalazło odbicie w rysujących się wyraźnie przemianach w dziedzinie dykcji. Jak to się dzieje – zastanawiam się, czytając, odczytując od lat utwory poetki, że pozostając sobą najdawniejszą, wykreowała w *In terra* świat tak żarliwej, osobnej religijności. Bo jeśli samo słowo „religia” wskazuje na zdolność ponownego złączenia (*re-ligare*) tego, co chwilowo rozłączone: nieba z ziemią, boskich stworzeń między sobą, to autorka tej niezwyklej książki jest – w moim odczuciu – poetką *par excellence* religijną, której twórczość nie mieści się w żadnym, uprawianym we współczesnej polszczyźnie modelu tzw. poezji religijnej, czy metafizycznej. Teozoficzny wymiar utworów z omawianego zbioru wpisuje się w język sztuki wyrafinowanej – mimo złożonej na wstępie „deklaracji prostoty” – świadomej duchowych i arty-

stycznych powinowactw, prowadzącej dyskretny, lecz wyczuwalny dialog z glosami literackich tradycji i współczesności. Z kolei *ars* w tym tomie zmierza w kierunku czystej ekspresji procesów i pracy duchowej, idącej w parze z wyciszaniem *ego* i uwalnianiem języka od dawniejszych, retorycznych przerostów. Na przekór „trendom” – mającym moc obowiązującą w kręgach młodszych generacji poetów – styl Adrian Szymańskiej jest niewątpliwie „wysoki”, lecz niezwykle wyczuwanie na szczegół, iskrzenie emocji i dynamika wyobraźni, sprzymierzone z właściwym tej poetce poczuciem humoru, stwarzają „lekcję całości”, wobec której miary czasu i literackich mód okazują się po prostu bezsilne, *In terra* łączy w sobie cechy intymnego wyznania i traktatu filozoficznego.

Już sama konstrukcja książki punktuje intencje autorki. (Co nie znaczy, że ten rodzaj autokomentarza ma ułatwić czytelnikowi głębszy kontakt z materialem i duchem tekstu; zapomina się często o tym, że nawet najbardziej świadomy poeta pisze swoje utwory w nadziei, iż pozwolą mu one lepiej zrozumieć siebie i sens obranej drogi.) Tak więc w pierwszym, „programowym” wierszu *Odwrot*, poetka obwieszcza potrzebę rewizji dotychczasowych „sposobów bycia sobą”, skłania się ku rezygnacji z pogoni za finezjami słowa na rzecz nie tyle „odwrotu” – co sugerowałoby jedynie zmianę strategii – ile powrotu do własnych źródeł, do wrażliwości „dziecka”. Jaką chce odtąd widzieć siebie Adriana Szymańska? „Upartą”, czyli obstającą przy rzeczach najprostszych: „chleb, nadzieja, ból, radość”. I „wierzącą”. Ale w co wierzy poetka? Po prostu w chrześcijańskiego Boga, w Jego wszechmoc i miłosierdzie? Tu już sprawa się komplikuje: „wierzę w wieczność otwartą skrzydłem jaskółki”, i dalej: „w śmiertelność wszystkiego co gdzieś, kiedyś musi przecież zmartwychwstawać”. Z pewnością nie należy do łatwych i raz na zawsze danych *credo*, które karmi się ulotnymi znakami objawienia i pokłada nadzieję w beznadziejności. Nic dziwnego, że zbudowana na oksymoronie krucha wiara, czy rozpaczliwa ufność każą poetce szukać duchowego wsparcia w „zakładzie Pascala” (w wierszu *Zakład Pascalski i poezja*).

Załączek filozoficzno-artystycznego programu, sygnalizowanego na wstępie, znajduje logiczne rozwinięcie w pierwszej grupie wierszy, objętej podtytułem *W przebhysku*, podkreślającym wagę indywidualnego przeżycia, i w drugiej, usytuowanej wyraźnie pod znakiem więzi z innymi ludźmi *W pośrodku was*. Obie te części zbioru reprezentują dwie komplementarne w stosunku do siebie strony rzeczywistości wykreowanej, którą nazywam „rzeczywistością cudowną” Adrian Szymańskiej. Adaptuję pojęcie (po hiszpańsku: *lo*

real maravilloso), które funkcjonuje w zupełnie innym kontekście geograficzno-kulturowym, odnosząc się do magicznego świata Karaibów i jego projekcji powieściowych, głównie u kubańskiego pisarza Alejo Carpentiera, nadając mu zgoła odmienny sens.

Karaibska „cudowność” jest atrybutem tamtejszego świata natury, z jej nieprzebranym bogactwem flory i fauny, a także – odpowiadającego mu stylu w architekturze, malarstwie i literaturze, czyli baroku, w jego wersji hiperbolicznej. „Cudowność” w rzeczywistości, wykreowanej przez poezję Szymańskiej jest efektem tajemniczej więzi widzialnego z Niewidzialnym, uchwytniej jedynie w przeblysku epifanii. Nie tyle już zachwyt Pięknem pełni rolę zasady stwórczej, powołuje wiersz do życia (o czym pisałam szerzej równo dziesięć lat temu), lecz właśnie „cud”, dziwność, niespodzianka, która czai się w najpospolitszym zdarzeniu, najzwyczajniejszych rzeczach, widokach, w „truchcie kundla”, w „dziurawej kołderce śniegu”, w wielkomijskiej klatce dawnego mieszkania na dziesiątym piętrze, w podziwie na widok wykluwającej się koniczyny „na miejscu zwiędłych petunii”. „Cud” może „wybuchnąć” i przemienić rzeczywistość w każdej chwili, pojednać gorące z zimnym, kamień z darem wymowy, nicłość z pełnią istnienia. W ujęciu Szymańskiej cały wszechświat zdaje się być domeną tytułowych „przeblysków” cudowności, które ona potrafi wykrzesać językiem z byle czego. Czy nie dzieje się tak, mimo wszystko, dzięki sile sugestii, zawartej w „podejrzałych” – na obecnym etapie – czarodziejstwach języka, wykształconego u niej na Leśmianie i Przybosiu? Czy nie od nich właśnie, od pokus wirtuozerii, na którą ją stać jak mało kogo, zarządza teraz „odwrot”?

Odpowiedź zdaje się mieścić w fenomenie wiary, inaczej – zawierzenia temu, co JEST. Wystarczy oddać się bez reszty bytowi – zdaje się mówić, po heideggerowsku, poetka – by odsłoniły się, bodaj na okamgnienie, znaki jego świętości. Bo czymże innym jest owa tajemnicza – dla niewtajemniczonych – wiara w Boga? To ona powołuje do „mowy skrzydlatej”. Taka postawa wymaga jednak aktów woli: pielęgnowania i podsycania w sobie łaski uważności, ponawiania ćwiczeń niedostępnego rzekomo „zmysłu udziału”, by – wbrew stoickiemu czy zdroworozsądkowemu sceptycyzmowi, przeniknąć mimo wszystko do wnętrza kamienia, z głośnego wiersza Wisławy Szymborskiej.

W świecie Adriany Szymańskiej nic, na co padnie promień uważności, nie przemija, nic nie upada w błahość czy w brak znaczenia, gdyż „to co na dole” nie może być rozdzielone z „tym co na górze”: stopa dziewczynki położona na „złotym pedale fortepianu” porusza się „w rytm wschodzącego słońca”, a przy-

należy tylko pozornie do porządku zwyczajności kolor pedalu jawi się jako odpowiednik światłości słońca (*Dziewczynka grająca Bacha*). Wszystko w świecie tej poetki działa w tajemnym ze sobą sprzężeniu, dowodząc tym samym cudownej harmonii wszechświata, której Stwórcą i gwarantem może być tylko Bóg. Toteż anioły, polatujące gęsto w wierszach omawianego tomu, mają w nim prawo obywatelstwa, nie są łatwym ozdobnikiem.

Nikt ze znanych mi, współczesnych poetów polskich nie potrafi tak frenetycznie wysławiać i metaforyzować piękna widzialnego świata: tych wszystkich ukochanych zakątków z pejzażami Sandomierza na poczesnym miejscu, drzew „tańczących na wietrze swój ukorzeniony taniec”, ptaków, których Szymańska zna imiona własne, wygląd i zwyczaje, ziół wyniesionych z wiejskiego dzieciństwa, sylwetek psów i kościołów, obdarzonych uwagą ludzi i ulic. Nie przyświeca jej Mickiewiczowskie „widzę i opisuję”, lecz dramatyczny imperatyw, dobitnie wyartykułowany w pięknym wierszu *Na Browarnej*: „zachować”. Zachować w słowie każdy widok i każdy szczegół „zobaczony sercem”, każde zasluchanie w muzykę Henryka Góreckiego czy w skwir jaskólek, przemienić wszystko, co się da, w powtarzaną sobie i innym, polifoniczną „lekcję całości”. Albowiem „gorączka objawień” Adriany Szymańskiej jest – w moim odczuciu – podbudowana bólem śmiertelności i dramatem pytań bez odpowiedzi, bez których jej ekspresje jakże „pracowitego zachwyty” mogłyby się – czytelnikom nie dość skłonny do uniesień – wydać grzechem nadmiaru. Podziwiałam kiedyś męstwo tej arcy-kobiecej poetki, gdy nie zawahała się prorokować wierszem *Ty* (z tomiku *Nagła wieczność*) wizji śmierci najbliższego jej człowieka, dokonać bolesnej operacji świadomości – przede wszystkim na sobie samej. Dzisiaj ma odwagę nakazać swej wyobraźni „rzucić się z głową w dół, w ostatni krąg tajemnic”, zdobyć się zawczasu na gest pożegnania ze światem, antycypować widok własnego grobu, „który przemówi za mnie, gdy całkiem przestanę mówić”. Świadomość dramatyzmu i paradoksalności istnienia nie opuszcza jej ani przez chwilę. To gwarancja, że mistyczny odlot ku niebu nie zerwie się z uwięzi „przyziemności”: w napięciu między jednym a drugim, w przestrzeni „pomiedzy” zachodzi nieustanne iskrzenie, odnawia się „alchemia tęsknoty” i nieuchronnego niedosytu. „Mój zachwyty ma na dnie cierpko-gorzki ciężar” – wyznaje – czyniąc swoim herbertowskie „bądź wierny, idź”, i transponując je na własną wersję heroizmu: „choćbyś nieść miała do końca tę samą niepewność” (*Po burzy*). Z jednego z wcześniejszych zbiorów wierszy poetki pamiętam jeden z jej rewelacyjnych, choć znanych skądinąd z historii filozo-

fii „dowodów” na istnienie Boga: zachwycona widokiem rozpędzonych koni, z którymi się w tej chwili utożsamia, „oparłam ufnie głowę na krawędzi żłobu, wierząc, że sam głód starczy, żeby stał się chleb” (*Ballada o głodzie II*, z tomu *Requiem z ptakami*).

Obok małych traktatów poetycko-filozoficznych (nic dziwnego, że jeden z nich, *Wróbel*, znalazł się w wyborze ulubionych wierszy Leszka Kołakowskiego) zamieściła Adriana Szymańska w drugiej części zbioru kilka „portretów” bliskich jej osób, żywych i umarłych, spośród których na szczególną uwagę zasługuje uroczym staroświeckim *Portret babki Heleny – około 1910* – wiersz zainspirowany starą fotografią, którą autorka „ożywia” na sposób filmowy, przewijając do tyłu taśmę przekazywanej przez lata pamięci o dziewczynce, młodej kobiecie, wreszcie o matce swojej matki, sugestywnie oddając przy tym klimat historii indywidualnej i zbiorowej. Wiersz – majstersztyk realizmu poetyckiego.

W ostatnim, tytułowym utworze tomu, pełniącym rolę muzycznej kody, poetka powtarza „szept uwielbienia”: „*in terra, in terra est caelum meum*”. Na tak żarliwy akt adoracji mogła się zdobyć jedynie Miłość, ta sama, co niegdyś miłość, wywodzona z gąszczu biologii, z głębin „świętego grzechu” zmysłowości, doprowadzona teraz do tajemnic wiary. Poetka powtarza te słowa szeptem, ale po łacinie, najwidoczniej świadoma tego, że wyrażona w tym „odświętnym języku” intencja sakralizacji bytu, będzie w pełni „wiarogodna”.

Dziewczynka grająca Bacha – sportretowana z wdziękiem przez autorkę, z dystansu lat – w istocie nigdy go grać nie przestała. Dopiero jednak, gdy instrument duszy został odpowiednio nastrojony, a tajniki gry na nim opanowane, hymny do „rzeczywistości cudownej” mogły zabrzmieć przejmująco.

Krystyna Rodowska

Adriana Szymańska, *In terra*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003.

Bogusław Kierc

Rzecz na swoim miejscu

Krzysztof Nowicki w poprzedzającej jego ostatnią książkę *Przed Mowię*, dedykowanej Kazimierzowi Hoffmanowi, wyznał testamentalnie: „Odnalazłem się po latach. Ucząc się od ciebie łaski szczegółu i swoistej pokory

wobec świata. Wreszcie skromności, która przypomina, że rzeczywistość ma jeszcze wymiar, o jakim usiłowałem zapomnieć, a nie jest tylko kalendarzem, który odmierza historia”.

Umierający przyjaciel powiedział o Hoffmanie (tym samym o jego poezji) rzeczy najważniejsze. Łaska szczegółu, swoista pokora wobec świata, skromność.

Nad tytułowym wierszem tomu umieścił Kazimierz Hoffman motto z Hölderlina. Dociekliwi odnajdą te słowa w *Orle*. Tam też wypowiedziane zostały nader istotne pouczenia dla każdego czeladnika sztuki poetyckiej, a dla mistrzów – utwierdzenia w duchowym rygorze regulującym wszelkie miary wiersza: „Und was du hast, ist/Atem zu hohlen”.

Hoffman jednak wybrał z tej sekwencji:

Denn wo die Augen zugedeckt,
Und gebunden die Füße sind,
Da wirst du es finden.
Denn wo erkennest,

Co miało być po przecinku?

Przytaczam oryginalną wersję tego, co nad *Kosem* brzmi po polsku: „gdzie oczy zakryte i związane nogi,/tam znajdziesz”.

Przytaczam oryginalną wersję, bo szerzej objawia się w niej motyw, który zapewne pobudził decyzję poety do postawienia słów Hölderlina nad inicyjalnym wierszem tomu.

W urwanym tekście *Orla* to, co „znajdziesz” tam (we śnie), gdzie „rozpoznasz”, to oddech.

Erudycyjne fioritury byłyby wobec książki Kazimierza Hoffmana nie stosowne i bezcelne. Świadom tego, pozwalam sobie nie ukrywać skojarzeń, jakie wywołał we mnie opisywany przezeń cud, bo cudem („cudem prawie”) nazwie to zdarzenie na końcu tomu, więc odwołuję się do dwóch jeszcze faktów poetyckich spoza omawianego zbioru. Jeden to *Święty Kevin i kos* Seamusa Heaney’a, drugi – to ostatni wiersz z *Którego nie było* Rafała Wojaczka zaczynający się słowami: „Kochankowie moi umarli poeci”.

Heaney ukazuje świętego Kevina modlącego się z rozpostartymi ramionami w celi tak ciasnej, że jedno ramię zatopionego w modlitwie wystaje za okno i na odwróconej ku niebu dłoni siada kos, wije gniazdko i składa w nim jajka. Kevin przeniknięty bezpośredniością dotykającego konkretności, jego szczegółowego zaistnienia, „świadom swego włączenia w sieć wiecznego życia”,

postanawia trzymać rękę cierpliwie, całymi tygodniami, „aż młode się wyklują, opierzą, odruną”.

Inna wrażliwość na szczegół przypomniła mi wiersz Wojaczka, który śmierć umarłych poetów nazywa przecinkiem: „Ich śmierć przecinkiem, wciska się w tok zdania”.

Przecinek Hölderlina i przecinek Wojaczka. Przecinki i dywizy Hoffmana. Żadna morfologia porównawcza. Choć

Każda rzecz odsyła do innych, ale jest wyraźna
i na swoim miejscu;

trwa.

To odsyłanie ma bowiem w poetyckiej teleologii Hoffmana walor eucharystycznego odesłania wiernych. Jego dynamiczny sens można by w innych kategoriach porównać z „podatnością” wielowartościowych pierwiastków na wiązanie się z innymi pierwiastkami, co wydaje się bliskie hermeneutyce albo synestezji. A rzecz jest prostsza i jakby najpierwotniej bezpośrednia. Znaczy tym, że jest i przez to, że jest. Na swoim miejscu.

O co tu chodzi? „Chodzi o zbawienie duszy.”

„Pierwiastkiem” Hoffmana, rzeczą Hoffmana jest dusza (ów „oddech” w wierszu Hölderlina), którą się o d s y ł a, by ją znaleźć tam, gdzie „jest wyraźna i na swoim miejscu; trwa”.

Łatwo (i może ładnie) tak powiedzieć. Ale co to konkretnie znaczy, kiedy mówię, że „pierwiastkiem” Hoffmana jest dusza, i wiem, że „chodzi o zbawienie duszy”?

Jeśli myśl o zbawieniu szuka pomocy w ujęciach teologicznych, natknie się na ów „moment ostateczności”, kojarzony z widzeniem Boga i zmartwychwstaniem ciała, ale intuicyjne przeczucie tego momentu znajdzie (często bezwiednie) jako jego o d b i c i e w „momentalności” duszy. Inaczej mówiąc dusza staje się „momentalna” w tym sensie, że łączy do momentu, do szczegółu. Do mgnienia, które trwa:

raz jeszcze, nie wiadomo który to już z rzędu, od-
ślania się w nim obraz, a raczej

szczegół:

zadziwiająco! Oto nieustannie żywy zapach
lakieru (!) łódeczki z drewna: trzyletnie
dziecko, wyciąga ją z wody, unosi nad
prążkowaną światłem płycznę na plaży

koło Helu bodaj, przytula, mokrą, do policzka by
wdychać cudowny dlań
zapach!

i to trwa.

(Dwoje ludzi o zmierzchu)

Ten dawny wiersz Hoffmana, wcześniejszy od pomieszczonych w *Kosie i innych wierszach*, daje pojęcie o tym, co nazwałem „podatnością” do łączenia się (duszy) z innymi „pierwiastkami”. To łączenie się jest osmotyczne. Zapach lakieru, jakim pomalowana była drewniana łódeczka, wspomaga trwanie nie tylko siebie (zapachu-lakieru-jakim-pomalowana-była-drewniana-łódeczka), ale – łódeczki, prążkowanej światłem płycizny, trzyletniego dziecka; tego wszystkiego, co pozostało jako „najbardziej/dojmujące doznanie o b e c n o ś c i morza”.

Podobne temu fenomeny nie podlegają jedynie mechanizmowi synestezji czy intymnej hermeneutyki. Ich zakres duchowy obejmuje przestrzenie i doznania numinozum.

Powtarzający za Lévinasem, że „zawsze wypowiedziane zostaje tylko jedno słowo: Bóg”, poeta poddaje wizje i zdania szczególnej ascezie składni. Wyczula je na drobiazg, na szczegół, na moment właśnie. Jego wiersze są nie tyle ujęciami (lirycznymi), ile „uchwyceniami”.

Takie momentalne „uchwycenie” (czasem – najczęściej – równe zachwyceniu) pozwala mu Wydobyc epifanię zdarzeń i rzeczy. Nie tylko przez „draśnięcia” słów czy samych głosek, ale i przez częste dywizy łamiące słowa, by w miejscu łamania ukazały w roziskrzeniu tę

zielen z krztyną u-
gru ugru złocistego, chłodne wino cienia.

Albowiem to

nic
niemalże, a
trwa. I mówi o człowieku
w zgodzie z naturą.

Błogosławiona drobiazgowość i szczegółowość Hoffmana znajduje swoje uzasadnienie (i wyraz) w cytowanym przezeń zdaniu Leibniza (wiersz zatytułowany jest *Leibniz*): „Dusza całego owada/pozostanie przynajmniej tylko w jednej części/żywej jeszcze, która zawsze będzie na tyle/mała, aby być bezpieczna od działania/tego, który rozdziera czy rozrywa tego/owada”.

Chodzi o tę część na tyle małą, aby była bezpieczna od działania tego, który rozdziera. Czasem tak małą, jak przecinek. Czasem tak nikłą, jak zapach. Ale to w nich się zbawia (trwa) „najbardziej/dojmujące doznanie obecności”. Czy – jak u świętego Kevina – doznanie „włączenia w sieć wiecznego życia”.

Zdaje się, że to jest odpowiedź na pytanie, „czy kos m o ż e usprawiedliwić nas przed Bogiem. Chodzi o zbawienie duszy”.

Bogusław Kierc

Kazimierz Hoffman, *Kos i inne wiersze*, Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 2003.

NOTY O KSIĄŻKACH

Ostatnie dokonanie Zygmunta Kubiaka – przekład z języka greckiego (koine) *Ewangelii według świętego Łukasza*, praca niedokończona, bo planował przełożyć wszystkie Ewangelie. Pismo Święte było dla niego „klasyką nad klasykami”, a tę swoją pracę tłumacza – bardzo trudną, ale jakby natchnioną, nazwał „wspinaniem się na bezmierną górę”. Żywo uczestniczymy w ponownym odkrywaniu tej wspaniałej księgi. Kubiak nie udziwnia, a są tu cienkie granice i żeby ich nie przekroczyć, trzeba wielkiego wyczucia i mistrzostwa stylu. I tak na przykład zostawia piękne „ptaki niebieskie”, nie zastępuje ich „bliższymi” oryginałowi ptakami powietrznymi, czy ptakami z przestworza. We wstępie pisze o czarze tej księgi, o czarze całego Nowego Testamentu i całej Biblii, o czarze „tej narracji i tego uniesienia”, który musi być cierpliwie, pieczołowicie i w natchnieniu odtwarzany. Tłumacz jest kontynuatorem tego wielkiego trudu, stale ponawianego w prawie każdym języku, bo Biblia jest każdego języka w każdym czasie probierzem najważniejszym. Zygmunt Kubiak pisze o swojej miłości do Pisma, do tradycji klasycznej i do polszczyzny. Ten przekład jest częścią drogi „ku prawdziwemu rozumieniu Biblii”, jest „pragnieniem wielkiej miary polszczyzny, wspinaniem się ku niej. To trzeba podejmować wciąż na nowo. Zawsze jest się na progu, tu: na progu Łukasza”.

K.M.

Ewangelia według św. Łukasza w przekładzie Zygmunta Kubiaka dokonany pod patronatem księdza profesora Michała Czajkowskiego, posłowie Marek Skwarnicki, Świat Książki, Warszawa 2004.

W *Komentarzu Żydowskim do Nowego Testamentu* Davida H. Sterna Nowy Testament przedstawiony jest z perspektywy żydowskiej i chrześcijańskiej i podkreślone jest to, co jest wspólne obu nurtom. Tom został zbudowany z dwóch części: pierwszą stanowi przekład grecki Nowego Testamentu, dający wyraz wiedzy i wrażliwości żydowskiej, ukształtowanej w judaizmie rabinicznym; część druga to komentarz do tego tekstu, objaśniający trudniejsze kwestie z punktu widzenia żydowskiej wiary, obyczajowości, obrzędo-

wości i wielu innych czynników składających się na długą i bogatą tradycję żydowską. Jak napisał w przedmowie książd profesor Waldemar Chrostowski: „takie podejście jest możliwe i uprawnione, bo Jezus Chrystus stanowi spełnienie zapowiedzi Starego Testamentu, Jego orędzie zaś zostało wyrażone w kategoriach religijnych, kulturowych, społecznych i językowych ówczesnego judaizmu. Niniejszy *Komentarz* pozwala poznać i dowartościować tę spuściznę, a także wykorzystać ją dla skuteczniejszego wyrażania wiary w Jezusa dzisiaj i żadnej innej rekomendacji nie potrzeba”. Autor – David H. Stern jest wyznawcą judaizmu i jako Żyd mesjanistyczny nie rezygnuje z niczego, co oznacza judaizm i jednocześnie przyjmuje w wierze, że Jezus jest Mesjaszem. W *Komentarzu* są na przykład bardzo ciekawe rozważania odnoszące się do wersetu 6. z 14. rozdziału *Ewangelii według świętego Jana*, dotyczące problemu – judaizm a chrześcijaństwo w świetle nauki Jezusa Chrystusa: „JAM JEST Drogą i Prawdą, i Życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca, jak tylko przeze mnie” (tu m.in. teologia dwóch przymierzy stworzona przez Rabbiego Moszego Ben-Majmona, teoria Rosenzweiga, pisma Goldberga). Ten *Komentarz* wprowadza w środek spraw największej wagi, buduje mosty między Starym i Nowym Testamentem i wzbogaca nasze rozumienie Biblii. Tom uzupełniają: słowniczek imion, nazw i pojęć oraz obszerne, około 60-stronicowe indeksy.

M.W.

Komentarz Żydowski do Nowego Testamentu, przekładu Nowego Testamentu dokonał i komentarzem opatrzył David H. Stern, Prymasowska Seria Biblijna, Oficyna Wydawnicza „Vocatio”, Warszawa 2004.

Wielki, podstawowy zbiór wierszy Zbigniewa Herberta w wyborze i opracowaniu Ryszarda Krynickiego – Tom 44. Biblioteki Poetyckiej Wydawnictwa a5 – z okładką i wklejkami Jana Lebensteina. Od *Struny światła* (1956), tom po tomie, do *Epilogu burzy* (1998) i wierszy rozproszonych (w tym sześć po raz pierwszy publikowanych po polsku) i *Aneksu* z trzema wypowiedziami – autokomentarzami Herberta o klasykach, o rzeczywistości i o współczesności. W sumie 264 wiersze, ale i tak, jak mówi Krynicki w słowie *Od wydawcy*, wiele wierszy z wielkim żalem musiał pominąć. Poprzedni wybór autorstwa samego Herberta zawierał tylko 89 wierszy ułożonych w pięciu tematycznych działach (Wydawnictwo a5, Kraków 1998). Teraz mamy osobistą antologię poezji Herberta autorstwa jej wielkiego miłośnika i znawcy

Ryszarda Krynickiego, adresata jednego z ważnych wierszy Herberta (*Do Ryszarda Krynickiego – list z Raportu z oblężonego Miasta*). Krynicki wyznaje, że jest to jedna z najważniejszych prac jego życia. Dzięki tej pięknej, z czułością i pietyzmem opracowanej edycji wielu będzie mogło obcować z poezją Herberta – jednego z tych, którzy „znali sekret/zaklinania słów formy odpornej na działanie czasu”.

K.M.

Zbigniew Herbert, *Wiersze wybrane*, wybór i opracowanie Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2004.

Po *Rozmaiłościach estetycznych* – wszystkich szkicach Baudelaire’a o sztuce (tom omówiony w 3/2001 nr. „Kwartalnika Artystycznego”) – *Sztuka romantyczna*, obejmująca wszystkie napisane przez Baudelaire’a szkice, artykuły i noty o literaturze i muzyce, ukazująca się w identycznej co poprzedni, pięknej i wzorowej szacie edytorskiej jako tom drugi *Pism* pod redakcją Ryszarda Engelkinga. Poznajemy gusty i opinie literackie, obserwujemy myśli i fragmenty życia wewnętrznego jednego z największych poetów XIX wieku, autora *Kwiatów zła*, *Paryskiego splinu* i *Sztucznych rajów*. Tłumacz większości tekstów i autor wstępu Andrzej Kijowski stwierdza, że te opinie literackie Baudelaire’a są bardzo przewrotne, bo w listach zmieniał je niemal diametralnie, co przecież jest także ważnym świadectwem. Tom składa się z trzech części. *Krytyka literacka* oprócz *Rad dla młodych literatów* zawiera m.in. teksty o *Pani Bovary* Flauberta, o Hugo, którego kochał i nienawidził („że też tyle talentu idzie na takie głupstwa”, napisał o autorze *Nędzników*), o Teofilu Gautier, o którym szkic zaczyna następująco: „Nie znam uczucia bardziej kłopotliwego niż podziw. Przypomina miłość, bo wypowiada się z równą trudnością. Gdzie znaleźć wyrażenia dość barwne czy cieniowane w sposób wystarczająco delikatny, aby odpowiadały wymogom tak wzniosłego uczucia?”, także o Szekspirze. Drugą część stanowią *Studia o Poem* – którego nazywa swoim „bliźniakiem z wyboru”. Całość kończy *Krytyka muzyczna* – tekst o Wagnerze i *Tannhäuserze*, a zamykają obszerne komentarze, przypisy, bibliografia i indeksy.

Dlaczego dziś czytamy Charlesa Baudelaire’a? Dlatego, bo wierzył w „wyższe” przeznaczenie literatury, uważał, że poezja nie jest z tego świata, że całkowicie należy do porządku nadprzyrodzonego, jej materiałem jest świat rzeczywisty, a całym jej doświadczeniem jest życie codzienne. Kijow-

ski wskazuje na dwa źródła Baudelaire'owskiego idealizmu: katolickie wychowanie i mistykę Swedenborga (związki Baudelaire'a z katolicyzmem były bardzo silne). Mistyka poetycka była dla niego metodą ujmowania wszystkich zjawisk duchowych i materialnych. Napisał, że cechą każdego wybitnego pisarza jest własna metoda, dzięki której staje się on filozofem. Był „ostatnim romantykiem” i realistą.

K.M.

Charles Baudelaire, *Sztuka romantyczna*, przełożyli Ewa Burska, Stanisław Cichowicz, Andrzej Kijowski, Magdalena Sawiczewska, Tomasz Swoboda, wstęp Andrzej Kijowski, komentarz i przypisy Claude Pichois, *Pisma*, tom drugi pod redakcją Ryszarda Engelkinga, Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2003.

To ostatnia obszerna praca filozoficzna Witkacego, rozpoczęta w 1932 roku i kontynuowana do końca życia, a po raz pierwszy ogłoszona drukiem w 1978 – uzupełnienie i ciąg dalszy „główniaka”: *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia* (omówienie w nr. 2–3/2003 „Kwartalnika Artystycznego”). Złożony z różnych sporów filozoficznych dobrze przedstawia wiele istotnych problemów ważnych dla Witkacego: co to jest filozofia? co jest jej przedmiotem? jakie są jej zadania? materializm i idealizm; antynomie w myśleniu. Część pierwsza zawiera krytykę materializmu fizykalnego. Część druga poświęcona jest analizie szczegółowych problemów systemu filozoficznego Witkacego – redukcjonizmowi, przyczynowości i monadyzmowi. Główna problematyka tej części dotyczy głównego pytania filozofii Witkacego – pytania o stosunek ducha do materii, czyli zagadnienia psychofizycznego. Część trzecia przynosi obszerne polemiki z m.in. Whiteheadem, Wittgensteinem, Carnapem, Kotarbińskim i Kołem Wiedeńskim (błędne koło w teoriach przedstawicieli Koła Wiedeńskiego). Całość, poprzedzona *Przedmową* Witkacego z lutego 1938 roku, zawiera luki i braki stron, co utrudnia już i tak trudną lekturę, bo te filozoficzne pisaniny Witkacego dla niego ważne, dla czytelników stanowią wyzwanie. Ale czy Witkacy był filozofem? Najwybitniejszy znawca jego twórczości – Jan Błoński o filozofii Witkacego pisze z dystansem, a nawet z lekkim lekceważeniem i pewnie ma rację, bo Witkacy to przede wszystkim dramaturg i prozaik, ale jego filozofia pozwala lepiej rozumieć jego twórczość.

M.W.

Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Zagadnienia psychofizyczne*, opracował Bohdan Michalski, *Dzieła zebrane*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2003.

Prywatny dziennik Jerzego Stempowskiego (1894–1969), napisany w języku francuskim w latach 1940–1941–1942 nie z myślą o publikacji, został niedawno odnaleziony i teraz opublikowany. Adresatką tych zapisów jest bliska przyjaciółka, zmarła w 1940 roku Ludwika (Wichuna) Rettingerowa, którą Stempowski wspierał w walce ze śmiertelną chorobą. „To utrzymywanie jej przy życiu przez blisko 13 lat było moim arcydziełem, *chef-d’oeuvre*, *capolavoro*, najbardziej udanym i niewiarygodnym przedsięwzięciem, podjętym wbrew wszelkim rozumnym obliczeniom”, napisał w jednym z listów. Dziwny to dziennik intymny, wypełniony analizami politycznymi, które dziś czyta się jako fragmentami dziwaczne wywody: mało co tak wietrzeje jak spekulacje polityczne – wykwyty różnych uprzedzeń i emocji. Te fragmenty są słabsze, właściwie niepotrzebne. Trwa wojna, Stempowski znalazł się na wygnaniu i pisze „dla zabawienia cienia zmarłej”, ukochanej kobiety (jej ceniom poświęcony jest *Esej dla Kassandry*). Wojciech Karpiński w przedmowie stwierdza, że Stempowski zstąpił na stopień zero – stylu, literatury, mowy. To jest bardzo ważne dla odbioru tych notatek: „język dokładny, rzeczowy, jasny, przylegający dokładnie do naszych doświadczeń” (tu: rola skrótu w literaturze, która jakby została stworzona dla „pięknego gadulstwa” – patrz pierwszy zapis, drugi akapit *Zapisków*, przykład z *Ewangelii według św. Mateusza*). „Moje życie wewnętrzne było dla mnie tylko muzyką, niczym więcej. Nigdy nie roilem o tym, żeby mu nadać formę inną niż owego płynnego *continuo*, które właściwie tworzy moją osobowość. Zawsze chciałem tylko jednego – słuchać w sobie tego niepochwytanego, umykającego żywiołu, obracać go w ciągłych powtórzeniach”, mówi Stempowski. Samotność (*Bergeinsamkeit*) i w tej samotności wierna, smutna, milcząca zjawia Ludwika, jej cień, jego najlepsza kompania i audytorium. Piękne i ważne fragmenty poświęcone walce z napierającą nicością, ten o różowym krwawniku i te o spotkaniu ze swoją dobroczynną zjawą, o szumie jego rzeki, o drodze powrotnej do domu (W nocy *Foehn*), zapis z 9.2.1941 na temat kobiet. To są piękne fragmenty, prześwitujące na *sacrum*, którego tak bardzo pragnął i szukał.

K.M.

Jerzy Stempowski, *Zapiski dla zjawy oraz Zapiski z podróży do Delfinatu*, tekst ustalił, przełożył i posłowiem opatrzył Jan Zieliński, przedmowa Wojciecha Karpińskiego, Noir sur Blanc, Warszawa 2004.

Matka Marcelina Antonina z Kotkowskich Gombrowiczowa – główna siła kształtująca i formująca Gombrowicza (na zasadzie antyreakcji, jak twierdził) i siostra Irena bardzo religijna (przed wojną działaczka „Verbum” i opiekunka w Laskach), o których pisał „te panie”. Bracia: najstarszy Janusz, po wojnie prześladowany przez komunistów, bez pracy, związany ze swoją pasierbicą Stasią, co Matka uznała za skandal i starszy o dziewięć lat od Witolda Jerzy, po wojnie dziennikarz. Oto środowisko naturalne Gombrowicza, które spacyło go i zmobilizowało, toksyczna „forma familijna”, bez której nie byłby tym, kim się stał. Janusz i Jerzy żyli po wojnie w nienawiści; Janusz po śmierci Matki powiedział: „Cóż, zdechła”, „w czym nic nie widzę strasznego”, skomentował Witold. A jednak mimo rozbicia tej rodziny (rozbicia u podstaw: relacja Matka – Ojciec) i jej toksyczności trzymał się jej, a nawet scalał ją, ratował od nieistnienia. Świadectwem są *Listy do rodziny*. Głównym korespondentem jest Janusz i razem z nim Stasia (cóрка żony Janusza kuzynki Dzidzi (Finezji) z jej pierwszego małżeństwa); listy do Matki i Reny kazał spalić („Jak wiesz, pisząc do Matki musiałem bardzo się ograniczać i nieraz nawet deformować rzeczywistość, więc żadnej wartości te listy nie posiadają”, pisał do Reny). Na 226 listów – 194 są do Janusza i Stasi, którym pomaga finansowo (tak jak i Matce) mimo, że sam żyje biednie. Te listy były pisane od 1949 do 1969 roku (zm. 25.7.1969) z Buenos Aires, Berlina, Paryża, Vence. „Literatura stanowi jedyną moją szansę”, pisze w pierwszym liście z października 1949 roku do Janusza z Buenos Aires i pod tym znakiem zaczyna się ta dziwna, bardzo „odkrywcza” korespondencja. On jest – mimo gier i masek – chyba najbardziej odkryty z pisarzy polskich i to jest, jak widać, paradoksalnie jego główna siła, a w każdym razie przez te szczeliny przenika najsilniej. Gombrowicz ludzki (tu po raz pierwszy!), tak jawnie, tak nieskrępowanie. Tu przez bardzo specjalne filtry poznajemy życie prywatne, a przede wszystkim życie rodzinne Gombrowicza, które jest solą jego literatury. On, nieznosny egocentryk (wszystko dzieje się na marginesie jego spraw), za nic mający innych oprócz tych, którzy jemu służą lub pomagają (albo mogą pomóc), choć i tych ma niekiedy za nic (vide „osiół Sandauer”). Opinie jego są dziwnie powykręcane (np. o Sartre: „jego dzieło filozoficzne, zdumiewająco precyzyjne, niesłuchanie głębokie, a zarazem zaskakująco niedorzeczne”), rażąco niesprawiedliwe.

W listach dominuje załatwianie jego spraw. Obserwujemy, co się dzieje w krótkim okresie wydawania go w PRL-u („nie trzeba niczego odwle-

kać, a tylko na chybcika publikować, co się da, gdyż nie wiadomo, jak długo potrwa koniunktura"). Sprawy wydawnicze załatwia Janusz, Gombrowicz wdaje się w różne „taktyki”, kwituje honoraria, liczy forszę, pilnie śledzi głosy o sobie: „jestem zagranicznym rywalem, który psuje szyki” („Mocno zde gustowany jestem tym gędzeniem na temat moich utworów: jest to na ogół rozpaczliwie nudne, chemicznie wyprane z wszelkiego talentu, słowem, z tego, co każdy krytyk mieć powinien – a także przerażająco niechlujne, do tego stopnia, iż ja sam niewiele mogę zrozumieć. To «polonistyczne» gęganie już bokiem mi wyłazi i podziwiam, że państwo walczące ciężko o byt materialny utrzymuje taką armię «krytyków». Ale przysyłaj nadal – chcę wiedzieć, co piszą”). Cały czas punkt oparcia ma w „Kulturze”.

Potem jest pełno o sukcesach, aż się niedobrze robi, mdli: sukces i sukces, arcsukces, znowu sukces, sukces wkoło Macieja. Ileż cytatów pochwalnych o sobie, np. „Trzy ostatnie numery «Kultury» poświęcone są apoteozie mojej osoby”, „Moja wielkość zaczyna się jakoś zagęszczać”, „Moje akcje na giełdzie literackiej ciągle idą w górę” etc. etc. (czy Miłosz by tak napisał?!). Ale w tym natłoku spraw są oczywiście bardzo inteligentne uwagi, jak na przykład te w jednym z tych kilku listów do Reny – o wierze, o katolicyzmie (list 88). Większość dzieje się w egocentrycznej pustce: bez wiary, bez miłości, bez najbliższych, do których Ignie („opiszcie swój dzień”, prosi, zaprasza do siebie, umawia się na spotkania). Wszystko zastępuje literatura (vide list pierwszy) – nią i z niej żyje. W listach pisze o kłopotach, narzeka, wynosi się, żartuje, podtrzymuje na duchu (siebie i ich). Jak powiedziałem, jest ludzki: szuka pracy dla Stasi, szuka kontaktu z trudnym Rysiem, synem Janusza, załatwia leki Januszowi, wspiera duchowo w chorobie – sam chory, sam na początku biedny wspiera finansowo rodzinę, daje pieniądze na uporządkowanie grobów rodzinnych. I to jest dla mnie nowy Gombrowicz, na którego patrzę inaczej niż przedtem, ale oczywiście w powiązaniu z tamtym drugim Gombrowiczem, który także jest w tych listach obecny. Gombrowicz cynik, Gombrowicz antypatyczny, czy wręcz żalosny: np. o propagandzie *Ferdy* w Paryżu pisze: „Kot rzeczywiście lata jak kot z pęcherzem” albo: „Fragmenty *Dziennika* ukażą się w «Preuves» dopiero w styczniu, bo ten sk...syn Pasternak zabiera masę miejsca w prasie, ale postanowiłem się zemścić i usiłuję podbechtać Kota i Sandauera, aby zorganizowali polemikę w Paryżu na temat, iż *Ferdy* powinna dostać Nobla (ale może już Ci to pisałem)” albo te nuty zazdrosnego niepokoju

w napomknieniach o Brunonie Schulzu. Wiele jest takich mielizn. W 1961 roku dostaje pierwszą w życiu nagrodę (200 dolarów) od Giedroycia. Gra dalej. W liście z 1963 roku pisze: „Moje życie staje się coraz bardziej jak z filmu, wczoraj nakręcali ze mną film i medytowałem, że rzeczywiście stałem się aktorem. *Pourvu que cela dure!*, [(franc.) Oby się nie skończyło!] jak mawiała matka Napoleona! Do widzenia”. A przecież tak intensywnie grając, wypala się: pisze, że jego stosunek do literatury jest zimny, do malarstwa – żaden, do filozofii raczej żakowski i jedynie kiedyś ekscytowała go muzyka, którą już też się nudzi. („Byłoby dramatyczne, gdybym stracił to hobby”, konstatuje.) Narzeka na nerwy, silne depresje, wrzody w żołądku (literatura i nerwy, nerwy i życie). Nawet sukcesy coraz mniej go obchodzą („wprawdzie prowadzę całą tę batalię na wszystkich frontach i odcinkach, ale bez cienia entuzjazmu”). Snuje idee samobójcze, prosi o truciznę (w razie czego). Ostatnie chwile życia umila mu młoda Rita: „Żyję b. systematycznie i ostrożnie, przeważnie w domu siedząc, na szczęście z naszego mieszkania piękne widoki na wszystkie strony”. Tak, te listy dają nowe widoki na Gombrowicza.

K.M.

Witold Gombrowicz, *Listy do rodziny*, opracowanie Janusz Margański, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004.

Nieoczekiwane, ale bardzo korzystne zestawienie korespondentów: Mrożek – Błoński. Los płata dobre figle. Główny blok stanowią listy z lat 1963–1966, gdy obaj korespondenci są zagranicą i mogą pisać, nie licząc się z cenzurą. Od 1967 do 1974 roku Błoński jest w Krakowie, a gdy od 1974 roku znowu jest we Francji, korespondencja już nie jest tak dynamiczna jak przedtem. W roku 1996 Mrożek wraca do Krakowa z dalekiego Meksyku na stałe. U Mrożka od początku ważny jest temat: tam (w Polsce) – tu (na emigracji), obserwujemy jego „borykanie się z Polską”. Zresztą obaj żyją Polską nie Polską: PRL-em, krainą, w której panuje kłamstwo, „dezinformacja i demoralizacja moralna”. Pojawia się kontekst marca 1968 roku, Listu 34. W dzisiejszych kontekstach te analizy i opinie Mrożka wcale się nie zdezaktualizowały, na przykład to, co pisze o PZPR, odnosi się dziś do SLD i im pochodnych partii. Ale najważniejsze tematy i wątki dotyczą literatury i one stanowią o dużej wartości tego pękatego tomu. Mrożka sprawa z Gombrowiczem. Mrożek jest jakby natchniony Gombrowiczem, cią-

gnie go w stronę jego języka i stylu, ale przecież – to także uświadamia mu Błoński – widzi, że to dla niego nie to, nie te sfery i nie te rangi, i odskakuje, pomniejsza w sobie Gombrowicza, którego nazywa Gombdziem. Błoński też ma swoją sprawę z Gombrowiczem, nawet go trochę naśladuje, jakby starał się z nim jakoś oswoić, jakoś do niego dojść (w czerwcu 2004 roku Jan Błoński powiedział mi, że książka o Gombrowiczu jest jego najlepszą książką). W tle pojawia się często Lem – dla Mrożka ważny punkt odniesienia. Oczywiście pojawia się Miłosz, jako niedosiężny mistrz i współtowarzysz na emigracji. Ale głównie Mrozek zajmuje się sobą: „przecież tylko o mnie mi chodzi”, mówi. A Błoński – nie! i dlatego w sumie jest w tej wymianie listów lepszy, pełniejszy, inteligentniejszy, bardziej wewnętrzny, duchowy (u mnie zdecydowanie więcej podkreśleń jest w listach Błońskiego niż Mrożka). Snuje świetne analizy krytyczne i psychoanalizy. Ważna jest analiza Mrożka dotycząca *Sennika współczesnego* Konwickiego i szerzej – prozy i dramaturgii polskiej. U Błońskiego podkreśliłem fragmenty między innymi o dandysostwie, mizantropii, formie, wpływach, inercji, jadach nihilistycznych (tu m.in. nihilizm socjalistyczny), religijnych koncepcjach literatury. Jakże ważne! Mrozek pisze: „Znajduję się trochę w sytuacji człowieka, który żeby udowodnić sobie, jaki jest odważny i silny, puścił się samotnie tratwą przez morze. Wszystko było pięknie, ale teraz próba stała się rzeczywistością, fale i zimno, i właśnie rzeczywistość”. I tak było i jest z nim, i nie tylko z nim.

We wstępie Nyczek napisał, że polska literatura współczesna dziennikami i listami stoi. Rozumiem zew emocji po lekturze tego tomu, ale bez przesady, tak nie jest i dobrze dla naszej literatury, że tak nie jest.

K.M.

Jan Błoński, Sławomir Mrozek, *Listy 1963–1996*, wstęp Tadeusz Nyczek, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004.

To już siódma książka Hanny Krall wydana przez oficynę a5 (*Dowody na istnienie* – 1995, 1996, 1999, 2000, 2001; *Zdążyć przed Panem Bogiem* – 1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004; *Tam już nie ma żadnej rzeki* – 1998, 1999, 2000, 2001; *Taniec na cudzym weselu* – 2001, 2002; *To ty jesteś Daniel* – 2001; *Hipnoza* – 2002). Autorka, pisarka od początku dojrzała i szczególnie wyczulona na trudne problemy wielowiekowego sąsiedztwa Polaków i Żydów, asymilacji i ortodoksji, czasu próby dla jednych

i zagłady dla drugich, z której nie można praktycznie było wyjść zwycięsko – obrała tym razem za temat swojego literackiego reportażu dzieje starego lubelskiego domu, położonego *in circulo civitatis*. „Co powinno znaczyć «w centrum świata», a znaczy zaledwie – w obrębie miasta.” Świat Żydów lubelskich jest światem tak starym jak dzieje otaczającej kamienicę zabytkowych budowli-institucji: klasztoru Dominikanów, Katedry i Trybunału Koronnego. Każda z tych instytucji ma w relacji autorki osobne i szczególne miejsce, w każdej działa się rzeczy historyczne i kulturowo doniosłe, przełomowe, mające swoje konsekwencje aż do czasów obecnych. Niepoślednią rolę w tej opowieści gra także historia lubelskiego Zamku, zamienionego w więzienie w czasach carskich, i pełniącego tę rolę z bezwzględny okrucieństwem aż do czasów PRL-u: kaci i śledczy zmieniali języki, mundury i ideologie, a ofiary – niezależnie od historycznego momentu – niewielkie miały szanse na przetrwanie pobytu w celach i kazamatach osławionej lubelskiej katowni.

Kamienica, jak w klasycznej XIX-wiecznej fabule, pełni rolę „narratora” akcji i splotu skomplikowanych losów ludzkich. Należała w XVI wieku do kupca korzennego Jana Aromaniusa, w XIX „przeszła na własność małżeństwa Arnsztajnów – Franciszki i Marka. Ona była poetką, on doktorem medycyny”. To para głównych bohaterów „reportażu z przeszłości”. Z Franciszką przyjaźnił się Józef Czechowicz, utalentowany katastrofista i awangardowy poeta, związany potem z bohemą warszawską. Czechowicz był w mieszkaniu doktorostwa Arnsztajnów, wydał w 1934 roku z Franciszką wspólny tom wierszy pt. *Stare kamienie*. W poetyckim dialogu ważną rolę odgrywał motyw linii życia. Czechowicz uważał, że jego linia jest „wyjątkowo długa”. Początek września tragicznie zaprzeczył astrologicznym przesądom – żywot młodszego od Franciszki Józefa skończyła przypadkowa bomba: w zakładzie fryzjerskim, do którego poszedł się ogolić, zginął jeden tylko mężczyzna. W kieszeni miał słownik polsko-niemiecki, „własność Józefa Czechowicza”. Franciszka, z którą dzielił się swoimi obsesjami („pani bierze je na siebie”) – śmiercią i samotnością – przeniosła się przed wojną, już jako wdowa, do Warszawy, tu podjęła decyzję dobrowolnego pójścia do getta. Wcześniej, mając ponad siedemdziesiąt lat, przyjęła chrzest („Nie wiadomo dlaczego”). Do wybuchu wojny tragedie nie oszczędzały jej – gruźlica pozbawiła ją słuchu, syn Jan, lekarz i legionista odznaczony Krzyżem Polonia Restituta, zaraził się gruźlicą i zmarł w sile wieku, narzeczona popełniła samobój-

stwo na jego grobie. W Warszawie mieszkała tylko z wnuczką, wnuczka zaraziła się też gruźlicą, ale wyleczyła się z niej rąbiąc syberyjską tajgę. Franciszkę przypuszczalnie zastrzelono w ostatnim czynnym w warszawskim getcie szpitalu, zlikwidowanym w styczniu 1943 roku. Choć (nie przeżył żaden świadek) mogło być zupełnie inaczej. Jedynym właściwym słowem jest słowo „podobno” albo „prawdopodobnie”, „być może” – pojawiają się one najczęściej w opowieści Hanny Krall. Życie mieszkańców tej kamienicy jest odtwarzane z okrucichów, z dokumentalnych zapisów, aktów zgonu, listów, spisów lokatorów. Bardzo niewiele, a jednak w kilku obrazach i w kilku dialogach odradza się ich egzystencja i psychika, stają przed nami żywi, jedyni, niepowtarzalni ludzie. Mistrzostwo w opanowaniu materiału i formy sprawiają, że lektura działa na naszą wyobraźnię, przynosi nadzieję, szansę na prawdziwy dialog sumień. Złe duchy, które pilnują ludzkiego nieszczęścia jak głowa diabła wyrzeźbiona na drewnianej lasce, podarowanej przez Czechowicza Janowi Arnsztajnowi, odchodzą wraz z Duchem Czasu, który z jednych czynił tchórzy i kanalie, z innych, znacznie mniej licznych, bohaterów i miłosiernych Samarytan. Każde imię ocalone z zagłady i przywrócone pamięci jest bezcennym aktem zadośćuczynienia i pojednania, ważniejszym niż zapalanie zniczy i inne, piękne, symboliczne i szlachetne, gesty.

J.G.

Hanna Krall, *Wyjątkowo długa linia*, Wydawnictwo a5, Kraków 2004.

Opowiadania z Ogrodowej są debiutem prozatorskim Marka Idczaka i jest to piękny debiut. Wydawnictwo „Czytelnik” okazało się wierne swojej dobrej tradycji wydawania literatury wartościowej i w czasach, kiedy wszystkie (oczywiście trochę przesadzam, są wyjątki, co nie zmienia ogólnowydawniczego trendu) wydawnictwa z niecierpliwością wypatrują kolejnej wersji sklonowanej M-skiej, wydaje zbiór opowiadań nieznanego autora. Mało że autora nieznanego np. w Warszawie, Marek Idczak pojawił się niespodziewanie w literackim pejzażu Gdańska i trzeba powiedzieć, że wystartował świetnie. Niepotrzebnie wydawca, polecając książkę, przyszył od razu Idczakowi literackich gdańskich starszych kuzynów, co nie zawsze jest prawdziwe (o czym najlepiej wie sam autor), natomiast rzeczywiście jest widoczny patronat Edwarda Stachury, ale daj Boże każdemu

takie umiejętne wykorzystanie nauk pobranych z lektur Steda. Autor nie ukrywa zresztą tego ładnego patronatu i jako motto *Opowiadań...* położył cytaty ze Stachury: „Odnalazły się marzenia, które włożyłem kiedyś do dziurawej kieszeni...”.

Sześć opowiadań, składających się na książkę Marka Idczaka, przywraca Sopot z połowy lat siedemdziesiątych, magiczny dolny Sopot widziany oczyma dziesięcioletka, chociaż są to już oczy prawie o trzydzieści lat starszego chłopczyka. „To były pewnie całkiem zwyczajne papierówki, zaczarowane tylko zaklęciami mijającego czasu...” – takich odwołań do czasu bezpowrotnie przeszłego jest w tym tomie dużo i Idczak bardzo umiejętnie, jak na debiutanta i czterdziestolatka, który jeszcze trzy lata temu nie miał absolutnie nic wspólnego z tworzeniem literatury, rozgrywa pisarsko przekładanie się czasu minionego i teraźniejszości. Świat dawnych dziecięcych zaklęć, wtajemniczeń, inicjacji powraca na nowo, jakby autor *Opowiadań z Ogrodowej* odkopał przypadkiem swoje – i swoich przyjaciół z dzieciństwa – dawne tajemnice, zakopane kiedyś w niezapamiętanym miejscu, i nadał im tylko dojrzałą pisarską formę. Jako częsty i aktywny bywalec Sopotu z tamtych lat nieobojętnie czytam o znajomych ulicach, knajpach i miejscach, i czasami odczuwam dość intensywny nostalgiczny posmak, na tamtym sopockim szlaku są też moje, choć nie dziecięce, wspomnienia. Teraz wędruję na nowo niedawnym dawnym Sopotem czytając *Opowiadania z Ogrodowej* i daję się prowadzić tamtym chłopcom z opowiadań po magicznych dla nich miejscach, które pewnie do dzisiaj są dla nich wciąż magicznymi. Jest bardzo prawdopodobne, że od teraz niektóre sopockie miejsca będą dla mnie miejscami zakłętymi w opowiadania, chociaż, jak pisze Marek Idczak z bezradnym smutkiem w jednym z nich: „Sopot, ale nie tylko, bo również Gdańsk z Oliwą, Brzeźnem, Wrzeszczem, Nowym Portem – więcej nie ma co wymieniać, bo zbyt smutna to wyliczanka – przypomina teraz wspaniałą niegdyś primadonnę, rozbudzoną w środku nocy i przyłapaną bez toalety...”.

Ten debiut nie powinien zostać przeoczony. Pojawił się ciekawy autor, dla którego literatura zdaje się być świętością, więc to powinno dobrze rokować na przyszłość. Oby tak się stało.

A.J.

Marek Idczak, *Opowiadania z Ogrodowej*, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2004.

Ważna to książka i nie rozrachunkowa, chociaż dotyczy rzeczywistości emigracyjnej, a także polskiej. Obejmuje lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte ubiegłego stulecia. Jej autorem jest Stanisław Świątek, urodzony w 1949 roku. Dziennikarz, pisarz i, jak sam o sobie pisze, emigrant, który lata odzienia od kraju spędził we Francji. Smutna to opowieść, właściwie dziennik. Jego zawartość będzie bliska tym, którzy poszukują drogi do siebie. Czasami wiedzie ona krętymi ścieżkami. Bywa, że emigracja może być tylko pretekstem do odbycia wewnętrznej podróży, nie zawsze zakończonej sukcesem.

Ponieważ poza Polską spędziłam ważne lata swojego życia, wtedy, kiedy w kraju mojego urodzenia zmieniały się nazwy ulic i ludzie, wiem, jak trudno się powraca do znajomych miejsc, czasami po to, aby już zawsze czuć się emigrantem. Świątek nie przynosi nam odpowiedzi na pytanie, czy nadal jest emigrantem, czy może odnalazł na nowo swoje miejsce w Toruniu, gdzie obecnie przebywa.

Czy dlatego, nie poznajemy jego odpowiedzi, ponieważ *Poszukiwanie kapliczki* jest dopiero pierwszym tomem zwierzeń? Liczę, że autor udzieli jej nam w kolejnej książce. A na razie zostaje np. ten fragment z przeszłości, który opowiada o drodze do miejsca odosobnienia, 13 grudnia 1981 roku: „Siedzieliśmy w milicyjnej suce na ławkach pod ścianami. Nie było okien. O kierunku jazdy można było wróżyć z milimetrowych prześwitów między blachami. Nie myśleliśmy jeszcze, jak taką szparę poszerzyć, aby przeprchnąć przez nią gryps. Zresztą, co nadać i jak? Nie widzieliśmy, gdzie nas zawiozą, nie było na czym i czym pisać, żeby to wyrzucić w śnieg w środku pustkowie”.

Czy przytoczony opis był początkiem wewnętrznej drogi autora, po której rozpadł się jego cały dotychczasowy świat, a także każdego, komu jest dany dar głębokiego przeżywania rzeczywistości? W takich kategoriach, głównie pytań, postrzegam *Poszukiwanie kapliczki* Stanisława Świątka. Tom zatytułowany *Góra*. Co będzie dalej? Czy Świątek odnajdzie sens życia i znowu „znajdzie się na orbicie”, jak wtedy, kiedy Polak został papieżem. Odpowiedź zapewne poznamy po ogłoszeniu kolejnego tomu wspomnień i przemyśleń autora.

M.B.

Stanisław Świątek, *W poszukiwaniu kapliczki*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2003.

Albert Camus: los i lekcja Joanny Guze, polskiej tłumaczki dzieł autora *Dżumy*, jest świadectwem fascynacji światem, jaki ofiarował „piękny pisarz i piękny człowiek”. Kochał swoją milczącą matkę, Południe, słońce, morze, grę w piłkę i książki. Pisarstwo uważał za powołanie, służbę, obecność na „galerze epoki”. Łączony z Sartre’em od swojego pisarskiego początku przeciwstawiał się jego estetyce. Uważał, że każdemu pisarzowi grożą dwa przeciwstawne niebezpieczeństwa: urazy i satysfakcje. Był wierny światu „biedy i światła”, z którego wyszedł i który uważał za źródło swojej twórczości. Był agnostykiem, ale nie nihilistą. Obserwujemy jego linię absurdu: *Kaligula*, *Obcy*, *Mit Syzyfa*. W tych tekstach stwierdza, że absurd rządzi światem. Absurd jest więc faktem, ale faktem jest też bunt przeciw absurdowi, który Camus opisuje i wskrzesza w *Dżumie* i w *Człowieku zbuntowanym*. Zło jest zgorszeniem i trzeba z nim walczyć i nie chodzi tu o bohaterstwo, ale o uczciwość. W nieszczęściu nie można być po stronie nieszczęścia. *Dżuma* jest, jak pisze Guze, apologią buntu w literackiej fikcji, a *Człowiek zbuntowany* – analizą buntu w jego dwóch zasadniczych postaciach, metafizycznej i historycznej. W *Upadku* pojawia się nowa wiara – wiara w winę człowieka, bo nie sposób jest uwierzyć w jego niewinność. Wojny, obozy koncentracyjne, gwałt i przemoc są dziełem człowieka, w którym jest dwoistość, pomieszanie i pycha, próżność i pogarda. Nadzieja łaski jest szansą, jaką daje człowiekowi Camus w swoich późniejszych utworach. W *Pierwszym człowieku* wraca do swoich początków. Tej powieści nie skończył, zginął w wypadku samochodowym. W *Notatniku* zapisał: „Trzeba mi było dziesięciu lat, by zdobyć to, co wydawało mi się bezcenne: serce wolne od goryczy. I, jak to często się zdarza, gdy gorycz była już za mną, zamknąłem ją w jednej czy dwu książkach. Tak więc zawsze będę sądzony wedle tej goryczy, która jest mi już niczym. Ale to słuszne. To cena, którą trzeba zapłacić”. I: „Urbino. Te małe miasta zamknięte, surowe, milczące, doskonałe. Pośrodku nagich murów obojętne postacie z *Biczowania* czekają wiecznie w obliczu aniołów i wyniosłej Madonny Piera della Francesca. San Sepolcro. Chrystus zmartwychwstał. On wstaje z grobu, nieulekły bojownik. Freski Piera. Dolina San Sepolcro, dokąd trzeba powrócić u końca życia. Rozległa, szeroka, pod spokojnym niebem, strażniczka tajemnicy”. W liście *Do Nemezis* napisał: „Za krzyżem demon. Niech pozostaną razem. Twój pusty ołtarz jest gdzie indziej”. Camus serio traktował absurd. Opi-

sując jego śmierć Guze napisała, że absurd odpowiedział mu tym samym, a opisując jego grób, przytacza jego dziesięć słów-kluczy: „Świat, cierpienie, ziemia, matka, ludzie, pustynia, honor, bieda, lato, morze”. Jest to, co jawne i to, co ukryte.

K.M.

Joanna Guze, *Albert Camus: los i lekcja*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2004.

Dwa zdania – przecież nie najważniejsze – w *Pożegnaniu z uproszczeniami* wydają mi się znamienne dla metody ich autora: „Okno krytyczne i wrażliwe na obłudę światową i zakłamania”. „Pesymizm, jeśli nawet nie jest nam już potrzebny jak dawniej, jest ciągle przydatny jako system wczesnego ostrzegania.”

W tym sensie książka Jerzego Gizelli jest pesymistyczna i rzetelnie ustanawia swój system wczesnego ostrzegania.

Ostrzegania przed „przyjazną” liberalizacją myślenia i wartościowania, przed „atrakcyjnym, agresywnym, bezlitosnym, wyrafinowanym i zwycięskim złem”, przed zawziętością i determinacją „samodestrukcji duchowej” pokolenia po komunizmie. Przed konsekwencjami zgody na parodystyczną wersję kultury „wulgarnej, prymitywnej, wesółkowej, politycznie poprawnej, doprawianej magią i horrorem”.

Rozprawiając się z uproszczeniami aksjologicznymi, etycznymi i estetycznymi aktualnych „uwarunkowań” naszej współczesnej literatury, przywraca pamięci (w każdym razie usiłuje przywrócić!) dzieła pisarzy zlekceważonych bądź skazanych na zapomnienie przez wielu, świadomie i nieświadomie poddanych wierności medialno-rynkowemu paradygmatowi literatury dobrze widzianej.

Trudno uwierzyć, ale do Krainy Niepamiętnych odchodzą już i Herling-Grudziński i Herbert. Przebywają w niej Andrzej Kijowski i Jan Józef Szczepański. Cóż więc mówić o Remboku, Jędrkiewiczu, Mackiewicz, Sergiuszu Piaseckim czy Marianie Zdziechowskim?

Nawet tam, gdzie nie powtarza tego zdania *expressis verbis*, Jerzy Gizella zdaje się nieustępliwie przypominać: „Naród, który traci pamięć, traci sumienie”.

Jego fascynująca książka o depozytariuszach pamięci narodu i o ich wiernych orędownikach jest nie tylko zbiorem recenzji i szkiców, ale – pozostając

nim – staje się (*in statu nascendi*) rozprawą o powinnościach i obowiązkach ludzi mądrych, którzy jeszcze nie stracili wiary w „posłannictwo literatury pięknej”.

B.K.

Jerzy Gizella, *Pożegnanie z uproszczeniami*, Wydawnictwo ARCANA, Kraków 2003.

Sylvia Plath nie jest postacią obcą polskim czytelnikom – już w latach 70. ukazywały się jej wiersze, słynna powieść *Szklany klosz*, „Literatura na świecie” poświęciła jej spory blok. Potem można było przeczytać *Listy do domu*, *Opowiadania*, kolejne wybory wierszy. Dlatego to chyba raczej dobry zbieg okoliczności, że aktualnie ukazały się: nowy, dwujęzyczny wybór wierszy, powieść biograficzna Sylvia Emmy Tenant, *Sylvia Plath i Ted Hughes* Erici Wagner i słynne *Dzienniki*. Napisałem o wydawniczym zbiegu okoliczności, chociaż domyślam się, że w jakimś sensie przyczynił się do tego aktualnie grany w kinach film *Sylvia* – oparty na powieści Emmy Tenant. Ale Sylvia Plath jest poetką na tyle ważną, że przymykam oko na ten komercyjny splót książkowych zdarzeń. Filmu jeszcze nie widziałem, a z wymienionych tytułów znam na razie – i to dogłębnie – dwujęzyczny wybór wierszy, którego pierwsze wydanie towarzyszyło mojej młodości.

Przeczytałem już parę miesięcy temu książkę Erici Wagner i mam pewien kłopot. Jest to bowiem książka łącząca biografistykę z krytyką literacką, a przede wszystkim dotycząca przedśmiertnego tomu wierszy Teda Hughesa *Listy urodzinowe*. Bez znajomości tego tomu książka Wagner traci połowę wartości. Myślę, że Wydawnictwo Literackie, które nie omija poezji, a wręcz przeciwnie, powinno jak najszybciej nadrobić brak *Listów urodzinowych*; ma przecież W.L. w chwalebnej sławie wybór (dwujęzyczny) Teda Hughesa, więc proponowałbym iść za tzw. ciosem. Do dzisiaj przechowuję wycinek z „Tygodnika Powszechnego” sprzed paru lat z kilkoma wierszami z tego właśnie tomu Hughesa...

Wybrzydzam, ale robię to w dobrej wierze. Książkę Erici Wagner czyta się jako przejmujący, tragiczny romans o dwojgu poetach, którzy na zawsze zostaną w historii światowej literatury.

A.J.

Erica Wagner, *Sylvia Plath i Ted Hughes*, przełożył Tomasz Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004.

Listy zajmują ważne miejsce w twórczości świętego Hieronima, należy je umieścić zaraz po jego największym dziele – *Wulgacie*. W omawianym tomie znajdują się trzy listy Hieronima do córki św. Pauli – Eustochium. List 22. jest rozprawą o chrześcijańskim dziewictwie zachowywanym ze względu na Królestwo Niebieskie, na Chrystusa. Trzeba – na wzór Abrahama – całkowicie zerwać ze swoim dotychczasowym życiem. To jest bardzo trudne, bo na pokusy narażeni są wszyscy, nawet surowi pokutnicy żyjący na pustyni, a co dopiero zwykli, słabi ludzie. Człowiek musi uwolnić się od wszystkiego, żeby pójść za Chrystusem i rozpocząć surowe, ale najbogatsze z najbogatszych życie. I tak św. Hieronim rozmiłowany w dziełach Cyserona i innych wielkich klasyków, zaprzestał ich czytania, aby cały czas czytać tylko Pismo Święte. I nie ustawał w modlitwie (dla świętych nawet sen jest modlitwą). W liście 31. dziękuje Eustochium za listy i podarunki i omawia ich duchowe znaczenie. List 108. jest przede wszystkim dziejami duszy, które Hieronim przedstawił w formie przemowy żałobnej. Mamy w nim rozdziały opisujące przeżycia doznane w czasie wędrówki do miejsc związanych z Nowym Testamentem i pobyt w nich, m.in. w Jerozolimie, Betlejem i Nazarecie (*peregrinatio/itinerarium ad loca sancta*).

M.W.

Św. Hieronim, *Listy do Eustochium*, przekład, wstęp i opracowanie Bazyli Degórski O.S.P.P.E., Wydawnictwo Benedyktynów TYNIEC, Kraków 2004.

Jest to jeden z najważniejszych utworów dotyczących kapłaństwa, powstałych w okresie patrystycznym. Grzegorz formułuje w nim program praktyczno-ascetyczny. Porusza problem związków życia aktywnego i kontemplacyjnego. Mówi o przygotowaniu do kapłaństwa i dojścia doń, o życiu i świadectwie życia kapłana, o nauczaniu poszczególnych grup ludzi, o pokorze jako cnocie koniecznej. Świetnie skomponowany tom łączy poszczególne księgi i rozdziały misternym systemem powiązań i odwołań. Jednym z najświetniejszych fragmentów *Księgi reguły* jest księga trzecia, w której Grzegorz w czterdziestu rozdziałach przeprowadza analizę najróżniejszych kategorii ludzi, do których kaznodzieja ma przemawiać. Bardzo ważne są wszystkie fragmenty dotyczące Biblii – Grzegorz opiera swoją egzegezę na sensie dosłownym, który uważa za podstawowy, ale trzon jego interpretacji stano-

wi alegoria i moralizatorstwo (opiera się m.in. na egzegezach Orygenesusa i św. Augustyna). Język *Księgi* jest prosty, pozbawiony nieznosnej retoryki, choć i ona pojawia się w ulubionych przez Grzegorza antytezach i sentencjach. To dzieło miało wielki wpływ na kulturę chrześcijańską Europy średniowiecznej, a także na wieki późniejsze, do współczesności włącznie: Jan Paweł II nazywa Grzegorza wielkim mistrzem życia duchowego i cytuje jego słowa, że trzeba dostosować swoją mowę do swoich słuchaczy tak, aby mogła być ona przez nich przyjęta, a to jest wielka sztuka, możliwa tylko dzięki odnawiającej się łasce.

M.W.

Grzegorz Wielki, *Księga reguły pasterskiej*, wstęp i opracowanie ksiądz Marek Starowieyski, przekład Ewa Szwarzenberg-Czerny, Wydawnictwo Benedyktynów TYNIEC, Kraków 2003.

Nieznany Autor, prawdopodobnie pustelnik, zwraca się do młodego ucznia, aby przekazać mu swoje wielkie doświadczenie i naukę o życiu kontemplacyjnym – oto geneza *Chmury Niewiedzy* – jednego z klasycznych dzieł o życiu duchowym, które powstało w Anglii w XIV wieku. Mówi Anonim: „Bóg jest światłością i żadnej ciemności w Nim nie ma, ale światłość, w której mieszka Bóg, jest niedostępna, ona świeci w ciemnościach naszego nierozumienia i oślepia tych, którzy kontemplują jego chwałę, tak, że nazywają Go Ciemnością” (taki pogląd głoszą także m.in. św. Augustyn, św. Grzegorz z Nyssy, czy św. Grzegorz z Nazjanzu). Ale ta transcendencja Boga nie powinna nikogo zniechęcać: niedostępny dla rozumu Bóg nie jest tak samo niedostępny dla wiary i miłości. Aby ujrzeć Boga, trzeba razem z Mojżeszem wejść w ciemność obłoku – wiara złączona z miłością jest pewnością rzeczy, których nie widzimy, ona niczego nie udowadnia, ale ma większą pewność od tych, którzy szafują różnymi dowodami. Człowiek musi wejść w działanie Boga i działać razem z Nim, „uderzać w chmurę”. Cały czas powinniśmy wpatrywać się w Tego, który jest niewidzialny, ale jedynie rzeczywisty i żywy. Ten traktat, który uczy nas tak wiele, dzieli się na trzy części, które się wzajemnie dopełniają: Czym jest dzieło kontemplatyka? W jaki sposób i w jakich warunkach się dokonuje? Jakich złudzeń należy unikać? Do Boga dochodzimy w świecie poprzez siebie, poprzez swoją wielką pracę wewnętrzną (duchową), przez Krzyż i przez Jezusa Chrystusa, aż do całkowitego zjednoczenia unicestwionej duszy ze

Słowem – wtedy króluje tylko Bóg. Ten traktat główny uzupełniają: *List o modlitwie*, *List o rozeznaniu*, *Traktat o rozeznaniu duchów* i *List o kierownictwie duchowym*.

M.W.

Chmura Niewiedzy, przełożył o. Piotr Rostworowski, wstępy Janusz Waclaw Koralewski, Wydawnictwo Benedyktynów TYNIEC, Kraków 2003.

Wydanie albumowe najnowszego dzieła Jana Pawła II – *Wstańcie, chodźmy!* Na prawie trzystu pięknych fotografiach, w większości Adama Bujaka, w tym także archiwalnych z lat 1958–1978, ukazane są osoby i miejsca, o których czytamy w tej niezwyklej książce. Te fotografie tym bardziej uruchamiają wyobraźnię, dają świadectwo tej jednej z najniezwyklejszych dróg człowieka w XX i na początku XXI wieku, który wywarł i wywiera piętno na swoim czasie. Jest to zapis i ilustracja pięćdziesięciu lat z życia obecnego Jana Pawła II – wspomnienia, myśli, fakty z biografii. Niezwykły tekst i kalejdoskop obrazów, które wspólnie uzupełniają się, jakby we wspólnym rytmie i w dopowiedzeniach, tworząc ciekawą całość interpretacyjną. Pożytek z tego albumu jest poznawczy, estetyczny i duchowy, zmierzający do kody – tytułowego cytatu (por. Mk 14, 42), słów następnych: „Chodźmy ufni w Chrystusie. On będzie towarzyszył nam w drodze, aż do celu, który zna tylko On” oraz dwóch ostatnich obrazów: idącego papieża i fragmentu Drogi Krzyżowej w Koloseum w Wielki Piątek 2004 roku.

K.M.

Jan Paweł II, *Wstańcie, chodźmy!*, fotografie Adama Bujaka, Biały Kruk, Kraków 2004.

Słownik łacińskich sentencji, przysłów, zwrotów i powiedzeń, ich źródeł i polskich znaczeń zawierający około 10.000 haseł, zaopatrzony w indeks osobowy, indeks tematyczny i bibliografię. W dzisiejszych czasach kryzysu języka łacińskiego, rzecz cenna i nieoszacowana. Te lapidarne, celne i bogate sformułowania językowe są nieprzebranym skarbem, do którego można sięgać do woli. Rozproszone w wielu miejscach i książkach łacińskie powiedzenia zebrane razem tworzą wielki intelektualny i duchowy ładunek (ponad 700 stron druku). Księga, którą czytać można na wrywki, otwierając

w dowolnym miejscu i zawsze znajdując coś ciekawego, inspirującego czy zaskakującego.

M.W.

Dicta. Zbiór łacińskich sentencji, przysłów, zwrotów, powiedzeń, zebrał, opracował i zredagował Czesław Michalunio SJ, Wydawnictwo WAM, Kraków 2004.

Na początku trzy obrazy: *Narodziny Najświętszej Maryi Panny* (z szesnastowiecznego antyfonarza), *Bóg tchnie życie w Adama* – fresk Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej i fragment *Zwiastowania* Leonardo da Vinci. Jedenaście rozdziałów: od Adama i Noego do czasów Jezusa. Za pomocą słów i obrazów ukazane zostały miejsca nadzwyczajnych wydarzeń, które dla ludzi wierzących mają wielki tajemny sens. Bogata ikonografia – najwybitniejsze dzieła sztuki sakralnej i fotografie miejsc świętych. Zaskakujące, na granicy rzeczywistości i fantazji konfrontacje. Cytaty z ksiąg Starego i Nowego Testamentu, a także z Józefa Flawiusza, z apokryfów i z pamiątek pielgrzymów. Wędrujemy świętymi drogami do miejsc świętych z Abrahamem, Eząwem, Jakubem, Józefem, Mojżeszem, Salomonem i z tyloma innymi, i na końcu z Jezusem. Oglądamy m.in. Arkę Noego, wieżę Babel, świątynię w Jerozolimie, pałac królewski w Babilonie, docieramy do Ziemi Obiecanej. Uczestniczymy w najwspanialszej historii, jaką kiedykolwiek opowiedziano. Album zamykają *Zmartwychwstanie* Fra Angelico i *Wniebowstąpienie* (antyfonarz z XIV wieku) oraz przedstawione na płycinach różne epizody Ewangelii Fra Angelico i obraz Botticellego *Oplakiwanie Chrystusa*.

M.W.

Gianni Guadalupi, Arcydzieła sztuki: Świat Biblii w obrazach, projekt graficzny Clara Zanotti, tłumaczenie Ewa Maciszewska, Wydawnictwo ARKADY, Warszawa 2003.

Tadeusz Boruta, malarz i teoretyk sztuki znany z publikacji w „Tygodniku Powszechnym” (rozpoczęty w 1996 roku cykl *Szkoła patrzenia*) analizuje (wartości estetyczne i teologiczne) trzydzieści sześć arcydzieł sztuki renesansu i baroku, bada ich tajemnice i zagadki. Każdy rozdział poświęcony jest jednemu arcydziełu związanemu z jakimś świętem kościelnym (bogactwo symboliki, kompozycja, forma, konteksty filozoficzne i historyczne, a także podstawowe informacje o ilustrowanym święcie oraz krótka bio-

grafia twórcy danego obrazu). Tak autor pisze w *Przedmowie*: „Tą publikacją chciałem wyrazić podziw i szacunek dla niezwykłych artystów, którzy dogmatom i refleksji teologicznej potrafili nadać formę malarską, nie tracąc przy tym nic z wartości artystycznych. Unaoczniając rzeczywistość wiary, pozostawili dzieła żywe, również dzisiaj poruszające i wyrażające człowieka w jego odwiecznej tęsknocie za Transcendencją”. Trzydzieści trzy krótkie, kilkustronicowe szkice jasne, przystępne, wciągające, rodzaj żywej gawędy o sztuce, gawędy wnikliwej, bogatej w treści i ukazywane odniesienia oraz kolorowe reprodukcje obrazów m.in. Michała Anioła, Leonardo da Vinci, Velázquez, El Greco, Rembrandta, Tycjana, Caravaggia, Piero delle Francesca, Mantegna, Grünewalda.

M.W.

Tadeusz Boruta, *Szkola patrzenia. Obrazowanie święt kościelnych w dziełach wielkich mistrzów*, Wydawnictwo „Jedność”, Kielce 2003.

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E

Zapraszamy na naszą stronę internetową

www.kwartalnik.art.pl

NUMER BIEŻĄCY NUMERY ARCHIWALNE BIBLIOTEKA KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO



NOWE KSIĄŻKI WL



Czesław Miłosz *Spizarnia literacka*

Wielkie sławy i zapomniane nazwiska, głośne wydarzenia i drobne epizody, to, o czym zapomnieć nie sposób i o czym zapomnieć się nie chce – w pełnej ciepła, nostalgii i humoru gawędzie Czesława Miłosza.

Radek Wysocki *Human Tuman*



Human Tuman to ironiczny, przewrotny i groteskowy thriller o „zezwierzęceniu” współczesnego człowieka. Książka jest popisem konstrukcyjnego zmysłu, wspartego niebanalną wyobraźnią, dzięki czemu dynamika opowiadania nie ustępuje dbałości o fabularny detal.



Ivan Klíma *Premier i anioł* Przełożył Jan Stachowski

Powieść Klímy to arcyzabawna parodia naszych czasów, próba odpowiedzi na niezwykle aktualne pytanie: czy po upadku komunizmu słowa takie, jak „demokracja”, „wolność” i „prawo” w ogóle coś jeszcze znaczą?



Witold Gombrowicz *Dziennik 1953-1969*

supercena: 19,99 zł

Nowa, popularna edycja daje szczególną sposobność do zapoznania się z najważniejszym utworem Gombrowicza, a zarazem jednym z najwybitniejszych dzieł literatury XX wieku.

Na hasło **KWARTALNIK ARTYSTYCZNY** udzielamy 15% rabatu.
Koszty wysyłki pokrywa wydawnictwo.

Wszystkie książki Wydawnictwa Literackiego można zamawiać:
Infolinia: 0 800 42 10 40, Internet: wl.nct.pl, e-mail: wl@wl.nct.pl



BIBLIOTEKA KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO



- Grzegorz Musiał, *Al Fine*, Gdańsk 1997
 Mirosław Dzien, *Cierpliwość*, Warszawa 1998
 Michał Głowiński, *Czarne sezony*, Warszawa 1998
 Jarosław Klejnocki, *W drodze do Delft*, Warszawa 1998
 Piotr Matywiecki, *Zwyczajna symboliczna prawdziwa*, Warszawa 1998
 Krzysztof Myszowski, *Funebre*, Warszawa 1998
 Bożena Keff, *Nie jest gotowy*, Warszawa 2000
 Maria Danilewicz Zielińska, *Biurko Konopnickiej*, Warszawa 2000
 Janina Kościalkowska, *Bih me!*, Warszawa 2000
 Grzegorz Musiał, *Dziennik z Iowa*, Warszawa 2000
 Grzegorz Musiał, *Kraj wzbronionej miłości*, Warszawa 2001
 Jerzy Andrzejewski, *Dziennik paryski*, Warszawa 2003
 Mieczysław Orski, *Ilustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji*, Warszawa 2003
 Tadeusz Nowakowski, *Obóz Wszystkich Świętych*, Warszawa 2003

ISSN 1232-2105

04

ISSN 1232-2105
nr indeksu 36294

cena 10 zł (VAT 0%)



9 771232 210048